ZYGMUNT WASILEWSKI:

LISTY DZIENNIKARZA
W SPRAWACH
KULTURY NARODOWEJ

ROK — 1908
NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
WE LWOWIE

LISTY DZIENNIKARZA

TEGOŻ AUTORA:

Jagodne, wieś w pow. łukowskim. Zarys etnograficzny. Warszawa 1889. Z zapomogi kasy im. Mianowskiego.

Promieniści, Filareci i Zorzanie. Dokumenty urzędowe dotyczące towarzystw tajnych na Litwie (1822—27). Kraków 1896. Nakładem Akademji Umiejętności.

Pomnik Mickiewicza w Warszawie (1897—1898). Warszawa 1899. Nakładem Komitetu budowy pomnika.

Warszawa w 12 obrazkach. (Przygodny). Lwów 1902. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego.

Nowy Konrad. Rozbiór «Wyzwolenia» Wyspiańskiego. Lwów 1903. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego.

Śladami Mickiewicza. Szkice i przyczynki do dziejów romantyzmu. Lwów 1905. Nakładem Tow. Wydawniczego.

Spór o Słowackiego jako zagadnienie nauki i kultury. Lwów 1906. H. Altenberg.

Od romantyków do Kasprowicza. Studya i szkice literackie. Lwów 1907. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

ZYGMUNT WASILEWSKI

LISTY DZIENNIKARZA

W SPRAWACH KULTURY NARODOWEJ

Najsmutniejszym losem, jaki może nas spotkać, jest posiadanie wolności bez zasłużenia na nią.

J. Ruskin.

LWÓW - 1908
NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA
LWÓW — H. ALTENBERG

Janowi Popławskiemu

w hołdzie.

PRZEDMOWA.

Listy, tu zebrane, miały przeznaczenie dziennikarskie oświetlania spraw bieżących ze stanowiska interesów kultury. List pierwszy bliżej określa znaczenie tego punktu obserwacyjnego, oraz istotę idei przewodniej. Wątek myśli jest przez wszystkie listy ten sam, ale w różnych podejmowany czasach, z różnorodnej sposobności. Przy każdym też liście położyłem datę, aby się wytłumaczyć warunkami miejsca i czasu z nastroju, oświetleń i z faktów przytaczanych.

Wydaję to w książce dlatego, że w obecnych czasach szybkiego i bezładnego przewartościowywania pojęć społeczno-narodowych potrzebna jest lektura tego rodzaju. Łatwiej się porozumiewać co do programów społecznych i politycznych, gdy się wprzód urobi grunt pod samowiedzę elementarną ciała zbiorowego.

Jest w tej książce po trochu historji (tej co się staje), etyki, estetyki, publicystyki — wszystkiego, w co osadza się myśl obserwatora życia, a zarazem i jego uczestnika. Jest w niej cząstka żywej duszy, oddanej na użyteczność praktyczną życia, nie tylko literacką. Dla tego uważać tę książkę można za zjawisko życia samego, nie literatury; do przyrody należy, nie do sztuki kropla rosy, choć się w niej czyta odbity skrawek świata.

Czuć życie, szanować i rozumieć — to powinno być ambicją umysłów, zwłaszcza młodych. Odebrano naszej ciekawości bezpośredniość, zwracając ją do poznawania życia j e d y n i e wstecz, przez historję. Czemuż nie patrzeć w nie wprost, gdy jest w słońcu? Czemuż tylko historja, jako wyjaśnienie rzeczy dawnych, miałaby mistrzynią być życia? Życie samo jest sobie mistrzem, o ile towarzyszy mu świadomość. A jeśli chodzi, poza doświadczeniem, o teorję tej nauki życiowej, to bliżej po nią do publicysty.

Wiedza poniewczasie — tyle co »mądrość po szkodzie«. Kto ma wierzyć w szczerość zainteresowań historycznych, gdy życie bieżące nie interesuje? Gdzieś niżej wyraziłem myśl, że tylko ludzie p r z y s z ł o ś ć tworzący zdolni są poruszyć w sobie właściwy zmysł p r z e s z ł o ś c i historycznej.

Czemuż dopiero zamknięta karta ma nas nęcić, gdy otwartej nie czytamy? Historyk przecież tyle

wart, ile włada kluczem do tego pisma, któremu miano: Życie. Bo nic innego z kartą zamkniętą dziejów nie robi, jeno ją bierze pod światło swych pojęć moralnych i z odwróconego na wspak pisma odcyfrowuje. Preparat historyczny dokonywa się beznamiętnie, w niższej temperaturze pojęć; to prawda, że nie parzy. Ale publicystyczny mógłby być pełniejszy, bo żywy.

Chętniebym się zrzekł nazwy dziennikarza, dla samego uniknięcia związanych z tem mianem nieporozumień, gdyby istniała inna (prócz statystyki) umiejętność wymierzania życia bieżącego. Wielkie to zadanie dziennikarskie, gdy je pojąć szeroko.

Nie dość jest mieć coś do powiedzenia o życiu, trzeba także mieć w niem coś do powiedzenia. Nie dzieje się nic ludzkiego, coby nie miało swego sensu godnego zakarbowania i momentu, któryby nie wymagał czujności. Życie jest zdaleka tylko ślepem stawaniem się; gra w niem także świadomość i komplikuje. Jest wynikliwe, ale i celowe.

Małą cząstką widzialne, ginie dla oka w głębokich nurtach dusz, ale to wszystko razem z duszami jest życiem, stającem się lub mrącem. Należy je z poznak i zjawisk na powierzchni odgadywać, a odgadnięte opanowywać. Wtedy jest możliwa świadomość stanu ogólnego i właściwa, t. j. uprzedzająca kroki jej rola.

»Mądrości po szkodzie« przeciwstawić trzeba mądrość czynną, opartą na pełnej, dojrzałej samowiedzy. Tylko zorganizowana w samowiedzy jednostka zbiorowa może być panem swoich losów.

Z. W. (Digamma).

1. O KULTURZE DUCHOWEJ.

Lwów, 25 sierpnia 1905.

Każdy ma niemało sposobności przyglądania się ludziom, ich czynom i odruchom. Oczywiście nie warto byłoby tym kalejdoskopem się bawić, gdyby nie chodziło o prawa, duszą naszą rządzące, a tak dziwnie nieuchwytne w pozornej rozmaitości i przypadkowości zdarzeń.

Dłuższa obserwacja wyrabia w człowieku pewną pobłażliwość dla błędów ludzkich, płynących z głupoty lub złej (albo słabej) woli, ale z drugiej strony zaostrza wrażliwość na wszystko, co świadczy o rozstroju lub niedostrojeniu władz duchowych w jednostce. Najgroźniejsze są błędy, które się wymykają z pod kontroli etyki i prawa ustawowego, błędy, pochodzące ze złego trybu myślenia i czucia, z niedojrzałości duchowej — niedomagania kultury. Jest to widok ponury, kiedy dusza nie sięga wyżyny powołania swojego, kiedy się w zadaniach swych nie orjentuje i opaczny ze

swych władz robi użytek, gdy źle ulokowana świadomość plącze celowość jej ruchów, bo wtedy jest jak obłąkana i niewątpliwie w takim stanie mniej sobie jest dolegliwa, niż tym, co na nią patrzą ze stanowiska interesu publicznego.

Wyrazu »kultura« nadużywa się, wskutek tego pojęcie samo jest lekceważone, jako coś bez granic i konkretu, niby byle jaka figura słowna do zatykania luk myślowych w literaturze. Najwięcej stosunkowo wiemy o kulturze towarzyskiej w znaczeniu salonowem. I to byłoby już wiele dla zrozumienia, na czem polega kultura władz duchowych wogóle, gdybyśmy nie zadawalniali się negatywnem pojmowaniem rzeczy. Częstokroć wystarcza nie zachowywać się nieprzyzwoicie, by uchodzić za człowieka pełnego kultury towarzyskiej. Wypadałoby to samo myśleć o kulturze ducha obywatelskiego, tymczasem nie być zbrodniarzem — nie znaczy jeszcze być dobrym obywatelem.

Tak zwana kultura duchowa jest uprawą pod zasiew etyczny, ale nie jest etyką samą; sięga ona korzeniami głębiej po za sferę etyki, bezpośrednio do pokładów psychicznych i polega na uprawie pierwiastkowych władz duchowych.

Teorya kultury duchowej, mojem zdaniem, znajduje się w zaniedbaniu dlatego, że nie zostawiono dla niej miejsca między psychologją a etyką i socjologją. Psychologja, ściągnięta do zakresu badań

psycho-fizycznych, zajęła się człowiekiem elementarnym, zrzekając się praw do znacznego a przynależnego jej obszaru psychyki człowieka społecznego na rzecz tamtych nauk. Kultura należy jeszcze do psychologji.

Dusza człowieka cywilizowanego zaledwie na spodach da się badać przyrodniczo, metodą psycho-fizjologiczną. Od czasu stanów pierwotnych do dnia dzisiejszego drugie tyle duszy narosło człowiekowi działaniem kultury w życiu gromadzkiem; dosyć pomyśleć, ile duszy przysporzyła sztuka mówienia. Ów dorobek duszy stanowi rodzaj nadbudowy nad duszą psychofizyczną, odpowiadający tej nadbudowie, jaką wytworzył człowiek koło siebie nad życiem organicznem w postaci ustroju społecznego. Cała dzisiejsza budowa życia gromadzkiego opiera się, jako na materyale i zasadzie architektonicznej, na komórce psycho-społecznej, wyhodowanej działaniem wiekowem kultury z pierwiastków przyrodzonych.

Niema nic ludzkiego, coby się nie poczęło w duszy i nie zostawiło w niej realnych śladów, godnych utrwalenia. Na tym gruncie ewolucjonizmu psychologicznego stać trzeba, żeby rozumieć rozwój cywilizacji. Kulturze subjektywnej (duchowej) odpowiada kultura objektywna (materjalna); jedna jest miarą drugiej. Cywilizacje stare ginęły nie wskutek zburzenia przez barbarzyńców kultury materjalnej, ale wskutek zburzenia przez

nich w ludziach komórki psycho-społecznej. Moc danej zbiorowości stoi w prostym stosunku do tęgości kultury duchowej w obywatelach. Od komórki psycho-społecznej polinezyjskiej do angielskiej leży długa droga ewolucji psychicznej.

Prawem, które rządzi rozwojem duszy jednostkowej i zbiorowej, jest dążność do indywidualności, dążność wrodzona, niczem niepokonana dążność życia. Dążenie do pełni osobowości po za więzią społeczną jest wynikiem zboczenia umysłowego; człowiek cywilizowany jest naprawdę ζόον πολιτικόν w tem znaczeniu, że już dusza jego jest własnością zbiorową; dąży do osobowości z całą masą zbiorową, jaką tylko może pociągnąć władzą swego ducha — z narodem swoim. Historja kultury duchowej jest historją uświadamiania sobie tej prawdy.

Kultura ma zadanie: 1) takiego zróżnicowania, wyspecjalizowania władz psychicznych, ażeby w każdym wysiłku duchowym przodowała władza odpowiednia zadaniu i 2) takiego zorganizowania tych władz, ażeby w każdej dziedzinie twórczości dusza mogła się przejawić całkowicie.

Zdaje się, że najwybitniejszą cechą umysłu kulturalnego jest uporządkowanie mechanizmu duchowego, dochodzące do automatyczności w funkcjach stałych. Jednostka niekulturalna ma ciągły kłopot z anarchją wewnętrzną, pochłaniającą całą energję

jej biednej świadomości; człowiek wyższego typu kulturalnego jest wolny od tego ucisku wewnętrznego, ma wolne ręce do zadań twórczych i tem pobija typy niższe. Twórczość ludów kulturalnych jest zasadą, podczas gdy w niższej kulturze jest rzadkim przypadkiem szczęśliwych organizacji psycho-fizycznych.

— — — — — — — — — — — — — — —

Rysem zasadniczym duszy bez kultury jest bezwład mechaniczny. Według prawa bezwładności psychicznej każde wrażenie, każda percepcja, każda koncepcja, w duszy powzięta, dąży mechanicznie do wyrażenia się na zewnątrz w aktach woli. Pod tym względem jednostka niekulturalna jest igraszką zdarzeń zewnętrznych; jest rzeczą przypadku, z jakiej strony coś w nią uderzy i jaki wywoła w niej odruch. Człowiek z kulturą ma tak zorganizowane władze duchowe, że jedna bez wiedzy drugich bez organicznego ich współdziałania reagować na zewnątrz nie może. Dojrzały artysta np., dotknięty prądem nerwowym od zetknięcia się z pięknem naturalnem, nie zlokalizuje tego prądu w sferach zmysłów, lecz przepuści go przez władze intelektualne i uczuciowe tak, że w rezultacie temu swemu pierwszemu wrażeniu biernemu da w dziele swojem wyraz pełny, indywidualny, wyraz duszy kulturalnej, w którym ogół pokrewny ujrzy duszę swoją. Artystę, który piękna naturalnego po za sferę zmysłów nie puści i ograniczy się jego sko-

pjowaniem — nazywamy artystą bez kultury, fotografem.

Mówiąc nawiasem, kultura duchowa nie jest kwestją jedynie wprawy w zażywaniu odpowiedniej metody. Artysta bez kultury może tworzyć rzecz swoją z dobrą metodą; myśliciel znowu, mimo doskonałej metody empirycznej, będzie uczonym bez kultury, jeżeli nie potrafi zdobyczy swoich zharmonizować z dobrami, zdobytemi przy pomocy innych władz duchowych.

Tak samo w trzeciej dziedzinie władz ducha — w sferze uczuciowej woli i czynów, gdzie najłatwiej o impulsy i odruchy bezwiedne. Dla człowieka niekulturalnego otwiera się przedewszystkiem tam pole działania, gdzie najmniej oporu, gdzie wolność. Ale nie myślmy, że takiej jednostce chodzi jedynie o opór zewnętrzny; pierwszy opór stawia jej własna dusza, źle zorganizowana.

Człowiek niekulturalny idzie za byle popędem, choćby miał głowę roztrzaskać w przypadkowym kierunku, aby tylko nie zmagać się ze swemi władzami duchowemi, któreby mogły nad popędem zapanować. Czuje on dotkliwiej ból psychiczny od skrępowania wewnętrznego, niż wszelki inny od skrępowania zewnętrznego. Dlatego też między ludźmi ubogiemi duchem chodzi niezrozumiała gadka poetycka o duszach wyższych, o ich mękach wewnętrznych dojrzewania, przełamywania

się. Mówi się tam właśnie o nałamywaniu duszy przez kulturę do wyższych przeznaczeń.

— — — — — — — — — — — — — — —

Kultura duchowa — to moc stwarzania wewnętrznych powściągów w interesie zadań celowo wytkniętych, świadomie twórczych.

Jednym z najkulturalniejszych ludzi nowych czasów jest dla mnie Jan Ruskin, umysł jeszcze rzadko spotykany, a będący świadectwem tej zasady, że umysłowość ludzka jest całością organiczną i niepodzielną w swej troistości i że przy wysokiej kulturze dochodzić może do poznawania prawd w każdej dziedzinie życia, niezależnie od tego, czy ten umysł należy do człowieka czynu, myśliciela, czy artysty.

Ruskin był estetykiem tylko, ale przy wysokiej kulturze potrafił uczynić ze swej wiedzy estetycznej część składową ogólnego systemu poznania i doszedł samodzielnie do niektórych prawd społecznych wysokiej wartości. Otóż Ruskin wtrącił kiedyś na jednym z wykładów o sztuce: »Ogarnia mnie niecierpliwość, ledwie mogę pióro utrzymać, gdy sobie przypomnę, ile niepowetowanych błędów robi współczesna myśl z racji tego poglądu, że wolność dobra jest dla człowieka bez względu na to, jaki zechce zrobić z niej użytek. Niezmierna głupota, niewypowiedziana! Niepodobna spojrzeć jej prosto w twarz, tak samo jak nie można znieść śmiechu kretyna«.

»Niewiele ma dla nas znaczenia — mówił Ruskin dalej — fakt posiadania swobody, ale wielkie znaczenie ma fakt zasługiwania na nią. Najsmutniejszym losem, jaki może nas spotkać, jest posiadanie wolności bez zasłużenia na nią«.

Mądre te słowa oceni tylko ten, kto się zastanawiał nad znaczeniem dobrej kultury duchowej, jako jedynej rękojmi trwałości ludzkich urządzeń i planów. Tylko organiczna, ciągła i wysoka kultura duchowa doprowadziła życie gromadzkie do takiej budowy, która stoi nadwyżką obowiązków, zrzeczeń się, powściągów — nad indywidualnemi prawami, pragnieniami, popędami odśrodkowemi; tylko taka kultura wyhodowała umysły, z których organicznie wywiązała się idealna budowa żywych organizmów narodowych.

Potrzeba życia narodowego w swoistych formach państwowych jest udziałem tylko umysłów kulturalnych, tak dojrzałych i świadomych swych zadań, że same zaprowadzają u siebie w duszy ład i stwarzają powściągi niezrozumiałe dla barbarzyńcy. Gdy naród dojdzie do tej dojrzałości duchowej, to gdyby mu nawet rozebrano dach nad głową jego własnej państwowości, tworzyć będzie dalej nadbudowę idealną i róść wewnętrznie, aby przerosnąć środowisko, które budowę mu zburzyło. Nad narodem polskim, któremu przed stu ledwie laty zburzono do fundamentu budowę

państwową, widzimy dzisiaj zarysowujące się łuki nowej państwowości. Są to linie idealne jeszcze, ale my je realnie czujemy i widzimy, bo one wyrastają z dusz naszych, zataczają według napięcia naszej woli zarysy przyszłego stropu nad wszystkiemi zaborami.

Tak promienieje podniesiona wysoko w kulturze umysłowość polska i wszystko to ciałem się stanie, bo tak nam przepowiada nasza »komórka psycho-społeczna«. Od woli to naszej zależne, nie od czyjejkolwiek innej, ściślej mówiąc od naszej kultury duchowej. Nasze przyszłe dzieje czekają na naszą dojrzałość; największe znaczenie ma fakt zasługiwania na swobodę. A z drugiej strony widzimy w Rosyi, że budowa państwowa, wzniesiona sztucznie bez udziału organicznego dusz obywateli, stworzona, rzec można, na kredyt dusz przyszłych — traci równowagę. Istna historja »Martwych dusz« Gogola!

— — — — — — — — — — — — — — —

Dusza ludzka jest jedynem źródłem i ostoją życia nadorganicznego. Ona tworzy według siebie ideały religijne bóstw, ona snuje, jak jedwabnik, przędzę cywilizacji taką, na jaką ją stać. Ani ideał religijny, ani cywilizacyjny nie może być lepszy gatunkowo od duszy. Ideał bóstwa jest widmem uspołeczniającej się duszy, jest projekcją jej kształtu na ekranie niebios. Projekcja duszy chrześcjańskiej jest psychologicznie najgłębsza, bo daje w obrazie

trójjedynego bóstwa wyraz poczucia jej pełni i jedności organicznej.

Dzisiejszy człowiek kulturalny, z duszą opanowaną i skonsolidowaną stoi najwyżej w hierarchji dotychczasowych cywilizacji i najbardziej jest twórczy; stoi wyżej w kulturze ducha obywatelskiego od Greka, który był tylko καλὸς κ' ἀγαθός. Ideał kultury dzisiejszego obywatela jest trójwymiarowy, jak ideał bóstwa: καλὸς, ἀγαθὸς καὶ σοφός.

2. MOJE KOLENDY.

Lwów, 5 stycznia 1907.

Ilekroć wypadało mi na Nowy rok składać życzenia pewnemu krewnemu, zawsze wahałem się, czego mu życzyć, coby nie wyglądało na ironję.

Ten mój pewien krewny nie był zbyt pewien swej indywidualności. Proszę sobie przedstawić: neurastenik — chory na brak samodzielności — oddał się całkowicie w opiekę ludziom obcym. Zamieszkał w cudzym domu, jak to mówią — kątem, oddawał gospodarzom swoim wszystkie, dość znaczne dochody i było mu z tem dobrze, chociaż żył jak nędzarz. Tego tylko pragnął, ażeby o nic się nie troskać, woli nie wytężać. Ci obcy myśleli za niego, odziewali go, karmili i robili to źle, srodze go wyzyskując. Ale on był im wdzięczny.

Tak się zżył ze swemi dobrodziejami, że naśladował ich manjery, mowę, sposób myślenia. Na ich impertynencje był głuchy, znosił upośledzenia,

aby tylko niczego od niego nie wymagali poza pieniędzmi. Doszło do tego, że gospodarze, dla uniknięcia skandalu, udzielali mu z jego własnych pieniędzy w drodze łaski po parę groszy na przyjemności; dziękował za nie pokornie. Znajomi mówili mu:

— Otrząśnij się! Co to za robota? Najmij choćby u tych samych gospodarzy pokoik, ale miej własny kąt. Sam się zagospodaruj; lepsze-ć własne śmiecie, niż cudzy salon. I zdrowiej ci będzie, i taniej.

Próżne namowy; nie miał — zdawało się — śladu woli i ambicji. Więc dawniej, gdym mu życzenia miał składać, myślałem sobie, czy nie lepiej mu życzyć, aby już całkiem poczucie osobowości stracił — będzie mu spokojnie, jak w grobie. Jakież było moje zdziwienie w tym roku, gdym go zastał zbuntowanego.

— Dosyć już tego dobrego! Nie jestem dzieckiem, nie lubię stosunków nieokreślonych...

Życzyłem mu z całej duszy, aby trwał w wierze we własne siły, aby wziął się do pracy, dom sobie stworzył i t. p.

— — — — — — — — — — — — — — —

Takie same życzenia wyrażała w tym roku opinja publiczna naszemu społeczeństwu. Nie było dziennika, w którymby z okazji Nowego Roku, czy Bożego Narodzenia nie dźwięczała nuta pobudki do czynu, do opamiętania — pieśń otuchy.

Śpiewa się takie rzeczy zwykle z kolendami, ale w tych czasach kolendy w Polsce są realniejsze. Więcej jest wiary w gwiazdę, pomrugującą nad naszym domem. Kolendujemy jak Konrad Wyspiańskiego:

O Boże, pokutę przebyłem
i długie lata tułacze,
dziś jestem we własnym domu
i krzyż na progu znaczę...
Byś zwiódł z wędrówki długiej
Mój naród do wszechmocy,
byś dał, co mają inni...
Daj nam poczucie siły
i Polskę daj nam żywą,
by słowa się spełniły
nad ziemią tą szczęśliwą!
Jest tyle sił w narodzie,
jest tyle mnogo ludzi:
niechże w nie duch twój wstąpi
I śpiące niech pobudzi! — — —

Jest tyle sił w narodzie... Zaszła pewna zmiana w naszem usposobieniu psychicznem— polegająca właśnie na tem, że widzimy tyle sił w narodzie; i dopiero dzięki tej zmianie możemy wyciągnąć korzyści ze zmian realnych, jakie w ostatnich czasach się dokonały. Oto przykład. Wchodzimy w rok nowy swojej polityki lokalnej pod znakiem reformy wyborczej. Organizmowi prawdziwie choremu żadna reforma trybu życia nie pomoże, bo on już z niej skorzystać nie potrafi;

nam taka reforma wyborcza, powołująca do udziału w życiu publicznem szersze sfery społeczeństwa, przyszła jeszcze w porę. Biorąc miarę z naszego samopoczucia sił, wnosić można, że ona na pożytek nam wyjdzie, że nową ordynację »sfukcjonujemy« na dobro swego organizmu. I pójdziemy dalej: zażądamy reformy wyborczej do Sejmu, gdzie możemy dać tem pełniejszy wyraz swojej rozszerzonej samowiedzy. Tam zobaczymy, ile jest sił w narodzie, jak »mnogo« jest ludzi, gdy duch w nie wstąpi i śpiące pobudzi...

Nowe poczucie sił — to nowe życie; w takiem odrodzeniu ziszcza się odwieczna pieśń o erach, poczynanych przez ludzkość pod nową gwiazdą. Gwiazdy takie człowiek sam w duszy zapala, gdy się wzmoże na siłach moralnych, a wtedy życie wydaje mu się taką potęgą, że widzi czas, gdy trzej królowie, symbolizujący materjalną władność, uklękną przed niem i oddadzą mu w hołdzie, co winni.

Hej, kolenda — kolenda!

— — — — — — — — — — — — — — —

Na czem polega owa zmiana w naszem usposobieniu i do czego ona i nas i innych obowiązuje?

Obudził się w nas instynkt samozachowawczy organizmu narodowego; mianowicie, wskutek rozszerzenia się oświaty na sfery ludowe, przybyły stamtąd nowe dla naszej osłabionej samowiedzy

posiłki, nowe zasoby energji duchowej. Jednocześnie musiała się zrodzić dążność w »unerwieniu« politycznem do pewnych przystosowań. Polityka — to czyn zbiorowy, zależny od stanu świadomości zbiorowej tak, jak od centrów mózgowych zależne są funkcje nerwów ruchu.

Ze zmianami, dokonywującemi się wewnątrz społeczeństwa, liczyć się muszą rządy, nawet zaborcze. Dla każdego z naszych trzech królów naród ze wzmożoną energją życia — to siła, z którą inny trzeba zawierać układ, niż w czasach zaniku osobowości narodów. W jednym wypadku więcej jest rozumienia tej konieczności, w drugim mniej; tam rząd się waha, ówdzie zaś tę energję życia pragnąłby złamać siłą brutalną w korzeniu, w latoroślach.

Punkt ciążenia życia politycznego przenosi się do naturalnych centrów życia zbiorowego. Polityk musi się z tem liczyć; przybyła mu pozycya, dawniej lekceważona: naród. Więc np. ciało parlamentarne: jakże odmienny dzisiaj stan tego barometru! Dawniej była pogoda, gdy wskazówka stała na: »rząd«, a dziś jeśli ma być spokojnie, szuka ona znaku: »naród«. Doświadczyły tego już dość dawno społeczeństwa cywilizowane i my do tego przywykniemy, kiedy dorośniemy.

Świat ten sam niby, ale zmienia się metoda polityczna i rezultaty są inne. Więc dalej: sytuacja deputowanego do Izby posłów dawniej i dziś.

Dawniej zdawało się, że wyborcy są całkowicie zależni od swego przedstawiciela; on miał za nich rozum i sumienie polityczne. Wysłany do Wiednia, tracił cudownie ciążenie do swej ziemi i wpadał w system ciążenia obcej planety.

Nieraz dzieci myślą o tem, jakby na księżyc się dostać. Wtedy nauczycielka tłumaczy: Jakże się oderwiesz od ziemi, kiedy jest ciążenie? Gdybyś przebył jego granicę, toby cię może inne ciążenie porwało do innej planety. Ale jak to zrobić? Kwestya nierozwiązana.

Niechby się spytano naszych dotychczasowych opiekunów politycznych, Stańczyków, jak się robiło z wiedeńskim »srebrnym globem« (jest taka powieść o księżycu J. Żuławskiego); oniby wytłumaczyli. W świecie moralnym o cuda, zwłaszcza krótkie, łatwiej. Albo jest wolna wola, albo jej niema? A naród śpiący daje posłom wiele wolnej woli; powiedzą sobie: przy tobie stoimy i stać chcemy — i co im kto zrobi? Bo naród śpiący nie ma swego ciążenia.

Taka była metoda reprezentowania narodu — metoda wolnej woli. I ta metoda tak się zakorzeniła, że kiedy dla przyzwoitości (przez szacunek dla rewolucji francuskiej) powstało stronnictwo parlamentarne demokratyczne, to i ono w roztargnieniu nie dostrzegało ciała narodowego. Trudno dziś uwierzyć własnym oczom, że demokraci nasi (skoncentrowani czy rozwodnieni) nie mieli

i nie mają żadnej organizacji w społeczeństwie, na którejby się mogli w robocie oprzeć. Ot, demokraci z doktryny, ale w metodzie politycznej niczem nie różni — od konserwatystów. Cała polityka oparta na konszachtach z rządem, — bez odpowiedzialności przed społeczeństwem i bez jego kontroli. Było tak, bo ogół narodowy o politykę się nie troszczył, bojąc się wszelkiego wysiłku własnego, jak ów stary kawaler, żyjący na łasce ludzkiej za swoje pieniądze.

Na jakiem tle toczyła się walka między ugogowcami a demokracją narodową w Królestwie Polskiem? Demokracja narodowa powołała naród do myślenia w sprawach politycznych; ludzie starej daty przelękli się tego. Stanęli w obronie starych metód, — politykowania poufnego szeptem poza plecami narodu. Czy ugodowość była tym rysem zasadniczem starej polityki, który ją tak różnił od naszej? Nie. Różniła się tamta polityka, że była dowolną, nie liczącą się z dążeniami narodowemi, że była polityką wolnej woli mężów stanu zwykle bez talentu, nieraz bez dobrej woli, że była grą gabinetową, a nie wyrazem twórczości ducha narodowego. Toczyła się walka między starym a nowym światem o metodę rządzenia krajem; to też np. — pomimo zgodności zasadniczej na kwestję potrzeby języka polskiego w samorządzie gminnym, czy w szkole, — starzy politycy walczyli z demokracją narodową i tylko o to, czy go-

dzi się powoływać masy do bezpośredniego wyrażania woli. Ich zdaniem kwestje języka, samorządu, autonomji są kwestjami szacherki gabinetowej, nie mas. Polityka — powiadali moralizatorzy — jest rzeczą zdrożną, zaraźliwą; zostawcie ją mężom stanu, którzy mają politykę szczepioną..

Ugodowcy polsko-rosyjscy legli na progu nowej ery politycznej; życie poszło nad niemi. Ugodowcy poznańscy nie mają już nic do powiedzenia o oporze młodzieży; Kościelski, dawny ich przedstawiciel, wzruszony do głębi nieznanemi dotąd objawami życia narodowego, na jego cześć pisze poezje. W Galicji konserwatyści poddali się bez szemrania reformie wyborczej, widząc z całą świadomością zbliżającą się nową erę wyemancypowanej polityki narodowej.

— — — — — — — — — — — — — —

To tylko zostało prawdą na zawsze, że przy każdej metodzie polityce towarzyszyć musi jasna świadomość celu i środków, karność i solidarność; przeto, po przeniesieniu się punktu ciężkości na zbiorowość narodową, pierwszym warunkiem stała się d o b r a o r g a n i z a c j a, zapewniająca jednomyślność, karność i solidarność, ułatwiająca przywództwo ludziom najzdolniejszym. Demokracja narodowa w Królestwie tylko dzięki dobrej organizacji ująć mogła w całość chaos interesów i dążeń, myśl zbiorową zdołała wyrazić i utrzymać

przy sobie ster polityki, pomimo ciężkich przeciwności.

I oto drugie pytanie: do czego nas, nas szerokie masy, przedewszystkiem inteligencję, ta zmiana metody politycznej obowiązuje? Otóż to.

Niedogodnie nam było z przedstawicielami narodu, narzuconemi przez jedną klasę; możemy delegować teraz, po dokonanej reformie wyborczej, przedstawicieli więcej i lepiej dobranych. Ale tamta klasa miała wyrobienie polityczne, solidarność a przytem roboty polityczne mogła dokonywać własnym kosztem oddanych jej jednostek. Dziś, puszczając politykę na szerokie masy, zróżniczkowane etnicznie, nie zawsze uświadomione, narażamy sprawę narodową na wielkie niebezpieczeństwa. Aby zapewnić sobie w robocie politycznej nieodzowną świadomość celów i środków, włożyć musimy w te masy wiele pracy, na wiele energji organizacyjnej się zdobyć i wiele na politykę poświęcić środków materyalnych, składanych.

Polityka nie jest rzeczą zdrożną, jak głosili zawodowcy, odstraszając od niej innych tą teoryą (zresztą i swoim przykładem), ale kosztuje moralnie i materjalnie. Rezultaty nie przychodzą same, bo i pieczone gołąbki nie idą do gąbki; im więcej w nią społeczeństwo się angażuje, tem większych wysiłków i ofiar wymaga.

Życzmy więc sobie na progu nowego roku jasnej świadomości stanu rzeczy. Oby nas los uchro-

nił od niespodzianek; nic gorszego w życiu publicznem, jak niespodzianki! Powiedzmy sobie, że samemi hasłami wiecznie jechać nie będziemy, że właśnie do roboty szczegółowej wziąć się mamy. Ona sama się nie zrobi, nie zastąpi nas w czasach demokratycznych magnat: sami sobie fundusze zebrać musimy, sami pomyśleć mamy, kogo wybierać, w co go upełnomocnić, »*ne quid respublica detrimenti capiat*«.

Trzeba się organizować i oświecać, szerzyć odpowiednie wydawnictwa, brać udział w wiecach i na te wszystkie roboty nie szczędzić organizacjom środków.

Jednem słowem trzeba zrozumieć, że rozszerzając swe prawa, rozszerzamy swe obowiązki; rozumienia tej rzeczy należy w tych czasach gorąco życzyć naszemu społeczeństwu.

— — — — — — — — — — — — — —

Gdy w polityce, robiącej historję, punkt ciężkości przechodzi z gabinetów na masy, w nauce, piszącej historję, jednocześnie coraz większą odgrywa rolę metoda objaśniania zjawisk danemi socjologicznemi i etnologicznemi.

Nawet prastare dzieje piastowskie w nowem dziś występują świetle. Profesor naszego uniwersytetu dr. Wilhelm Bruchnalski w świeżo wydanej pracy o Piaście utrzymuje — wbrew dotychczasowym opinjom historyków, — że Ziemowit, który objął tron książęcy po ostatnim Popielu,

jako założyclel dynastji piastowskiej, był synem chłopa, książęcego rataja, Rzepy. A dostał się na tron prawem naturalnem zwyczaju, jako mleczny brat ostatniego potomka Popielowego. Chłopka Rzepicha karmiła piersią jednocześnie dziecko książęce i swego chłopca, późniejszego Ziemowita. Stąd rodzina chłopska znalazła się względem książęcej w stosunku pokrewieństwa z piastowania (piastowego=atałykatu) i stąd piastowy początek nowej dynastji. Po zaginięciu rodu Popielów, mleczny brat ostatniego ich potomka, na mocy adopcji (ob. postrzyżyny u Piasta z aniołami), objął dziedzictwo książęce.

Ojcostwo chrzestne, dzisiaj tylko rzecz obrządku, forma bez treści żywej, dawniej było faktycznem zastępstwem ojca; widziano w tem rozszerzaniu krewieństwa jedyny sposób utrwalania spójni i ciągłości plemiennej. Piastunem mógł być wedle prawa zwyczajowego tylko ktoś niższy stanowiskiem społecznem, więc wówczas dla księcia tylko chłop, skoro nie było książąt zależnych ani szlachty.

Gdym czytał te ciekawe rzeczy, stanął mi w oczach obraz stosunków dzisiejszych. Stare warstwy społeczne, niby ginąca dynastja, ustępują miejsca warstwom niższym, ale blizkim z pokrewieństwa mlecznego. Lud, politycznie adoptowany, wchodzi we wszystkie prawa swych poprzedników na arenie publicznej, w tyle odmiennem od pierw-

szych Piastów położeniu, że Popiele nie wymarli, że dzielić z nim będą mozół i odpowiedzialność pracy publicznej.

On to, lud, nasz wieczny piastun-odrodziciel, wniósł nam do życia publicznego nowe poczucie siły; ma on świeże poczucie osobowości, daleki od neurastenji ludzi społecznie przeżytych. Podnieśliśmy też głowę w górę, bo raźniej się czujemy:

Jest w ludzie siła niespożyta,
Zbawienie leży pod siermięgą...

Ale poczucie siły — to tylko podnieta do działania; gdy jednak to działanie ma być publicznem i odpowiedzialnem, trzeba mu dać treść, kulturę właściwą nowożytnemu poziomowi życia politycznego i kierunek narodowy. Ciężkie to zadanie, spełnione dotąd zaledwie w cząstce, powołuje nas, w tak szybko zmieniających się warunkach, do tem usilniejszej pracy oświatowej i organizacyjnej. Bo ta siła ludu — mówi poeta — to dopiero w popiele skra ukryta, więc »choćby ostatnią płuc potęgą dmuchajmy w tę skrę bożą«...

3. BEZWŁAD DUCHA.

Lwów, w marcu 1906.

W biurku swojem mam osobną szufladkę na dowody t. zw. »domorosłego hakatyzmu«. Szufladka jest pełna: istna kopalnia reklam swojskiego przemysłu i handlu. Poprostu niewiadomo, co z tym fantem robić, żeby nie nadużywać systemu piętnowania publicznego, z którem mniej honorowe jednostki się nie liczą, a nawet — przy pewnym cyniźmie — gotowe są uważać pręgierz za reklamę dla siebie. Pozostaje chyba sposób karcenia dla przykładu firm bardziej wydatnych i odpowiedzialnych przez publiczne oskarżanie ich o zdradę kultury narodowej. W tej myśli dobyliśmy niedawno na jaw fakt smutnie sensacyjny, że jedna z najpoważniejszych firm krajowych... posługuje się także językiem niemieckim w stosunkach z odbiorcami krajowemi.

Odkrycie tej znanej zresztą rzeczy, ale pobłażliwie tolerowanej, narobiło wiele wrzawy. Ze wszech

stron usiłowano przytoczyć nam okoliczności łagodzące winę browaru, głównie zaś brano w obronę osobę fabrykanta. Obrona ta była zbyteczna, uznajemy bowiem dostatecznie powagę i zasługi jego przemysłowe, wierzymy, że osobiście jest dobrym Polakiem, ale właśnie tem jaskrawiej i znamienniej przedstawia nam się na tym fakcie obyczajowość naszego zaścianka. Nawet tak uświadomiony pod wielu względami i tak ekonomicznie niezależny obywatel jak pan G., nie ma odwagi stanowić dla siebie praw towarzyskich (w zakresie swojego języka), ale ulega obyczajom, płynącym z niechlujstwa kultury handlarskiej.

Obrońcy niemczyzny w handlu wyobrażają sobie, że zupełnie wyjaśniają dany fakt przytoczeniem okoliczności, iż odbiorcami piwa są propinatorzy żydzi. Żydzi w Galicji mówią, a zwłaszcza czytają i piszą najchętniej po niemiecku, a więc i posiłkujący się temi pośrednikami wytwórcy, używać muszą języka niemieckiego...

— — — — — — — — — — — — — —

Tak się przedstawia główne źródło naszej niemczyzny. Trzeba sobie jasno zdawać sprawę z natury tego zjawiska. Nie jest to mianowicie germanizacja zewnętrzna, idąca od Niemców, ale choroba wewnętrzna naszej kultury, nasz katar niemiecki, nabyty dawniej i zaniedbany w spodnich warstwach żydowskich. Niewłaściwie też nazywamy tę chorobę »hakatyzmem«, bo nie

hakatyści ją szerzą. Jeżeli hakatą nazwiemy jakiś celowy wysiłek w obronie własnej kultury narodowej, to nam właśnie potrzeba odrobiny hakatyzmu polskiego, aby wyplenić z pośród siebie tę chorobę, pochodzącą tak samo z niechlujstwa, jak kołtun u chłopów, albo parchy.

I tutaj właśnie widać niemoc naszej kultury narodowej w Galicji, że warstwy cywilizacyjnie panujące, zamiast leczyć tę chorobę w społeczeństwie, same się nią zarażają.

Tak zżyliśmy się ze swoim brudem i chroniczną chorobą, że nie widzimy jasno ani przyczyny niedomagań, ani środków zaradczych. Ludzie domyślają się, że na to jest środek, mianowicie patrjotyzm. Dalejże więc do odświętnych praktyk patrjotycznych, jak obchody grunwaldzkie itp. zażegnywania złych duchów, jakoby z zewnątrz grożących! Nie dobrze jest rozumiana prawda, że *patrjotyzm jest kwiatem dobrej kultury*. Trzeba naprzód według potrzeb narodowych duszę swoją osobistą i zbiorową zbudować, a wtedy wszystko samo przez się będzie patrjotyczne, co w niej się pocznie.

O życiu patrjotycznem myślimy, jak o bohaterstwie, a ono powinno płynąć samo z duszy dobrze wykształconej, która nie potrafi być inną, jak polską. Sprawia to porządna kultura w duchu narodowym.

Ruskin, którego można brać za sędziego w rze-

czach kultury duchowej, utrzymuje, że stopień oświecenia jednostki poznać można najłacniej po tem, ile świadomości wkłada ona w każdy wypowiadany wyraz. Drobna napozór omyłka, świadcząca jednak, że osoba mówiąca nie zna historycznego pochodzenia swojskiego wyrazu i jego sensu, zdolna jest skompromitować w oczach Ruskina raz na zawsze najbardziej wytwornego intelektualistę. Od tego ideału ruskinowskiego, trzeba przyznać, bardzo jest daleko do typu naszego człowieka oświeconego, mówiącego naogół źle po polsku, a jeszcze dalej — do obyczajów mowy naszych szerokich mas miejskich, które nawet nie zdają sobie sprawy, jakim językiem się posiłkują, i jakim posiłkować się powinny.

Jak tu mówić o patrjotycznych zadaniach mowy polskiej, skoro się nad nią nie panuje w stosunkach codziennych? Chłop szerzy żywiołowo mowę swoją, bo to jego przyrodzona, jedyna mowa; ale na wyższych szczeblach oświaty, kiedy się zna kilka języków, albo w razie mieszania się różnojęzycznej ludności, kultura narodowa musi dać człowiekowi mocną podstawę rozumienia i czucia, że ten język, a nie inny jest jego językiem narodowym.

Nie jest to wcale patrjotyczne poświęcenie uznawać język narodowy i wdrażać wszystkich do szacunku dla niego; potrzeba na to elementarnej poczytalności obywatelskiej, która odpowiada poczy-

talności towarzyskiej, nakazującej szanować prawa domu.

Z kulturą takich najprostszych popędów i zasad narodowych jest to samo, co z hygjeną i obyczajem życia domowego. Byle parwenjusz zdobędzie się na komfort świąteczny, ale tylko człowiek z kulturą ma w domu czystość i ład na codzień. I tylko kultura daje mu dobry smak, że dąży do jednolitości w stylu urządzeń domowych. Na patrjotyzm obchodowy każdy się zdobędzie; ale tylko człowiek z kulturą czuje potrzebę postępowania w duchu narodowym na codzień. Kultura wpaja w krew zasady do tego stopnia, że przekroczenie staje się wprost niepodobieństwem mechanicznem, daje człowiekowi jeśli już nie czujność moralną przestrzegania praw i obowiązków narodowych, to ów dobry smak, nie znoszący w życiu przypadkowości i łataniny.

Społeczeństwo z kulturą narodową chce przedewszystkiem czuć się w domu swoim, jak u siebie; ono to, nie kto inny dyktuje u siebie prawa obyczajowe, język, jednem słowem styl swego domu.

Zwolennicy zasady: »w Polsce — jak kto chce« wytaczają na to argument taki: Żydzi, stanowiący naszą klasę handlową, nie pozwalają na jednolitość kultury narodowej. Zapewne, ale jeżeli co zrobiono u nas na szerszą skalę w kierunku spolszczenia żydów, to dokonali tego chłopi, właśnie

dla tego, że mają żywiołową moc nakazywania szacunku dla swego obyczaju. Ale już szlachcic galicyjski, mający do czynienia z tym samym żydem wiejskim, mówi do niego »z zasady« po niemiecku.

Szlachcic szuka wszystkiego, coby go odróżniało od chłopa, tak niepewny jest swojej własnej kultury! A już w miastach naszych, gdzie obyczaj polski rozchwiany jest zupełnie, tam byle urzędnik, byle kupiec dyktuje nam prawa obyczajowe!

Oczywiście warunki historyczne i społeczne, wśród których wypadło nam połączyć swoje istnienie z żydami, są czynnikiem bardzo poważnym i nie dadzą się odrazu przezwyciężyć. Mówię wszakże tylko o d ą ż e n i a c h kultury polskiej, a te byłyby zagrożone dopiero wtedy, gdyby się widziało, że krzyżują się z przeciwnemi dążeniami żydów. Ale tego niema. Żydom nie zależy na germanizowaniu kraju; muszą oni społecznie i ekonomicznie dzielić z nami wspólny obieg krwi, a jeżeli trwają w niemczyźnie, to dlatego, że w swoich ciemnych masach jeszcze mniej dbają o kulturę od nas. Prędzej czy później muszą się jednak dostroić do tonu i stylu społeczeństwa polskiego. Co do języka zresztą, nawet sjoniści uznają w zasadzie mowę krajową, bo na niemieckiej nie może im zależeć.

Potrzebny jest tylko wysiłek z naszej strony;

zmuszać trzeba sfery niekulturalne do pewnych obowiązków względem języka panującego. Żydzi nietylko nie mogą mieć nic przeciwko temu, ale owszem, mogliby słusznie pomówić społeczeństwo polskie o dążności separatystyczne, gdybyśmy nie pragnęli ujednostajnić kultury, rozciągając i na nich.

— — — — — — — — — — — — — —

Przemysłowiec pewien, z którym o tem mówiłem, rzekł:

— Przemysłowiec nie jest powołany do robót narodowych. To nie nasza rzecz. Robię towar i muszę go sprzedać. Kiedy mam kupić, to mogę pisać po polsku, ale z towarem niema żartów. Z kupcem żydem muszę tak korespondować, jak on chce.

Tutaj przemysłowiec wpadł w nastrój pesymistyczny i zaczął wróżyć złą przyszłość społeczeństwu, które »się rozbija« patrjotyzmem, a niema pieniędzy. Żydzi mają pieniądze, a my nie mamy. Pocóż oni mają robić wysiłek, żeby się dostosować do naszej kultury, skoro i tak mają pieniądze?

Mieszczański pogląd na świat jest wogóle pesymistyczny. Pieniądz rządzi światem — ślepa siła, wobec której wszystkie inne walory społeczne i zadania życiowe są czczą igraszką. Według tego poglądu świat dzieli się na dwie części (niestety nierówne): tych, co mają pieniądze, i tych, co pie-

nędzy nie mają. Pierwsi dyktują prawa, drudzy ulegają.

Ten barbarzyński, że nie powiem: ordynarny pogląd pleni się stokrotnie z każdego posiewu właśnie tam, gdzie niema kultury, gdzie się nie zna z własnego doświadczenia rozkoszy i mocy panowania niematerjalnego. Taki obywatel z »pekunjarnym« na świat poglądem czuje się wobec przedstawicieli gotówki tak upokorzonym, że nie śmie powołać się na swoje, daleko mocniejsze prawa społeczne i narodowe.

Tutaj tkwi drugi węzeł zagadnienia, mianowicie w tem, że wraz z myślą polityczną zatraciliśmy miarę rzeczy społecznych i narodowych. Nasze hasła i ruchy wyglądają tak, jakbyśmy w poglądach społecznych zapożyczali się od tłumu, zwłaszcza od przekupniów żydowskich. Cały swój demokratyzm zwulgaryzowaliśmy, biorąc od ciemnych mas uproszczony pogląd na złożone sprawy społeczne i narodowe. Zdało się nam, że demokratyczne jest to, co jest z demosu; tymczasem demokratycznem jest to, co jest dla demosu.

W umysłowości, nie ogarniającej całokształtu cudownej budowy narodowego społeczeństwa, wyobrażenie bogactwa materjalnego, jako siły społecznej, olbrzymią gra rolę. Za czasów bodaj gospodarki naturalnej wymyślono u nas teorję demokratyczną, do dziś dnia mającą swój obieg, że chłopów należy kupować dla sprawy narodowej, wiele

im obiecując z y s k u na odbudowaniu ojczyzny. Obiecać chłopu wiele ziemi, pastwisk — to będzie się bił za ojczyznę i będzie ją kochał. Pogląd zdemoralizowanego biedą parobka wiejskiego.

Cóż się zrobiło na naszym gruncie z socjalizmem? Miał on odrodzić humanitarne ideały społeczeństwa, umysłowość, kulturę; cała budowa i wszystkie funkcje społeczeństwa miały się przeobrazić wedle szerokiego ideału socjalistycznego. Zanosiło się na to, póki teorja była świeża, »prosto z igły« niemieckiej. A oto po pewnym czasie, jak sobie ten ruch społeczny uproszczono w Galicji za popędem instynktów! Świat dzieli się na dwie części: tych, co mają pieniądze i tych, co pieniędzy nie mają. Nie trzeba pozwolić, aby piersi »nabijali kabzę«...

O innej działalności socjalistycznej poza bojkotowaniem cudzej »kabzy« nie słychać. I pod tym względem nie widać, aby ta działalność obyczajowo i teoretycznie odbijała od kołtuńskich ideałów ekonomiczno-społecznych masy żydowskiej. Ruch społeczny tego rodzaju, zapoznając zupełnie interesy społeczeństwa jako całości, zajęty całkowicie podziałem kabz, przy swoich stosunkach międzynarodowych łatwo użyty być może do systematycznego rujnowania przemysłu krajowego na rzecz przemysłów konkurencyjnych.

Cóż się przeciwstawia u nas temu duchowi rozkładu? Te same powody, które pozwalają ple-

nić się mowie obcej w stosunkach prywatnych, sprzyjają rozkładowi przewodniej, rządzącej myśli narodowej. Dzieje się tak wtedy, gdy ruch narodowy zaniedba swej kultury i, w obawie wysiłku odradzania się, dąży bezwładem do pozycji najdogodniejszej.

Zamiast podnosić i cywilizować ciemne warstwy ludności, stawiąc im przed oczy nowy, zastosowany do potrzeb nowożytnych ideał życia narodowego, myśmy sami do nich się obsunęli i, zacieśniwszy widnokrąg swoich myśli i uczuć do widoku (pustej bądź co bądź) »kabzy«, ugrzęźliśmy w pesymizmie i bezradności. Zamiast objąć swoją kulturą żydów i dźwignąć ich ku sobie, jak to czynią narody cywilizowane, utrwalamy wśród nich niemczyznę, przejmujemy od nich »pekunjarny« pogląd na sprawy wraz z pogardą dla samych siebie.

Gdyby tylko takie miały być owoce naszego uprzemysłowiania i uhandlowania kraju, to dalibóg — lepiej to wszystko zburzyć, cofnąć się jeszcze dalej wstecz do stosunków sielskich, bodaj pasterskich — na wieś (z przedmieściami). Przyszłoby co prawda wtedy do znaczenia stronnictwo ludowe, ale nie mając współzawodnictwa (w licytowaniu *in minus* ideałów demokratycznych) w socjalistach, doszłoby może do porozumienia ze społeczeństwem.

— — — — — — — — — — — — — —

Żart na stronę. Umyślnie poruszyłem tak drobny napozór motyw, jak obawa narażania się własnej ludności swoją mową, aby pokazać, jak rozchwiane mamy samopoczucie swoich praw życiowych, swojej żywotności i — swej godności.

Wulgaryzując potrochu swoje ideały społeczno-narodowe, doszliśmy do zapoznania faktu, że społeczeństwo cywilizowane, choćby pozbawione było samoistności politycznej, posiada wiele walorów takich, z któremi każda jednostka czy grupa, wyodrębniająca się etnicznie, liczyć się musi, a nawet ich pożądać.

Z tego stanowiska patrząc, nie można brać żydów, całkowicie nie spolszczonych, choćby równouprawnionych i bogatszych od nas, za sferę uprzywilejowaną od losu. Rozwijając swoje władze, jako klasa handlowa, zbyt jednostronnie, nie biorąc udziału w życiu cywilizacyjnem społeczeństwa, pod wielu względami są oni z natury rzeczy upośledzeni. Nie trzeba więc zapoznawać swoich przewag, jakie mamy. Na długą metę dziejową biorąc (nie ze stanowiska podziału »kabzy«), panami sytuacji są zawsze ci, którzy do stołu biesiadnego cywilizacji mogą dopuszczać, ci, którzy tworzą dzieje danego społeczeństwa. O ten udział w twórczości coraz szersze koła społeczne się ubiegają; na tem polega rozwój wewnętrzny stosunków i to jest sens dziejów.

Myśmy to poczucie swojej roli twórczej w Galicji zatracili, zwulgaryzowali w sobie. Za nic nam wszystkie widoki odradzania się, za nic ziemia, za nic genjusz narodowy, za nic praca twórcza, której pole leży przed nami odłogiem! My już nic z sobą nie zrobimy, bo nie umiemy handlować i pieniędzy nie mamy... Nawet mowy swojej nie mamy prawa czynić panującą...

Taki pesymizm tym, co już wiele dokonali i co pracują z myślą o jutrze, nie przystoi. Do góry więc głowa!

4. NASZA NĘDZA.

Lwów, 6 października 1906.

Dziennikarz miewa chwile zwątpień; nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe. Zwątpienie wszakże ludzi żywotnych (a do takich dziennikarze należą) są przelotne. Wystarczy chwila głębszego zastanowienia, aby się pocieszyć; należy tylko od szczególnej sytuacji, w jakiej się umysł pod wpływem zwątpienia znalazł, przenieść się szybko na jedno z tych wysokich stanowisk filozoficznych, z których nie widać już kwestji, jakby każda była zerem. Wszystko jest ostatecznie drobnostką wobec wieczności. Ale jeszcze jest lepiej zejść z takiej wyżyny inną stroną, niż się weszło i po drodze uszczknąć na jednym ze wzgórków poznania odmienną miarę tejże rzeczy, która stała się przedmiotem poznania.

Więc np.: czy warto oddawać duszę robocie

dziennikarskiej, czy moi bliźni (rodacy) mają z tego odpowiedni pożytek? Wydaje się czasami, że nie słyszą, co im się mówi, bawią się tem, w co życie się kładzie. Może nie warta gra świeczki...

To jedna strona. A ktoś powie: Nie trzeba wątpić o sobie. Wszystko, w co opatrzność dziejowa ludzi opatrzyła, jest jak płód natury. Wszystko ma swoje przeznaczenie i musi być pożyteczne, skoro jest. Pamiętacie, jak to było w dzieciństwie? Zdawało się wam, że te lub inne stworzenia są zbędne, nawet szkodliwe. A to nieprawda. Krety, gdyby wiedziały, jak są potrzebne, nie chowałyby się ze wstydu pod ziemię. Bo pospolicie się nie wie, że stworzenia te są pożyteczne — tępią owady itd. Nauka jest bezinteresownym adwokatem wszechstworzenia. Pomyślcie więc, czy i dziennikarstwo nie ma jakiej dobrej strony.

I oto gdy się już zdawało, że wszystko stracone, duszę napawać zaczyna jutrznia otuchy. Pomyślmy tylko dobrze, coby znaleźć na obronę dziennika, a pewno coś się znajdzie. Skoro już sprawa pożytku duchowego stracona, pomyślmy, czy dziennik nie jest przypadkiem potrzebny dla zdrowia fizycznego. Czemś przecie trzyma się on życia, jeśli istnieje. Może on ciału potrzebny?

Wtedy zjawia się lekarz hygjenista po tamtej stronie interesującego nas zagadnienia i, poprawiwszy okulary, rzecze:

»Mówię to z całą rozwagą, że gazeta ze wszystkiemi swemi błędami, jest jedną z opok dla utrzymania naszego zdrowia w czasach obecnych. Stanowi środek przeciwdziałający rozstrajającej nerwy pracy dla celów samolubnych; nadaje krótkowidzom szerokie widnokręgi... Jest w swoim tragizmie i w komizmie swoim prawdziwa i rzeczywista, gdy romans to tylko złudzenie. Przynosi nam krótkie urywki życia w postaci gawęd. Dostarcza tuzina bohaterów. Daje łatwo strawny pokarm duchowy... Niejeden tylko dzięki swojej gazecie został od melancholji uratowany. Gdybyśmy chcieli znieść gazety, musielibyśmy powiększyć jednocześnie domy dla obłąkanych«.

Do takiego wniosku doszedł jakiś hygjenista Anglik — sir Jakób Crichton Brown. Niech mu Pan Bóg da zdrowie!

Piszmy więc i czytajmy! Teraz dopiero rozumiem, dlaczego szpital w Kulparkowie jest przepełniony: za mało czytujemy dzienników. A może dzienniki nasze są »niehygjeniczne«? Może dają pokarm niestrawny? Może za mało dostarczają bohaterów? Może je czytamy jak romans, nie jak prawdę — i dlatego Kulparków przepełniony? Kto temu zresztą winien: dziennik, czy życie?

Dla człowieka ciekawego żadna rzecz dna nie ma. Zróbmy więc gdzieś punkt i mówmy o czem innem, już nie o dziennikarstwie, lecz o życiu sa-

mem, które — jak słusznie hygjenista angielski zauważył — nie jest romansem.

— — — — — — — — — — — — — —

Bo co to za romans, którego głównym wątkiem jest np. drożyzna? Dzisiaj, żeby jeść mięso, trzeba być chyba socjalistą z Królestwa, gdzie się już równy podział dóbr dokonywa. We Lwowie zwyczajny »burżuj«, utrzymujący się, jak wiadomo, z płacy skarbowej, gdyby chciał żywić rodzinę mięsem, nie miałby już za co nabyć wykałaczek, tak niezbędnych po dobrem jedzeniu. Uciążliwość drożyzny jest tem tragiczniejsza, że w znacznej części nie jesteśmy panami swoich dochodów: dochody są zbyt stałe jak mur, a wydatki zbyt ruchome; coraz przyciskają nas do muru, aż kości trzeszczą.

Nieszczęsna dola ludzi, którzy nic nie wytwarzają i nic nie oszczędzają, a nawet pracować nie umieją. Ci są właśnie, którzy myśleli, że życie jest romansem. Oni to czytają dziennik jak romans, a romans jak żywą prawdę. A tych jest u nas więcej, niżby normalne społeczeństwo dźwignąć mogło.

Dziennikarz, jak nowożytna Hestja strzegący świętego ognia optymizmu, gotów i w tym wypadku znaleźć pociechę, bo niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. I drożyzna jest pożyteczna, niszczy bowiem pewne bakterje ekonomiczne.

Dla równowagi budżetu można zniżać rozchód, można też podnosić dochody. Byłoby dobrze mieniać się teraz z rolnikiem na produkcje: on mi daje drogie artykuły spożywcze, a ja mu dam drogo produkt fabryczny. Byłaby równowaga w naszym budżecie miejskim. Ale my nie mamy nic do wymiany, nie mając przemysłu. Ktoś gdzieś, jakiś Czech lub Niemiec dokonywa u nas tej wymiany za naszemi plecami, a my płacimy coraz drożej i za produkty roli i za produkty fabryczne. Podnoszący się coraz wyżej poziom cen zalewa nas, jak dziurawe łodzie.

Są to impresje drożyźniane dziennikarza, który także niema się czem mścić na rzeźniku; jego dochody (i cena prenumeraty) również nie rosną w takim stosunku, jak ceny mięsa; ale on rozumie położenie urzędnika galicyjskiego, któremu rząd nie podnosi płacy w miarę wzrostu drożyzny lub robotnika, któremu organizacja zawodowa nie da zarabiać więcej, jak zarabia towarzysz najmniej zdolny.

— — — — — — — — — — — — — —

Trzyma nas w niewoli nędza. Nędza kraju? Nie! Nędza pracy naszej; kraj jest bogaty w przyrodzeniu swojem. Tylko rewolucja może nam pomódz, mianowicie rewolucja pojęć o życiu. Dzisiaj jest ono romansem austrjackim, kiepskim romansem, któremu, mówiąc po dziennikarsku, szkoda

poświęcać wszystkich szpalt dnia. Pójdzie to z czasem na odcinek życia, jako wspomnienia czasów niewiarogodnych, a jednak historycznych. Życie swoje nowe zapełnimy twórczością samodzielną na wszystkich polach pracy ekonomicznej i społecznej. Jednym z takich rewolucjonistów, walczących z układem stosunków i obyczajów myślenia w kraju, był Szczepanowski. Jego romantyzm ekonomiczny miał to wspólnego z dawnym poetyckim, że dążył do tworzenia życia swoistego, że rozbijał skorupę obcą, naleciałą, pod którą marł puls życia narodowego.

On to tworząc nowe życie, stworzyć chciał równolegle nowy dziennik, aby wyobraźni ogółu otworzyć oczy na »szerokie widnokręgi« pracy samodzielnej, dostarczającej »tuzinami bohaterów«. Ale walka była nierówna. Padł; zaszczepił wszakże pożądania ekonomiczne, pozostawił pokoleniom testament, w którym krwią doświadczeń wypisano, że dla rozwoju życia prawdziwego w Galicji potrzeba przedewszystkiem wyrzec się słodyczy romansu wiedeńskiego.

Jak od neurastenji (wedle hygjenistów) ratuje nas czytanie dziennika, przez który, jak przez okno, widać bujne, różnorodne życie, — tak od melancholji społecznej, od zwątpienia o sobie, od uwiądu narodowego uratować nas może jedynie udział w żywej, własnej twórczości na wszystkich polach.

Nasza egzystencja przypomina kobiecą; niema w sobie męskości, która jest główną cechą indywidualności narodów. Galicja, jak anemiczna panna, zatopiła w zamęźciu nazwisko, osobowość, majątek (bez intercyzy!) — i dobrze jej z tem — p. G. Alicja Wiedeńska...

Obecny zjazd górników dostarczy dowodów, ileśmy zarobili na nafcie, którąśmy Austrji w posagu przynieśli. Zdaje aię, że nie więcej jak 10 procent tego, co zarobili na niej rząd i rafinerzy obcy. Za te 90 procent mamy trochę posad w biurach, w biurach coraz liczniejszych, coraz więcej spotrzebywujących papieru i atramentu — oczywiście obcego wyrobu. Znam wielki majątek, oddany kupcom leśnym w dzierżawę za bezcen dlatego tylko, że dwaj właściciele, otrzymawszy go po ojcu rolniku w spadku, byli na urzędach (w starostwie i w sądzie) i »powołanie« nie pozwoliło im zająć się majątkiem. Jakże istnieć bez płacy rządowej!

Co tu mówić o tworzeniu przemysłu, choćby rolnego, o obronie honoru swojej twórczości, kiedy my dla obroży poświęcimy sam warsztat, ziemię świętą. Do stworzenia przemysłu samodzielnego potrzeba mieć nietylko majątek, ale duszę samodzielną, bo to jest twórczość. Jako dobro krajowe, przemysł może być wytworzony współdziałaniem wszystkich. Niepodobna przecież utrzymać fabryki, obliczonej na spożycie miejscowe, wbrew woli

mieszkańców, zwłaszcza wbrew woli pośredników handlowych.

Opowiadał mi pewien fabrykant lwowski, jak systematycznie bojkotują go kupcy miejscowi. Nie chodzi im o cenę, o dobroć cukierków, o opusty — honor sklepu »porządnego« nie pozwala na trzymanie jakichś wyrobów miejscowych. Dobry ton — cukierki Hellera! Czy nie romans? Romans, bo spożywca polski kocha się we wszystkiem, co wiedeńskie — cukierek lub mydło wiedeńskie potrzebne są jego sercu, jak pukiel włosów kochanki. Dla kupca to fakt realny, z którym się musi liczyć. Na jakimże innym popędzie spożywców się oprze? Na ambicji narodowej? Pani G. Alicja Wiedeńska, faworyta austrjackich rajsenderów, nie ma swoich popędów, jest całkowicie bierna, a co się z nią dzieje, to już jest sprawą popędów cudzych.

Dowiadywałem się w pewnej fabryce, idącej przebojem przez nasze życie ekonomiczne, które koniecznie chce być romansem. Dopóki szpitalom naszym dostarczały materjałów opatrunkowych fabryki obce, aptekom naszym, ani się śniło jej bojkotować. Odkąd jednak fabryka lwowska wzięła się do fabrykacji tych materjałów, nastrój się zmienił; obecnie istnieje między aptekami tajne porozumienie bojkotowania fabryki za wszelką cenę.

Niedawno zażądałem w jednej z największych

aptek pewnego artykułu fabryki miejscowej. Dano mi obcy wyrób. Gdym zaprotestował, znaleziono czego żądałem, ale kazano mi zapłacić o 50% drożej, niż fabryka na to pozwala. A ile przytem naskładano zapewnień i zaklęć, że fabrykat zagraniczny jest lepszy!

Znam wypadek, że przemysłowiec miejscowy oddawał do handlu wyrób bezspornie dobry z opustem 50%, a jednak odrzucono go, aczkolwiek fabrykant z Opawy dał tylko 26%. Ileż to ofiar kupiec ponieść musi dla zasady popierania wyrobów obcych! Nie zawaha się on popełniać fałszerstwa, aby tylko towar obcy przemycić. Sprzedają więc kupcy za swoje wyroby budapeszteńskie, czeskie, wiedeńskie, nalepiając na towarze niemieckim etykiety z napisem: »wyrób krajowy«, a nierzadko dla zamaskowania prawdy, a dla zaspokojenia zdawkowego sentymentalizmu etykiety z wizerunkiem herbu polskiego, lub napisem »Polonia!« Cyniczne wyzyskiwanie anemicznego patrjotyzmu, okropne świadectwo dla kupiectwa naszego, które zawsze przodowało poczuciem obywatelskiem.

— — — — — — — — — — — — — —

Nie będę mnożył przykładów — odkładam je do innej sposobności, a może wtedy dla większego ożywienia dziennika wymienię firmy z nazwiska. Chciałbym, idąc za radą hygienisty angielskiego, aby dziennik chronił was, czytelnicy, od

neurastenji, żeby »przeciwdziałał rozstrajającej nerwy pracy dla celów samolubnych«, »przynosił krótkie urywki życia w postaci gawęd«, a zwłaszcza żeby wam dostarczał »tuzinami bohaterów«. To jest potrzebne wam dla zdrowia i to mnie obowiązuje.

5. GORZKIE ŻALE.

Lwów, 16 lutego 1907.

Minął karnawał, jak sen złoty...

Ze wszystkich miast polskich Lwów bawił się najlepiej. Miasto najbardziej demokratyczne najwięcej wydało balów i to nie byle jakich — były to bale publiczne, w salach dekorowanych, strojne, a na każdym stawało do tańca od stu do dwustu par. Zakasowaliśmy Warszawę, cóż mówić o Krakowie lub Poznaniu!

Dawniej i dziś! Bawiono się tak tłumnie dawniej w salonach królewskich i magnackich, a dziś to wszystko się uspołeczniło. Te sfery, które o balach tylko ze słyszenia wiedziały, a same zadawalały się wieczorkami w ośm par w saloniku na imieniny, dziś urządzają wersalskie przyjęcia karnawałowe, na jakieby się magnat może już nie zdobył. Oto bale: Rymanowski, Akademicki, Lekarski, Prasowy itp.

O ciągłości historycznej obyczajów karnawało-

wych świadczy w Galicji tylko instytucja obrzędowa »protektorów balu«. Jak chłopi zapraszają na wesele dziedzica, tak my oddajemy berło gospodarzy przedstawicielom dawnych rodów arystokratycznych, aby nam, jako doświadczeni w rzeczach zabawy, patronowali w działalności na tak ślizkiem polu, jak posadzka balowa. Ten obrzęd kapłański patronatu, polegający na symbolicznem odtańczeniu przez hrabinę i hrabiego poloneza w pierwszej parze — to szacowny zabytek czasów patrjarchalnych, arką przymierza między staremi a nowemi laty, — jedyny szczątek dawnego przywileju balowania, dzisiaj zniesionego.

Po za tem ani śladu przywileju. Zabawa stała się funkcją społeczną, jak i praca; te same instytucje, które przez cały rok orzą w ludzi na niwie społecznej, w karnawale urządzają dla nich bale. Szczęśliwe połączenie »*utile dulci*«. Z jednej strony bal, przysparzając dochodu na cele instytucji, umożliwia dalszą pracę, a z drugiej jest dla obywateli zasłużoną za trudy, troski i ofiary — nagrodą. Pierwiastek nagrody w karnawale musi przemagać — i tego nie można mieć za złe. Nawet bal karawaniarzy byłby zupełnie prawowity — ludzie powinni się bawić wesoło. Zwłaszcza taniec jest zabawą odmładzającą.

Ale z powodu tych zabaw uderzyła mnie jedna rzecz, mianowicie, że nasz taniec dziwnie błędne koło zatacza. Jowialski nie połapałby się.

Dawniej mówiono: »Chociaż bieda w kamienicy, ale hasa na ulicy«, »Choć bieda — to hoc«. I to prawda realna: taniec zagłusza biedę. Zmysł praktyczny społeczników potrafił jednak spożytkować ten popęd ludzki i opodatkowano taniec. Niech mniejsza bieda tańczy na większą; w ten sposób przysłowia się przekształciły: »Ponieważ bieda w kamienicy, więc się tańczy na ulicy«; »Ponieważ bieda — to hoc«. Istny karuzel: bieda biedę pogania.

Wynalazek wcale sprytny. W ten sposób można z pewną korzyścią opodatkować taniec na rzecz potrzeb społecznych. Ale we Lwowie tym aspiracjom społecznym staje na drodze przeszkoda natury ekonomicznej: drożyzna.

Od ludzi, którzy chcą się zabawić, ściąga się znaczny podatek, za wielki, jak na ich zamożność, a przecież za te pieniądze, nie można urządzić skromnej zabawy i odłożyć z nich, ileby należało, na cel dobroczynny. Nie jesteśmy ekonomicznie przystosowani do potrzeb społecznych. To, co się robi w karnawale, to ilustracja stosunków, przez cały rok panujących. Są to wysiłki nad stan. Trudno uwierzyć, że koszta urządzenia jednej zabawy na cel dobroczynny sięgały tego roku do 5000 koron i że niektóre zabawy, pomimo niezwykłego powodzenia, przynosiły gospodarzom deficyt.

Lwów jest miastem bardzo drogiem. Jeśli chodzi o jaki taki komfort i zbytek, to napewno tyle

one kosztują, co w jakichś stacjach kolonjalnych w Afryce lub Azyi, gdy zamożniejsi Europejczycy chcą się zabawić lub zażyć niezwykłej dla tubylców wygody. Ale zbytek zaczyna się we Lwowie od mięsa i węgla, a komfort od mieszkania. My tu na codzień płacimy sa swój »*standard of life*« sumy takie, jak ambasadorowie w krajach zamorskich. Cóż dopiero, gdy wypadnie zabawę urządzić! Za wynajęcie sali płaci się we Lwowie na jeden wieczór około tysiąca koron! A te sale znamy: uprzywilejowana we Lwowie sala balowa — to brudna i cuchnąca, jak stajnia, rudera, w jakiej gdzieindziej urządzałoby się najwyżej polityczne zebrania ludowe.

Miasto nasze nie dostosowało się jeszcze do potrzeb wielkomiejskich nawet w życiu codziennem. Biedne jest — nie może się zdobyć na lokale publiczne. A wymagania wciąż rosną, na każdym kroku zaskakują gospodarzy, tańczących w błędnem kole potrzeb i środków — niestety tańczących zbyt długo w jednem miejscu, jak we śnie.

— — — — — — — — — — — — — —

Kiedyż mówić sobie gorzką prawdę, jeśli nie w popielec? Dr. Stanisław Grabski właśnie w tym dniu pisał swój artykuł o naszem »Bogactwie« narodowem, wydrukowany w numerze czwartkowym »Słowa Polskiego«. Napisał prawdę bez ogródek, wprost, szczerze, ale co ważniejsza — napi-

sał prawdę istotną. B i e d a — oto wspólny mianownik spraw naszych w Galicji.

Bardzo trafne jest spostrzeżenie autora, że nie lubimy wyrazu tego wymawiać publicznie. Są prawdy — mówił Mickiewicz — które mędrzec zwierza tylko przyjaciołom domu, są takie, których odkryć nie może nikomu. Ale ta nasza dyskrecja nie tyle z mądrości płynie, ile ze słabości ducha, lub poprostu z niewiadomości. Do chronicznego bólu można przywyknąć, cóż dopiero do biedy, która jest stałą naszą atmosferą. Nie bierze się na rozum teoretyczny tego, co jest żywiołem życia, jego prawem. Atmosfera biedy skrapla się w nastroju powszednim w smutek; żywszy temperament, smutkiem zatruty, wydaje z siebie niekiedy Galgenhumor — humor szubieniczny; a charakter się łamie, gdy uciskowi biedy towarzyszy pojęcie nieuniknionego fatalizmu. Kończy się wtedy na życiu i czynie szubienicznym. A to gorzej. Nic tak nie demoralizuje, jak bierny do stałego ucisku stosunek. Człowiek wychodzi cało moralnie, gdy biedzie przeciwstawi wolę swoją, gdy upatrzy sposób wyjścia i postanowi ją zwalczyć.

Nie moje tu zadanie wskazywać drogi wyjścia, rzecz to ekonomistów; jako feljetonista muszę szukać wyjaśnień wewnętrznego związku, jaki zachodzi między wydarzeniami dnia. Ze zdarzeń tych jedne — jaskrawsze — notują się w kronikach, ale większość mija, niepostrzeżenie w szarem pod-

ścielisku powszedniości Wypadki jaskrawe frapują, pamięta się je nieraz lata, ale zwykle w korzeniu nie różnią się one naturą swoją od tysiąca fakcików, z których życie układa szary, pospolity deseń stałych stosunków, obyczaju i nałogów.

Mnie uderza u nas nie tyle bieda we wszystkich dziedzinach, ile zżycie się z nią ludzi. Bieda uczy rozumu, ale nie wtedy, gdy przechodzi w system ogólny — wówczas rodzi apatję. I sądzę, że nie mówimy publicznie o biedzie, bo za słabi jesteśmy duchem — straciliśmy wiarę w swoje siły, a do tego przykro się przyznać; czekamy cudu i łudzimy się. Zmogła nas niedola, zanim dojrzeliśmy do walki. Nurtuje w nas głuche poczucie słabości. I to jest nasza mądrość, dla której prawdy nagiej nie zwierzamy nikomu.

Zdobędą się na nią ci, co poczują w sobie przypływ sił. My ją powiedzieć mamy odwagę. Szczepanowski rzucił ją nie z pesymizmu, ale właśnie, że wezbrał w nim optymizm co do swoich sił własnych. Sądził, że zło pokona — brał siły na zamiary — romantyk zbyt odosobniony. Nie przyszedł był jeszcze czas, aby prawdę o biedzie mędrzec mógł »szeptać narodowi«.

Z drugiej strony ci, co publicznie nie chcą prawdy demaskować, działają nieraz z pedagogicznego wyrachowania, aby nie przygnębiać wątpiącego społeczeństwa. Tak krzepi się chorych — suggestją.

— — — — — — — — — — — — — —

A przytem w Galicji — jeśli chodzi o rozbudzenie ruchu umysłowego w sprawach ekonomicznych — niema tak bardzo z kim wieść dyskusji. Nie dziwię się, że u nas niema towarzystw naukowych ekonomicznych, ani instytucji odpowiednich, nawet czasopism. Są zawodowe, praktyczne dla ludu, ale »Ekonomista« wychodzi w Warszawie. Sfery oświecone w Galicji nie dorabiają się, nie wytwarzają bogactw. Jedni dziedziczą, rozdrabiają, tracą; inni, a tych większość, idą na utrzymanie skarbu, jako urzędnicy. Pozycję życiową określa miejsce w szematyzmie; ta księga jest źródłem mądrości ekonomicznej. Nasza myśl ekonomiczna pozbawiona jest zgoła kultury, nie umiemy wprost myśleć o zadaniach twórczych i wytwórczych.

Namiestnik hr. Potocki w mowie, wygłoszonej w ubiegły czwartek na otwarciu sesji sejmowej, był publicystą, gdy ubolewając nad przepełnieniem gimnazjów klasycznych, wskazał chorobę społeczną: posadomanję. Liczba wychowańców szkół realnych nie rośnie, ale zmniejsza się. Wszyscy dążą do zajęć biurowych przez gimnazja; do zajęć w przemyśle i handlu nikt się nie garnie. Ileż to biadań słyszymy codzień we wszystkich gałęziach pracy wytwórczej: skąd wziąć ludzi? Istna pustynia! Co tylko kraj wyprodukuje inteligencji, wszystko to siedzi przy biurkach, nic nie zostaje do pracy samoistnej. To, co ze szkół odpada i w biurach się

nie zmieści, to włóczy się po świecie — bezradne, nic nie umiejące, nie przydatne do niczego, jak tylko do żebractwa i synekur.

Do zajęć odpowiedzialnych sprowadzać trzeba ludzi z zagranicy i z za kordonu. A próby zawracania młodych ludzi od posad rządowych na pole pracy naukowej, literackiej, dziennikarskiej, gospodarczej, przemysłowej, handlowej są bezskuteczne. Czasami chciałoby się z rozpaczy wszcząć akcję w celu namówienia rządu, aby zniósł emerytury. Wtedy może zraziliby się ludzie do zajęć biurowych i zaczęliby pracować samodzielnie.

Społeczeństwo nasze jest wyssane przez machinę biurokratyczną. Bieda ekonomiczna, stąd płynąca, to nie tylko kwestja uposażenia urzędników, ale więcej: to kwestja wyczerpania społeczeństwa z sił twórczych. Potrzeby społeczne wciąż rosną i komplikują się, a niema komu zająć się niemi. Jesteśmy najbiedniejszem ze społeczeństw nie dlatego, że brak nam pieniędzy, ale że ludzi nie mamy.

6. NA CMENTARZU.

Lwów, 27 października 1906.

Szliśmy za trumną śp. Aleksandra Zalewskiego, »profesora uniwersytetu lwowskiego«. Tak się mianował z wiedzą i z woli senatu uniwersyteckiego oraz rządu państwa ów uczony nędzarz, od 20 lat oddany całkowicie na usługi wszechnicy.

Szliśmy, rozmawiając o jego życiu i dziwnych losach, które jednak po bliższem rozważeniu przestają być dziwnemi. Na karawanie siedział sztywny woźnica w pięknym kapeluszu a białych jak śnieg rękawiczkach. Karawan lśniący, koły niego zastęp czarnych, jak kruki, odzianych pięknie z węgierska żałobników, szereg pedlów uniwersyteckich z berłami, potem dziekani wydziałów, senat, rektor — wiele młodzieży. Ostatnia posługa, do niczego nie obowiązująca — zamknięcie niepokojących rachunków. Ostatnia, ale niestety i — pierwsza!

W życiu — jak na tłumnym pogrzebie. Kto

się zamyśli lub zagada, ten w tyle zostaje, tłum go wyprzedzi. Żeby nie wypaść z szeregu, trzeba usiłować z całą przytomnością innym w kroku sprostać, a na to żeby ich wyprzedzić, należy pod boki się ująć, łokcie rozeprzeć, twarde łokcie — i przebijać się. Kto tego nie potrafi, całe życie iść będzie na ostatku, nawet na pogrzebie. Fala ludzka — tem różna od żywiołu, że rozsypuje się koło ciebie i nie porywa. Gdy się ugniesz, stratuje, ale nie weźmie na ręce i nie poniesie do cudzego przeznaczenia. Każdy w sobie nosi swoje.

Ś. p. Zalewski miał swoją nabytą biernem doświadczeniem mitologję. Fortuna — to ta bogini, która tratuje po drodze swem kołem. Inni u niej, jak we własnym automobilu, a on ustępuje z trwogą. Zniechęciło go to do ludzi. Gdyby był do tego zdolny, jakżeby zazdrościł pedlom uniwerstyteckim, mającym byt ubogi, ale zabezpieczony. On — docent, później profesor nominalny nie miał nigdy pewnego mieszkania i jadła, bo mu za pracę nie płacono. Rozumowano, że skoro pracę naukową kocha, to ma w tem taką nagrodę, jakiej nie dorówna największa pensya rządowa, dana temu profesorowi, który pracy nie kocha...

Były lata, że Zalewski, nie mając swego kąta, spędzał noce w laboratorjum uniwersyteckiem — na stole. Zlitował się raz woźny i powiedział o tem profesorowi (innego wydziału), ten powiedział o tem na senacie, wskutek czego dodano Zalewskiemu

»ubikację«, gdzieby mógł spać — na kanapie. Pod koniec życia może istotnie zbytnio zdziwaczał, aby mu jakakolwiek płaca była już potrzebną, ale ta jego nieporadność pochodziła z ogólnego wyniszczenia energji organizmu.

— Zjadła go docentura — mówiono za pogrzebem.

— Więcej będzie takich...

W tej nieprzewietrzanej ruderze, źle obsłużonej, zaniedbanej niedługo szkielety ludzkie odnajdować będą w rumowisku i nie dojdą w Wiedniu, czyjeby były.

— Siedząż tam przecie na posadach orędownicy interesów naszego uniwersytetu!

— Łatwiej z nietoperzami wejść w porozumienie, niż z ludźmi. Odtąd para nietoperzy powinna być hodowaną w gmachu uniwersytetu (o ile nie będą straszyły zabobonnych) dla przechowania w żywej tradycji dziejów docentury. Im tylko zwierzył Zalewski bóle swego zmarnowanego żywota.

— — — — — — — — — — — — — —

I stało się z powodu tego pogrzebu, że na cmentarzu Łyczakowskim mówiono o położeniu nauki polskiej i wogóle twórczości umysłowej.

Na święto Zaduszek grób umarłych przystraja się stylowo — w żałobne szaty jesieni. Liście brzóz padają na groby. Świerki jeszcze posępniej zciemniały przy innych drzewach krwawo-żółtych gorejących, jakby miały widzenie niewidzialnego

nam słońca, idących radośnie na sen, jak umiera człowiek wierzący, rozpromieniony widzeniem chwały niebiańskiej.

Rozmawiano o potrzebach twórczości polskiej na cmentarzu. Hamlet dziwił się grabarzom, że są tak pogodni, a Horacy wyjaśnił:

— Przyzwyczajenie wyrobiło w nich ten rodzaj swobody...

— Tak to bywa we wszystkiem — odrzekł Hamlet. — Im mniej się do czego ręki przykłada, tem delikatniejsze jej czucie.

— I odwrotnie.

Zdarza się to ludziom, stojącym na boku, że spojrzawszy na rzecz świeżym wzrokiem, poruszą się żywiej widzianym obrazem, niż ludzie z nim obyci. Przysługuje to prawo psychologiczne dziennikarzom, jak ja, nie mającym stałego stosunku z twórczością naukową społeczeństwa, lub artystyczną.

Ja to wiem, że na pogrzeb uczonego idzie uroczyście co przedniejsza inteligencja, wiem, że uczonym stawia się pomniki. Artystom, zwłaszcza poetom, zapewniamy życie pośmiertne w duszach swoich, podajemy ich pamięć pokoleniom uglorytikowaną, nadrabiając ubóstwo dusz własnych ich spuścizną. Wiem, że ich myśli, rznięte w formę artystyczną, mają, jak monety złote, wartość obiegową haseł życiowych i zaklęć; na obchodach narodowych krzepimy duszę pamięcią swych twór-

ców, o ich wielkość toczymy spory, ich imieniem pieczętujemy akty samowiedzy narodowej, słusznie poczytując, że oni to — wykwit naszej świadomości — nadają narodowi oblicze istności myślącej, duchową indywidualność.

Ale czemuż za życia tych ludzi patrzymy na nich obojętnem okiem? Czy ich nie rozpoznajemy? Czy może boimy się psuć ich uznaniem? Trudno pojąć, że choć to rzecz powszednia, nikt o tem nie myśli.

Czy nam przyszło kiedy do głowy, z czego żyją nasi poeci, stanowiący najpopularniejszą naszą chwałę? Albo nasi utalentowani rzeźbiarze, gdy rzeźb od nich nie zamawiamy? Albo docenci uniwersytetu?

Jakiś radca, zanudzający się na śmierć w biurze, tyle wart, co każdy inny urzędnik, który jeszcze fotelu tego nie dosiedział się, musi mieć byt wygodny, nawet zbytkowny, zabezpieczony do końca życia. Płacimy na niego kosztowny podatek, nie myśląc nawet, ile ta egzystencja jest wytwórczą i pożyteczną. Pisarz zaś utalentowany, po którym za sto lat będziemy relikwje zbierali po muzeach, żyje jak włóczęga, nie ma za co dzieci wychować, myśl jego szarpie na strzępy codzienna troska o chleb i o lichwiarzy. Dzieje się to w naszych oczach nawet z temi, których już za życia czcimy, jako chlubę narodową.

Co powinno zrobić nowożytne, dobrze zorga-

nizowane społeczeństwo? To, co zrobiła np. Norwegja: wypłacać z narodowych funduszów stałe pensje jednostkom twórczym na to, aby mogły spokojnie oddawać się swoim pracom. Kraj jest biedny — powiedzą. Skoro jest biedny, niech będzie skrzętny. Niech dba o główny czynnik swego bogactwa — o pracę twórczą. Taką sumę, jakaby potrzebna była na pensje dla twórców wybitnych, łatwo oszczędzić, organizując dokładniej pracę biurokracji. Urzędnik powinien być dobrze wynagradzany; ale gdyby uprościć biurokratyzm, można mieć mniej, ale za to lepiej płatnych urzędników i przytem zrobić na tem oszczędność. Wyświadczyłoby się nadto przysługę społeczeństwu, kierując ludzi od biurka do zajęć bardziej produkcyjnych.

Ustawa o pensjach dla uczonych, pisarzy i artystów powinna być bardzo oględna. Twórców zasługujących na wdzięczność i pieczołowitość narodową można w kraju na palcach zliczyć, nie obciążą więc zbytnio budżetu.

Biurokrata zrobi tu uwagę:

— Dać człowiekowi pensję, a robić nie będzie.

Tak się dzieje zwykle z pracą mechaniczną, w którą się duszy nie kładzie, ale tu się mówi o twórcach, o ludziach oddanych pracy z konieczności wewnętrznej, nie z musu zewnętrznego. Twórcy z Bożej łaski, do których po śmierci zwykł się naród modlić, skazując ich za życia na poniewierkę — muszą tworzyć, bo taka jest po-

trzeba ich duszy. Ani kontroli tam nie potrzeba, ani wymierzania ilościowego pracy.

Ileżby każdy inny naród dał ze swego majątku na zapłacenie poety, któryby mu napisał »Odę do młodości«, »Improwizację«, »Pana Tadeusza!« Ale takiej rzeczy się nie kupuje; poetów trzeba wytworzyć; tylko taki naród ich ma, który sam jest zdolny doznawać wzruszeń dziejowych natury poetyckiej. Można czuć za miljony, ale wtedy tylko, gdy te miljony czują. Między poetami a ogółem jest stała styczność moralna, oparta na współczuwaniu. Poeta i naród przynajmniej wiedzieć powinni o sobie.

Dawniej, gdy uczonych pisarzy i artystów wydawała na świat przeważnie zamożna sfera szlachecka, było z niemi jako tako — mogli być zostawieni losowi osobistemu. Ale w społeczeństwie zdemokratyzowanem wartość społeczna i narodowa jednostek nie stoi w żadnym stosunku do ich uposażenia prywatnego. D b a ć o n i c h w i n n o s p o ł e c z e ń s t w o.

— — — — — — — — — — — — — —

Nie łudzę się, żeby u nas prędko doszło do tego. Wiele kultury potrzeba w siebie włożyć, zanim się dojdzie z naiwnego »*l'esprit d'escalier*« żałowania zmarnowanych talentów do hodowli wielkich umysłów, opartej na darze przewidywania i na czułości macierzyńskiej. Myśl i wola społeczeństwa nowożytnego dochodzi na świecie do

macierzyńskiej subtelności, gdy sprawa dotyczy synów, ducha narodowego reprezentujących.

Łatwiej wszakże o schamienie społeczeństwa hasłami demagogicznemi, niż o jego zdemokratyzowanie prawdziwe; łatwiej idee demokratyczne zwulgaryzować, niż uszlachetniać; łatwiej szczepić odrazę do pracy, niż szacunek dla niej. A my idziemy w tym kierunku, gdzie łatwiej.

Nasz socjalizm dzisiejszy, jak i biurokracja, wzięły społeczeństwo na edukację pod hasłem: maximum płacy, minimum pracy. O pierwsze trudniej, ale za to drugie udaje się znakomicie. Bez strajku panuje stale cichy bojkot wytwórczości; nic nie robić stało się ideałem, a przynajmniej robić mało i źle. Mularz lwowski, kładący dziennie 300 cegieł, podczas gdy na zachodzie średni robotnik kładzie 800, jest typowym przedstawicielem naszej wytwórczości.

Premjować należy wydajność pracy na wszystkich polach, zwłaszcza tej, gdzie tkwi pierwiastek twórczy. Wyszukiwanie tego pierwiastku i potęgowanie, jest najszlachetniejszem zadaniem społeczeństwa. Umiłowanie pracy i żądza twórczości nie wybujają na niwie wyjałowionej. A wyjałowiliśmy się między innemi ową tandetną demokratyzacją: maximum płacy, minimum pracy, maximum praw, minimum obowiązków. Nasze dobro społeczno-narodowe jest jak kasa wzajemnej pomocy, do której nikt kłaść nie chce, a wszyscy z niej

biorą. Wszyscy dążą po prawa polityczne, po władzę, a nikt służby dać nie chce; wszyscy sięgają po zysk społeczny, a nad kulturą nikt nie rad pracować.

W Królestwie rozbito gdzieś zebranie oświatowe pod hasłem: precz z kulturnikami, teraz rewolucja! Jakie to socjalistyczne! »Rewolucja« to frazes, pokrywający rozpustę społeczną socjalizmu, który tam i u nas w Galicji doszedł do ostatecznej pogardy pracy.

Grozi nam największa z klęsk, którą sobie jeszcze niedostatecznie uprzytomniamy — zepsucie moralne u podstaw społecznych, zanik władz twórczych. Jeśli wczas się nie opamiętamy, jeżeli zdrowy instynkt narodu nie odezwie się w nas z całą siłą i nie oprzemy się rozpuście, pójdziemy na gnój pod stopy zaborczych narodów, które nas strawią wraz ze wspomnieniami życia politycznego i z całą naszą kulturą.

— — — — — — — — — — — — — —

Na takie tory schodzi myśl na cmentarzu nad grobem człowieka, który umiał miłować, widział zaś w życiu nie skarbnicę zysków dla siebie, ale mus całopalenia jednostki na rzecz dobra ogólnego, przynajmniej na rzecz wielkiej przyświecającej światu idei pracy. Miał coś, w co wierzył, coś, co jest większe od życia jednostki i trwalsze. Cichy i skromny pracownik, nędzarz, uczony prole-

tarjusz, a bogatszy od bogaczy wewnętrznem światłem ducha.

Gdy w Zaduszki znajdziecie się na cmentarzu, szukajcie cieniów tych ludzi, którzy szli z ideą przez życie. Odszukacie ją w sobie. Stali oni nad grobem, jak obecnie drzewa z liści opadające; płonęli dziwnym żarem, jakby ogarniała ich zorza jakiegoś niewidzialnego słońca, z którem przyjdzie nowe życie.

7. POCZUCIE ESTETYCZNE ŻYWEJ TRADYCJI.

Lwów, 29 listopada 1906.

Dobry artysta, w którąkolwiek patrzy stronę: czy poza siebie, jako obserwator świata zewnętrznego, czy w siebie jako analityk własnej duszy, — jest w zasadzie realistą. Sprawa to tylko ilościowa, co jest dla kogo uchwytnie realne, co nie. Przed świadomy ruch duszy dla jednego niepostrzegalny, dla kogoś innego, kto ma czucie wewnętrzne wrażliwe i subtelne, staje się rzeczą równie realną, jak pejzaż, scena lub akt modela.

»Nowa sztuka« tem nadewszystko różni się od starej, że uznała zjawiska świata wewnętrznego za równie realne jak te, które nam nasuwa świat zewnętrzny, a może nawet za realniejsze od nich. Drobne to napozór rozszerzenie zakresu obserwacji dokonało w sztuce przewrotu, który dostatecznie usprawiedliwia roszczenia nowoczesnych ar-

tystów, aby ich sztukę nazywano »nową«. Istotnie rozpoczęliśmy nowy okres sztuki we wszystkich dziedzinach.

Oto »Bolesław Śmiały« *), dramat, więc rodzaj sztuki, jakby się zdawało, najbardziej zachowawczy, niewrażliwy na nowe prądy poetyckie. Do tego dramat historyczny, a taki dramat był chyba zawsze terenem dydaktyzmu, realistycznych usiłowań wskrzeszania tego, co działaniem samego czasu już się zobjektywizowało. Gdzież tu miejsce na próby proklamowania »nowej sztuki«, przepojonej subjektywizmem? A jednak »Bolesław Śmiały« jest na wskróś modernistyczny.

Powiem w paru słowach, jak mi się z pierwszego wrażenia ten modernizm przedstawił.

— — — — — — — — — — — — — —

»Polećcie ze mną w ten czas przed wiekami, który sny jeno na pamięć przywodzą«...

Inwokacja ta obowiązuje nietylko artystów, którzy »Bolesława Śmiałego« grają. Do nas, do publiczności także zwraca się poeta, uderzając w scenę temi słowy niby kamertonem, aby nastroić struny naszej duszy do przyjęcia dzieła. Teatr — to obcowanie dusz w poruszeniu estetycznem:

*) Wyspiański »Bolesław Śmiały«, dramat w 3 aktach. Uwagi te spisałem pod pierwszem wrażeniem po premjerze tego dramatu w teatrze lwowskim.

i scena i widownia iść muszą, zgrane duchowo, za autorem.

Więc, zanim się powie o kostjumach, dekoracji i wywoła się z nazwiska aktorów ku poklaskowi lub przyganie, odnajdźmy w sobie poetę, za sprawą którego przenosimy się »w ten czas przed wiekami«.

Swoją wizję przeszłości, ujętą w formę sztuki dramatycznej, poeta nazywa »majakami duszy utęsknionej«. Każdy dobry poeta, o ile sformułować zechce potrzebę duchową, która go zniewala do błąkania się we wspomnieniach przeszłości i do wskrzeszania jej w dziele sztuki, każdy zda sobie sprawę, że tęsknota zmusza go do tego. Każdy z nich jako ostatnią rację swego czynu artystycznego przytoczy (robi to zwykle w przedmowach): »widzę cię i opisuję, bo tęsknię po tobie«.

Poeci tem się różnią od nas, że żywo pamiętają, ale my wszyscy pamiętamy. Żywo — to znaczy tak, jakby dawne zdarzenie teraz, świeżo w wyobraźnię uderzało. Większość poezji powstaje z bieżących, bezpośrednich wzruszeń poety; jeśli duch czasu na teraźniejszość jest łaskawy, to poeci tylko dniem dzisiejszym żyją, ale gdy się głębiej poruszą w swej istności wraz z narodem swoim, wtedy ożywa w nich to, co się dawniej stało: ożywa wiek dzieciństwa, a nawet to, co się we wspomnieniach odziedziczyło. Tylko przyszłość nie jest

zdolna wyobraźni aryjskiej ożywić. Nie mieliśmy nigdy poetów-proroków; przeszłość zaś ciągnie nas w siebie najtkliwszem uczuciem — tęsknotą.

Polak w stanie naturalnym tęskni na codzień, choć tego nie ogarnia świadomością; Polak w niedokładnej kulturze żyje duchowo, czem mu się nadarzy — nieraz (są takie okresy) duszę ma tak zasypaną cudzym gruzem, lub żyje tak jednostronnie jakąś jedną władzą ducha, jakby grał na jednej strunie, dumny z instrumentu; dopiero dojrzawszy do pełnej samowiedzy, wraca do tęsknot swoich, jako całkowity mąż twórczy. Wtedy powstaje artysta i ze świadomością już robi to, co przedtem w stanie pierwotnym nieuczenie lud tylko czynił — budzi w sobie przeżycia nieosobiste, tradycje ciała narodowego.

Człowiek oświecony nieraz tak się wynaturzy, że uczy się z nakazu szkolnego tradycji narodowych i te go się nie imają; a lud je pamięta bez nauki, przechował je we krwi żywej. Romantyzm zeszłego wieku, sięgając po przywileje poetyckie ludu, zrobił na tem tle rewolucję umysłową i wiele »nieczułych lodów« prysnęło. Ale dopiero w sto lat później z dojrzałości własnej doszliśmy do naturalnego z tradycją obcowania. Już się nie widzi przeszłości à la Bürger, Walter-Scot, Rychter, Szyller, Novalis czy kto tam, ale po swojemu — chwyta się ją koncepcjami polskiej myśli nowożytnej i stylizuje się ją w sztuce formami swojskiemi.

Do nikogo niepodobny w literaturze Wyspiański jest podobniejszy nam wszystkim, niż byli romantycy. On jest — powiedziałbym — od nich demokratyczniejszy. Dlaczego? Bo on ze swoim »majakiem duszy utęsknionej« nie odchodzi od nas do bibljoteki, ale powołuje nas do współudziału w swoich wzruszeniach artystycznych: »polećcie ze mną w ten czas przed wiekami«.

I na czemże polega ta nasza z nim współdzielczość? Gdybyśmy chcieli na przykładzie »Bolesława Śmiałego« nad tem się zastanowić, to może posunęlibyśmy się trochę w rozumieniu postępu, jaki sztuka nowożytna dokonała. Sztuka dziś stała się nam ponętniejszą nie dla większej ładności form, ale dlatego, że więcej nas angażuje, więcej władz naszych w ruch wprawia, więcej nas zatrudnia jako odbiorców, — i to nam daje zadowolenie niejako współtrudu z autorem. Poeci odwoływali się do nas jako do istot współczujących, porywali nas nawet nastrojem, ale nie starano się odszukać w nas artystów, mających przecie także jakie takie koncepcje widzeń własne.

Poeci dawniejsi dążyli do piękna przedmiotowego w mniemaniu, że takie istnieje. I dochodzili zresztą do wyników niepospolitych, szukali przecież po świecie form najpiękniejszych: w Petrarkach, Byronach, Goethe'ych, Szyllerach. Myśmy po pewnych wahaniach, nieraz przymusach, przyjmowali to za piękne. Wmawialiśmy sobie często

piękno. Dzisiejszy Wyspiański postępuje inaczej. Jego rzeczy estetyk porównawczy nazwie brzydkiemi (żadnego kanonu się nie trzymają), a dla nas — kto się bez rezerwy w nie wsłucha — są piękne, bo my w nich wyczujemy pracę własnego ducha. Wyspiański jakowemiś nićmi łączy nas z przedmiotem sztuki, że widzimy go nie na ekranie jako obraz płaski, oddzielony od nas przepaścią tajemniczą naszej niemocy, ale pokazuje go nam w snopie światła, z nas samych idącego, — w głębokiej perspektywie naszej własnej duszy.

— — — — — — — — — — — — — —

Jak on tego dokonywa?

Zrobić można sztukę historyczną archiwalnie, aby pouczyć widzów, jak było według historycznych danych w rzeczywistości — fantazja dorobi resztę dla piękności obrazu. Pisali tak sztuki historyczne Szujski, Bełcikowski, Gliński i inni zimne i dla tegoczesnych niepojęte. Ilekroć to wystawiono — scena i widownia patrzały na się nieufnie. Czy niema w tem dydaktyki stronniczej — myślał widz; aktor zaś: czy też oni uwierzą na słowo, że tak było. Pietyzm dla tematu był łaskawością widza, resztę łatały kostjumy i frazes, jakby z bata strzelał. I tak się jakoś zażegnywało biedę artystyczną.

Było to martwe. Dlaczego »Kościuszko pod Racławicami« ożywia widownię? Bo go z nią łą-

czą żywe tradycje. Historja wtedy żyje, gdy gra na żywej strunie duszy; trzeba to nawet brać szerzej: historja dawna wtedy interesuje, gdy się samemu robi historję nową — tylko twórcze pokolenia mają zmysł historyczny.

Artysta, jak i pedagog nie mogą iść z historją do ognisk zgaszonych. Ich zadaniem w popiołach dnia odgrzebać iskrę tlejącą wspomnień narodowych i tę rozżarzyć. Zwłaszcza w sztuce nie daje się wiedzy, lecz uderza się w instynkt. W kim nie odezwie się tęsknota do czasów przed wiekami na dźwięki dumki ludowej, tego nie nauczą zmysłu widzenia przeszłości najprawdziwsze historyczne dramaty sceniczne.

Co robi Wyspiański? Otwiera naszą duszę (poeci duszami władną) i patrzy, co w niej jest historji gotowej. On żadnych innych nie szuka dokumentów; z tego, co w nas znalazł, robi dramat. A cóż my mamy z historji samorodnego w duszy? Żywą tradycję.

Więc gdy go zaprzątnie temat »Bolesława Śmiałego«, pominie podręcznik historyczny, monografję uczoną, przyjdzie zaś do tradycji żywej i tę tylko weźmie za przedmiot sztuki. Tematem «Bolesława Śmiałego«, osnową dramatu będzie nie zdarzenie dziejowe z XI wieku, ale żywego narodu o tem wyobrażenie, nasze o niem wspomnienie. Nie rozstrzyga archeologicznie, co w tem wyobrażeniu jest nieścisłego, kto w sporze między tronem a ka-

pitułą miał rację. Racja jest miarą dnia praktyczną, ale gdy się rzecz bierze wstecz przyrodniczo, czy poetycko — to ten wymiar stosunków ginie. Przyrodniczo — wszystko, co jest, ma rację, a znowu ze stanowiska poety to ma rację, co jest poetyckie. A co uznać za poetyckie w przeszłości? To co w tradycjach się ostało. W tem znaczeniu rozumieć trzeba słowa Szyllera: »co ma ożyć w pieśni, zaginąć powinno w rzeczywistości«; poeta zagubić musi rzeczywistość, aby stworzyć prawdę poetycką z tego, co jest w sercach.

Co mógł znaleźć poeta w żywej tradycji naszej, jeśli mu chodziło o Bolesława Śmiałego?

Jest w Krakowie Skałka, ślady zamczyska, Wisła, jest na Wawelu trumna biskupa Stanisława; koło tych pomników przeszłości, jak bluszcz, wije się pamięć ludzka — legenda. Cokolwiek wiedza historyczna mówi o tamtej epoce, lud ma o niej swoją poezję i tę wplótł, jak swój kwiat polny, w wierzenia i kulty religijne. Starły się ongi dwie siły, obie wywodzące się z nieba i o to z sobą w niezgodzie: król i biskup. Na sąd Boży się wyzywają prawem mieczowem: legł biskup. Potomności sąd beznamiętny: obaj zostali w pamięci, jeden w aureoli świętego, drugi cały jak płomień boży niszczący, ale i stwarzający.

W tradycjach o Bolesławie Śmiałym Wyspiański znalazł skłócone i klarowane przez szereg wieków dwa wątki wspomnień, płynące z dwóch źró-

deł uczuciowych: z uczucia narodowego i religijnego. Pisarz nowożytny wyczuł w naszych dzisiejszych o Bolesławie rozmyślaniach motyw, doskonale przypadający do sensu dziejów. Mamy dzisiaj głód własnego państwa i w tem świetle obecnych uczuć inaczej wydają się nam dawne walki, zagrażające sile i powadze władzy królewskiej. Sympatje nasze przechylają się ku stronie króla tragicznego; łączą się one we wspomnieniach ludowych z podziwem dla mocy i sławy królewskiej. Co mu odjęła tradycja kościelna, to powraca myśl narodowa.

Były jakieś siły instynktu pierwotnego, które parły naszych przodków do formowania zawiązku państwowego przez krew i mord; czerpał je Bolesław z tajemnych głębin życia, jakby na zaklęcie bóstw pogańskich, z któremi była jeszcze wówczas zażyłość.

Podziw dla władzy królewskiej i trwoga — to rys zasadniczy wspomnień i wyobrażeń ludowych o królach. W krytycznej chwili, na sądzie Bożym pada przed królem na kolana biskup i jego w kosy uzbrojone chłopstwo:

— Ja wam król! — grzmi do nich jego władza. — Kiedyż w was zbudzi się żądność i radość krwi, żebyście parli strach, jak wilcy, sępi, garnęli pod się ziem, litoście poniechali i ze mną królem swym przewodnim królowali mieczem, co siecze

i tępi. Bom ja na to dan, przez Boga rękę stawion, bym jak Boża rózga bił, jak Boża błogosławion...

Król jest tak władny, że »wolej Dola ulegnie«, niżby miał zmienić wolę, która cudom pola otwiera.

Widzi go lud w fantazji swojej, jako męża, wyniesionego na tron z narodu sielskiego, więc i Wyspiański ukazuje go nam w kroju chłopskim, w sukmanach, drogiemi kamieniami szytych. Zgoła — w tej długiej, ginącej we mgłach perspektywie dziejów widzimy fakt dziejowy, jako swój własny o nim sen, widzimy widmo faktu dziejowego, spowite w mgły naszych wspomnień i wyobrażeń.

— — — — — — — — — — — — — —

I nietylko koncepcja dramatycznego wątku, forma nawet artystyczna sztuki Wyspiańskiego wydarta nam jest z duszy. Lud, przechowujący tradycje, jest usposobiony poetycznie, bo rad pamięta dzieje, ale jest też i artystą, gdy te wspomnienia w pewnej formie podaje. Stąd dumki, przez lud z ust do ust podawane, próżne opisowości, zawsze w sposobie dramatycznym rzecz przedstawiające, wpadające co chwila w djalog. Wyspiański tę formę żywcem przenosi na scenę, choćby przytoczyć wspaniałą rozmowę przez wrota króla z bratem: całe lata historji zebrane w jedną symboliczną rozmowę. Dosyć wziąć w rękę zbiór pieśni Kolberga i porównać nie treść ich samą, ale c h a-

rakter formy artystycznej. Tak to brzmi na scenie, jak gdzieś w kunsztownym utworze Moniuszki melodja ludowa.

Wyspiański chciał nadać całości kształt jednej ballady, granej na scenie. Poszukał też formy wiersza z pośród tych wierszy, które nam w uszach jeszcze brzmią, między balladami popularnemi Mickiewicza. Przez całe dzieło przewija się rytmiczna melodja »Czatów« i »Trzech budrysów«, jak w »Weselu« melodja tańca ludowego. Ona swym spokojem i jednostajnością przyczynia się, że widowisko ma charakter baśni, śnionej w narodzie przez wieki.

Śnimy baśń o królu, pokutującym w tradycji narodu, czekającym rozgrzeszenia. Żyje on po śmierci w podaniu, słyszy je i przez poetę się użala:

Walczyć z powieścią ludu nieuchwytną?
Chciałem zmódz, zdusić, stłumić Słowo.
Każę, a sługi moje w pień het wytną
bajarzy, dziadów lirnych z obmową...
A tu jak kwiaty coraz nowe kwitną,
ścieśniające mą górę zamkową
wieści, już w pieśni zmienione skrzydlate...

— — — — — — — — — — — — — —

W życiu pośmiertnem Sławy Wyspiański ujrzał dramat i ten nam ukazuje w perspektywie dziejowej ducha naszego.

Wracając do swego punktu wyjścia, odpowiedzieć muszę na pytanie: więc gdzież jest tutaj nabytek »nowej sztuki« — owa analiza własnej duszy? Oto w tem braniu żywej tradycji o fakcie, zamiast faktu samego, za przedmiot obserwacji artystycznej.

Wyspiański, pisząc dramat historyczny, nie staje się historykiem, ale pozostaje nawet wtedy analitykiem duszy własnej. W tym wypadku analitykiem włókien, jakie w duszy wytworzyła tradycja historyczna. Poeta sięga po wszystko, co tworzy, do skarbca wewnętrznych doświadczeń, sięga po to tylko, co przeżył, nie tylko po liryzm egotyczny. On tam widzi cały świat odbity — ten, co jest, i ten, co był, świat związany z nim żywą tradycją. I tylko ten świat estetycznie go interesuje.

Promień tradycji, przełamujący się w umysłowości, jako powierzona jednostce do przechowania cząstka doświadczeń narodu, to przecież rzecz realna, dla artysty realniejsza, niż dokument pisany, bo żywa, przeżywana.

Zamiast prawdy historycznej Wyspiański, poeta nowej epoki, woli nam dać prawdę psychologiczną, jaka się w duszy jego ułożyła. Jest to owoc badania przyrodniczego własnej treści duchowej. Poezja dzisiejsza nie dochodzi prawdy metodami filologicznemi w dziedzinie poznania historycznego, nie wywodzi w utworach programów

postępowania etycznego, czy politycznego, ale wydobyć chce z duszy prawdę psychologiczną. Wielki to postęp w sztuce.

Bo w sztuce postęp oblicza się na kroki, jakiemi artysta od zaświatów swoich zbliża się ku sobie samemu. Wyobraźnia pierwotna zaczyna zdaleka, cudownością łata szczupłą wiedzę o świecie; od rzeczy najdalszych, naiwnie odgadywanych, poeta zbliża się powoli do swego »ja«, które miał zawsze za aksjomat, aż stanie przed sobą samym, jako przed największą dla siebie zagadką. Wtedy idzie — jak się to dzieje teraz — w głąb siebie i tam odnajduje świat, który przedtem daremnie po kawałku chciał opisywać. Odtąd go nie opisuje topograficznie lub anegdytycznie, lecz dobywa z siebie symbolami własnych i narodu swego przeżyć duchowych — i to jest dopiero dla niego prawdą poetycką.

U Wyspiańskiego widzimy Bolesława Śmiałego nie w ekshumacji historycznej, lecz przetrasponowanego na motywy duszy współczesnej, wyjętego z dusz dzisiejszych, obudzonego z tradycji. Jest przeto żywy — nie życiem anegdotycznem, z pyłu odwianem, ale naszem realnem życiem własnem.

Odnajdując siebie w sztuce historycznej, mamy do stwierdzenia oprócz zjawisk natury estetycznej jeszcze jedną okoliczność, bardzo pocieszającą dla kultury narodowej.

Nowoczesny poeta jest wiarogodny. Nie pisze z tendencji moralnej lub politycznej, lecz wyjawia prawdę żywiołowo. Wyrzuca z siebie to, co w duszy znajduje, to przedewszystkiem, co jego wyobraźnię najbardziej uderza, co uważa za najistotniejszą treść ducha.

Więc błogo pomyśleć, że taką narzucającą się poecie prawdą jest w tych czasach drgająca swoistem życiem tradycja narodowa, że wchodzi ona w ręce artyście nie z nakazów pobocznych, ale prawem czystego interesu poetyckiego. Świadczy to dobrze o bujności samowiedzy narodowej, jeśli do takich jej czynników, jak żywa tradycja lub plany na przyszłość, ciągną poeci. Świadczy to, że duch narodowy przedstawia istność realną i siłę, że jest w okresie twórczym.

Bo gdzie są sny o sławnej przeszłości, tam są i marzenia o potędze. Owe sny — dobrze to wyczuł Wyspiański — z marzeń o potędze się rodzą, — »z majaki, co idzie przed nami«.

8. POCZUCIE ESTETYCZNE OSOBOWOŚCI NARODOWEJ.

Lwów, 5 kwietnia 1907.

Polsko, Polsko! Grób twój tylko
Był kołyską nowej zorzy,
Śród wieczności jedną chwilką,
W której począł się dzień boży.

Strofkę powyższą z »Psalmu nadziei« Krasińskiego można wziąć za motto utworu poetyckiego p. Stanisława Obrzuda *). Motyw znany, brzmi nam w uszach, jak melodja »Jeszcze Polska nie zginęła«. Ale w sztuce, wogóle dla duszy ludzkiej niema motywów dość znanych, któreby w pewnych warunkach nie narzuciły się uwadze i wyobraźni, jako motywy nowe. Dzieje się to wtedy, kiedy

*) Rzecz napisana po przedstawieniu w teatrze lwowskim dramatu w 3 aktach Stanisława Obrzuda pt. »Słoneczna pieśń«.

rzecz sama powraca na fali życia i każe się przeżywać na nowo.

Motyw ten przechodzi w Polsce od lat stu na pokolenia w spuściźnie, nieraz w pamiątce konwencjonalnej, ale przychodzi co jakiś okres chwila dojrzałości, w której właśnie ta rzecz, nie inna, staje się treścią żywota: objawieniem prawdy, wskazaniem czynu, przedmiotem wzruszenia estetycznego. Tak powraca do ponownego przeżywania, przerabiania od gruntu temat zasadniczy istnienia Polski.

Powraca nietylko w życiu do praktycznego rozwiązania, ale i w sztuce — i to naprzód w życiu, a potem w sztuce.

Kwestja ta może być starą i w mniemaniu pobieżnem utartą, ale musi istnieć jakaś nowa potrzeba psychiczna, dla której poeta ją wznawia, nie dbając o zarzut konwencjonalności. I nad tym właśnie czynnikiem subjektywnym należy się zastanowić, patrząc na sztukę Obrzuda, a potem dopiero wydać sąd o wartości jej artystycznej.

Wyobraźnia poetycka nie spostrzeże zmysłowo postaci widmowej narodu, dopóki naród sam nie wyłoni jej ze swej duszy przez skupienie się w swej samowiedzy. Bywają chwile, kiedy naród — jak mówił Krasiński — »wsumienia się« w siebie, ze stanów bezwiednego trwania w niejasnem lub zgoła zatartem poczuciu swej osobowości przechodzi w napięcie myśli o sobie, jako całości; wtedy na-

ród formułuje nową koncepcję swego życia, jak człowiek w chwili dla siebie decydującej; staje w jego oczach wyraźnie wszystko to, co się złożyło na jego stan dzisiejszy, a przed nim kładzie się w nowem świetle droga zadań przyszłych.

Jest to chwila wzmożenia się energji życiowej społeczeństwa; pod naciskiem pragnień zmiany w położeniu obecnem prężą się siły narodu, myśl szuka dróg; cudowna, władnąca światem żądza życia, budzi z uśpienia inne władze ducha. Na wszyskich polach lęże się wtedy zarodek czynu, gleba pokrywa się runią wiosenną przeczuć o nowem życiu.

I to jest tło wznawiającego się wtedy ruchu umysłowego i artystycznego. Żądza życia pociąga za sobą całego człowieka wraz z jego intelektem i wyobraźnią poetycką. Wtedy myśl pracować poczyna nad nowemi koncepcjami historjozoficznemi, w których się legitymuje ze swego pochodzenia; wtedy mąż stanu tworzy program postępowania na przyszłość, krzepiąc w społeczeństwie samowiedzę woli. Ogół dochodzi do ładu ze swem niepewnem samopoczuciem i w duszy robi mu się jaśniej.

Wrażliwy poeta, jeśli ma żywe czucie ze swem społeczeństwem, łatwo takie chwile wypatrzy. Jeżeli każdą wiosnę wyczuje w przyrodzie, to tem snadniej uderzy go ten napływ światła i ciepła w duszach pokrewnych, których on jest cząstką

najwrażliwszą. Wtedy powstaje pieśń — »Słoneczna pieśń«, która to, co odbywa się w prozie wzmożonego życia, przekłada na zmysłowy język wyobraźni artystycznej, na symbole lub bodaj alegorje. Pokazuje ogółowi, żądnemu widzenia swej duszy: tak to wygląda, co się w was rodzi.

Oczywiście w procesie formowania się samowiedzy narodowej takie wtrącenie się poety do spraw życia, jest momentem bardzo ważnym. Wiadomo, jak ważną przysługę oddali naszemu społeczeństwu wielcy poeci romantyczni w czasach dla ducha narodowego bardzo ciężkich, kiedy o zbiorowe uświadomienie, zestrzelenie ducha w jednej myśli naczelnej było trudniej, niż teraz. Obecnie życie publiczne jest rozlewniejsze i lepiej zorganizowane, zwłaszcza w systemie krążenia opinji publicznej, a nadto kultura myśli społecznej jest wytrawniejsza, niż była sto lat temu.

Wtedy był czas, że poeci odgrywali w narodzie, gdy chodziło o formowanie jego samowiedzy, rolę naczelną; społeczeństwo zaledwie podążyć mogło za niemi. Byli to ludzie wielkiej kultury, którzy wyprzedzali swój ogół w uświadomieniu narodowem i społecznem. Ale idej nowego życia z palca nie ssali, brali je z drgnień życia, tylko to życie o tem nie wiedziało, albo ideom uznanym sprostać w czynie nie mogło.

Dziś widzimy jaśniej i to także, że poezja w budowaniu samowiedzy narodowej jest czynnikiem

wtórnym, że nie czyn z pieśni się rodzi, ale pieśń z czynu (względnie z jego podłoża: żądzy życia); ale mimo to pragniemy pieśni, bo ona utwierdza nas w krokach. W niej mamy sprawdzian swojej własnej intuicji, z jaką się garniemy za prądem czasu; stąd pieśń zwiemy serc pokrzepieniem.

Nikt dzisiaj z »Pieśni słonecznych«, osnutych na wątkach krystalizującej się samowiedzy narodowej, nie będzie ciągnął wskazań praktycznych czynu, nie będzie się uczył — powiedzmy — polityki, ale każdy wyniesie z nich pożytek dla kultury swych uczuć narodowych, gdy się przyjrzy plastycznemu wyobrażeniu, jak wygląda w dziejach cudowny proces rodzenia się i ścierania myśli i dążeń narodowych.

— — — — — — — — — — — — — —

Sztuka p. Obrzuda jest dramatem porozbiorowym ducha Polski. Autor wyobraził ją alegorycznie w postaci »dzieweczki, która nie umarła, jeno śpi«, czekającej pory zmartwychwstania w wieżycy Kruszwickiej nad Gopłem.

Złożyli ją tam w trumnie przedstawiciele mocarstw rozbiorczych, w obliczu narodu, który bynajmniej nie miał się ku śmierci:

— Wielki to jest, wielki dziw:
Chora zmarła historycznie,
A tłum łka.

— Bo naród żyw.

W tych paru słowach autor zaznacza punkt wyjścia swego dramatu.

Odtąd zaczyna się akcja dramatu dziejowego. Akcję tę prowadzi przez wszystkie akty osoba Mistrza, zmieniająca kolejno maskę, a zawsze wyobrażająca pierwiastek hamujący ewolucję historyczną narodu, rację stanu partji rządzącej, nie liczącą się z duchem narodu, pozbawioną wiary w jego siłę twórczą, rację stanu skłonną do konszachtów gabinetowych, do małodusznych ustępstw nawet do zaprzaństwa.

Z tą postacią walczą duchy światłości, przewodzące czynom narodu, genjusze jego uczuć i myśli, w maskach historycznych, popularnie znanych.

Przesuwa się przed oczami widzów rok rozbioru 1795, rok 1831 i rok 1863, w ostatnim zaś obrazie, wyobrażającym czasy najnowsze popowstaniowe, widzimy kiełkujące na gruzach ojczyzny nowe prądy życia we wzajemnem od siebie uzależnieniu. Po długiem uśpieniu budzi się instynkt samozachowawczy narodu. Ogół poczuwa się na siłach, że może tworzyć dalsze plany życia samoistnego. Dążność ta okazuje się silniejszą od rozkładczych haseł liberalizmu i walki klas, pociąga za sobą wszystkie czynniki twórcze (poezję) i staje się kierunkiem naczelnym życia narodowego. Przedstawiciel tych dążności, Niezłomny, czuje w sobie moc, »jest spadkobiercą tych, którzy mieli nadzieję«. Mistrz śmieje się sardonicznie:

— He, he. Prorok nowy!

A Niezłomny odpowiada poprostu:

— Ja jestem tylko człowiek zdrowy.

Za przewodem Niezłomnego dąży naród do wieży Popielowej, aby zbudzić ze snu »chorą« Ojczyznę i dać jej wolność. Tę chwilę obwieści wielki dzwon na wieży. Już — już za sznur chwytać mają, ale nie nadszedł jeszcze czas. Ręce zawisły w powietrzu.

Podobnie, jak u Wyspiańskiego:

> Tu dramatowi temu koniec
> Lecz myśl — ten chybki, lotny goniec
> po za ten dramat wylatuje...

Dramat trwa dalej w życiu, odgrywa się w sercach naszych, coraz jednak słoneczniejszych...

— — — — — — — — — — — — — —

Bezwzględnie osądzać utwory młode, na scenie próbowane, z wysokiego stanowiska literackiego, na jakie nas wydźwignęła historja sztuki, jest dosyć łatwo. Gdy się jednak zważy to, co mówiłem na początku o pochodzeniu socjologicznem tego rodzaju natchnień poetyckich, jak »Słoneczna Pieśń«, uplastyczniających nasz własny proces uświadamiania się narodowego — okaże się rzeczą trudniejszą tak sąd wymiarkować, aby nie zrobić krzywdy dziełu, jako wyrazowi kultury uczuć własnej epoki. Jesteśmy współtwórcami tej wizji poetyckiej narodu. Jak duch czasu koncepcją na-

6*

szą uderzył wyobraźnię poety, tak on ją odtworzył w plastycznym obrazie.

Przez dzieło sztuki, jak przez szkło powiększające widzi się przedmiot, obrany przez artystę; ale człowiek kultury umie odwrócić to samo szkło, aby przez nie przyjrzeć się samemu autorowi.

W tym wypadku »Słonecznej Pieśni« wzruszy go widok twórcy, z pjetyzmem w swój obraz wpatrzonego. Nie król on poezji, jak Krasiński, który w »Dniu dzisiejszym«, »Przedświcie«, »Psalmach przyszłości« ten sam temat w mesjaniczne przerabiał teorje, pełne przepychu myśli i form, na jakie zdobyć się mogła wielka kultura artystyczna jego generacji. To szeregowiec z szarego zastępu demokratycznych pracowników naszych, szeregowiec, u którego pieśń jest przyśpiewem w pracy, a wizja poetycka rodzi się z prężenia własnych rąk ku czynom. W widzeniach Obrzuda niema egzaltacji, syconej wyobraźnią cudzych czynów; jego wyobraźnia wyprzedza to, co sam chciałby dokonać dla dobra Ojczyzny. Jego poeta wzdycha do czynu cudotwórczego:

Ach, chciałbym Bogiem być,
by, jak on, nocne mroki
rozerwać na strzępy gromami,
przepalić Was ogniami
i unieść w obłoki!
Chciałbym Bogiem być,
by, jak On, za was konać,

w nadludzkich wić się mękach,
lecz tem Was przekonać
i unieść na rękach!

Obrzud, jako artysta, zawdzięcza wiele Wyspiańskiemu; niema jego kultury artystycznej, ale może jaśniej odczuwa to, co tamtego impresjonistycznie uderzało, żądzę życia i władzę czynu w narodzie. Jest bliżej do tego i prościej to bierze; jest bliżej powszedniemu rozumieniu piękna w czynie; nie robi sceny na scenie, daleki od sceptycyzmu Wyspiańskiego, zjadającego się świadomością artyzmu, jako gry od życia oderwanej.

Według opowieści skandynawskiej skrzypek nieuczony wsłuchiwał się w wodospad, aż wybrał z szumu, napozór głuchego, melodję na swoje skrzypki. Czarował go duch wodny w głębinie wód ukryty; życie wodospadu ciągnęło go do siebie urokiem melodji. I skrzypek oddał wkońcu temu życie swoje własne.

Obrzud jest podobnym poetą-historjozofem naszego porozbiorowego wodospadu dziejowego. Wydobył z niego melodję »Słonecznej pieśni« pod czarem bezpośredniego oddziaływania nań życia. Jest to raczej pieśń, którą przeżył, niż dzieło zawodowe artyzmu.

Talent niezaprzeczony, jakim Obrzud rozporządza, powiedzie go pewno dalej drogami twórczości artystycznej, ale kto wie, czy gdzieindziej złoży więcej daniny serca swego, niż tutaj. W tym jego

pierwszym utworze jest wiele hymnu wdzięczności dla społeczeństwa za darowane światło świadomości narodowej, dla nas hymnu tem droższego, że mamy w nim dokument, jeden z najpierwszych, odradzania się kraju w swojej samowiedzy narodowej.

9. O ZAWODZIE PISARSKIM.

Warszawa, w maju 1898.

W »Tygodniku Ilustrowanym« zwrócił moją uwagę tytuł artykułu: »Skrzydła lepione z chleba«. Przyznaję, czytuję chętnie »figle naukowe« w ilustracjach; artykuł zaciekawił mnie tem więcej, gdy spostrzegłem podpis p. A. N., niepospolitego poety.

Rozumie się — nic z figlów; sprawa bardzo poważna. Autorowi chodzi o charakter dzisiejszej wytwórczości literackiej, znajdującej się w rękach »procederzystów«, którzy pracując jedynie dla chleba, skrzydłami z chleba się posługują.

Europa — według obliczenia autora — wytwarza teraz rocznie 20 tysięcy książek. »Wobec tak olbrzymiego napływu książek blaknąć poczyna

---

*) »Tygodnik Ilustrowany« z r. 1898. Polemikę prowadziłem w »Głosie« warszawskim.

legendowy czar książki«. Pomimo, że tak dużo się wydaje na świat, jakość ich musi być poślednia, skoro »mówi się« zaledwie o kilku lub kilkunastu z tych książek. »Jeżeli — pisze N. — można niemal dostać zapalenia oczu na samą myśl przeczytania 20 tysięcy książek rocznie, to zarazem chce się mimowolnie zatknąć rękoma uszy na myśl, że równocześnie skrzypi jakieś 20 tysięcy piór autorskich... Są to (ci autorzy) w ogromnej większości ludzie, którzy literaturę uważają za proceder. Ci procederzyści są gigantyczną kulą u nogi piśmiennictwa«...

Następnie autor stara się określić, kogo nazywa mianem procederzysty. Ma na myśli literata, piszącego dla chleba wiele a źle, pismaka, który broni się od krytyki syndykatami wzajemnej adoracji, ucieka się do reklamy, a wreszcie zanieczyszcza »publiczne studnie umysłowości«. Taki procederzysta ma skrzydła lepione z chleba.

Wydaje mi się, że zbyt treściwie, zbyt pobieżnie N. rzucił te myśli, bo całość nie wiąże się w jeden przekonywujący argument.

To, co powiedział o »procederzyście« w drugiej części artykułu, zdradza, że myślał wtedy przedewszystkiem, jeśli nie wyłącznie, o dziennikarzu, tymczasem pociągnął do odpowiedzialności wytwórczość książkową; miał na celu wytknięcie palcem literatów niesumiennych, których mógł nazwać fuszerami, tandeciarzami, i tych można istot-

nie, jeśli nie zabić, to nakryć klapką dziennikarskiego artykułu; tymczasem nazywa ich mianem procederzystów, nie bacząc, że z początku samego zastosował to miano do »ogromnej większości« 20 tysięcy autorów książek.

Nazwa taka ogromnej większości pisarzy ma znaczenie zgoła odmienne od tej, jaką można ochrzcić »fuszerów«, których miał autor na myśli; dotychczas nazywaliśmy tę większość literatami z zawodu. Tak, są to zawodowcy, profesjoniści; i literaci tylko z dumą mówić mogą o tym najszlachetniejszym z zawodów, że się stał zawodem. Z dumą, dlatego że zyskali niezależność, podczas gdy dawniej żyli z protektorów. Czy nam żal dawnego »kapłaństwa« literackiego? Bynajmniej. Teraz dopiero możemy być sobą, odkąd zeszliśmy do roli wyrobników; robimy wedle sił rzecz publiczną i społeczeństwo ma możność wynagradzania nas wedle zasług: od nikogo nie zależymy, tylko od swego zasobu wewnętrznego i od ogółu. A jeżeli ogół się myli i wynagradza czasem nad zasługę, a innych krzywdzi, to nie tyle procederzyści temu winni, ile niedojrzałość umysłowa ogółu. My, jako organ umysłowości ogólnej, nie kto inny, cierpieć przedewszystkiem musimy i cierpimy w tym wypadku razem z ogółem.

— — — — — — — — — — — — — —

Z 20 tysięcy książek, które się ukazały w Europie w r. 1897, jedna, napisana przez Spencera, nosi tytuł »Instytucje zawodowe«. Jest to dobra książka, jedna z tych kilku, o których powinno się nietylko »mówić«, ale które powinno się też czytać. Jest tam rozdział o literatach.

»Wistocie — mówi Spencer — ciekawe jest to, że nowoczesny literat pozostawał przez długi czas w takiem samem względnie położeniu, jak dawny minstrel. Trzymał się poły króla albo jakiego wielkiego pana i musiał układać, jeśli nie wierszem, to prozą tkliwe pochwały na cześć swego patrona. Dopiero w czasach najnowszych literat usamodzielnił się i dopiero wzrost księgarstwa umożliwił znacznej liczbie pisarzy pobieranie dochodów znośnych«.

Teraz dopiero — ciągnijmy dalej — literat zaczął pracować na chleb; te jego skrzydła z chleba mogą być ciężkie, ale cięższe były skrzydła z dawnych marcepanów pańskich. Naturalnie w każdej gałęzi świadome regulowanie wytwórczości wychodzi z korzyścią dla niej i odbiorców, ale żyjemy w czasach, kiedy to regulowanie nigdzie nie jest łatwe, a w sferze literatury, gdzie każdy jest wytwórcą i wyrobnikiem — jeszcze niemożliwsze i wątpię, czy pożądane.

Nie wiem, czy to nawet może być rzeczą gustu dla dziennikarza nowożytnego, ale dla mnie jest to widok wspaniały te 20 tysięcy piór w ro-

bocie. Gdyby mi danem było słyszeć, jak »trawa rośnie«, to nie wiem, czy w porę wiosny szmery budzącej się do życia natury radowałyby mię tyle, co skrzypienie 20 tysięcy piór, na które N. zatyka uszy.

Nie może to być rzeczą gustu, bo jest rzeczą rozumienia potrzeby z jednej strony i konieczności z drugiej. Wzrost stały wytwórczości literackiej, dyktowany dotąd prawem ogólnego rozwoju cywilizacji jest błogosławiony. Sądzę, że jest dotąd zbyt mały. Nie jestem mocny w statystyce wydawniczej europejskiej, ale sądząc ze zjawisk najbliższych, myślę, że za mało książek wychodzi. Mogłoby ich być za dużo tam, gdzie inne środki cywilizacyjne nie przygotowały na czas dostatecznych zastępów mas czytających i pragnących czytać; ale widzimy, jak do tego daleko u nas: masy gotowe czekają na książki, a tych jest mało pomimo wszystko, co mówimy o nadprodukcji. Cóż dopiero kłopotać się o innych? Kto określi granice chłonności umysłu ludzkiego lub jego wydajności?

Widok książki był dawniej poetyczniejszy, jeśli o to autorowi artykułu chodzi; książka była niemal tak urocza... jak kwiat paproci. Ale tych czasów żałować nie wypada. Niechaj sobie »blaknie legendowy czar książki«, aby tylko wzrastał czar pożytku duchowego. A ten wzrasta. Dzisiaj książkę sieją, jak zboże, jest ona »chlebem« powszednim — to prawda, ale im więcej jej spożywamy,

tem więcej rozkoszy dać jest nam w stanie. Nie żałujmy czasów legendowych, bo żyjemy w takich, jakichby nam porządnie zazdrościli dawni legendowi miłośnicy książek.

— — — — — — — — — — — — — —

Literatura nowoczesna nie może być inną, tylko zawodową; zawodowość — według mnie — jest nieodzownym warunkiem istnienia nowożytnego piśmiennictwa, warunkiem jego świetności i przystosowania do potrzeb społeczeństwa. Twierdzę wreszcie, że nie mamy racji żałować czasów literatury nadwornej, bo książce uspołecznionej jest dzisiaj tak dobrze na świecie, że zazdrościliby jej losu pisarze dawniejsi.

P. N. odpowiada mi na to teraz:

1) iż (ulegając lirycznemu rozrzewnieniu) łudzę się co do tego, że literat dzisiejszy z dumą może mówić o zawodzie swoim,

2) Większość literatów opiera swą »niezawisłość moralną na dochodach« nie z zajęć literackich i niezależność ich na tem właśnie polega, że literatura nie jest dla nich zawodem.

3) O ile literatura jest zawodem, o tyle gorzej dla niej, »zawody bowiem wytworzyły istne niewolnictwo społeczne«.

»Zależność literacka jest u nas dopiero wytworem najnowszej epoki«. Teraz literatura zależy w najwyższej instancji od tłumu. »Gorsze to nie-

wolnictwo od zależności względem dawnego protektora literackiego«.

Pogląd p. N. na literatów przypomniał mi satyrę Naruszewicza »Chudy literat«.

Jegomość starej daty szydzi z »uczonochudego« literata:

— Szeląga nie masz w wacku, a długów po uszy, z tem wszystkiem pod pismami twemi prasy jęczą...

A ten odrzecze:

— Przestań mię, miły bracie, szarpać żarty swemi; mam dosyć ukarania...

Działo się to przed stu laty. Literat użalał się, że

Gdybyć to kupowano księgi, toby przecie
Człowiek jaką łachmanę zawiesił na grzbiecie...
. . . .
Lecz w naszym kraju jeszcze ten dzień nie zawitał,
Żeby kto w domu pisma pożyteczne czytał...

Okropne było położenie wówczas pisarza niezawisłego od mecenasów. Nie kupowano książek. Możny szlachcic podczas pobytu w Warszawie wstąpił do »sklepiku z księgami na farskiej ulicy« i »spytał na przechodzie: A nie wyszło też jakie dzieło w nowej modzie, bym je zawiózł dla dzieci? Dobrze to nawiasem i samemu przy piwku co przeczytać czasem«. Po długich wybieraniach i targach, »dawszy tynfa rudego«

Poniósł bibljotekę na ładunek głowy:
Receptę do drjakwi i kalendarz nowy.

Pomimo to powstała wtedy bogata literatura; pięknie rozkwitała! Proszę zajrzeć do Estrajchera i obliczyć, ile też w roku, dajmy na to 1789, wyszło książek polskich. Według moich obliczeń, wyszło około 1500 książek.

Obecnie, sądząc z przerażenia najnowszych przedstawicieli inteligencji na widok ilości wychodzących książek, można przypuszczać, że wychodzi ich u nas rocznie 4.500 co najmniej.

Jako żywo! Proszę zajrzeć do Estrajchera. W r. 1889, t. j. w sto lat po roku 1789, wyszło ich 1800 — zaledwie o 20% więcej. A przecież to sto lat niebylejakich! Ludność zwiększyła się w daleko większym stopniu, niż ruch wydawniczy, zwiększyły się zastępy warstw oświeconych i umiejących czytać. W ciągu tych stu lat wyspecjalizowały się liczne gałęzie nauk, o których przed stu laty nie było słychać, druk zastosowano do potrzeb życia niemal codziennych; pomimo to ilość wydawanych książek wzrosła zaledwie o 20%! Gdzież może być mowa o nadprodukcji? Jakże tu mówić wreszcie o istnym potopie tandety, kiedy wiek XIX był dla naszej literatury epoką tryumfów, jakich nie zaznaliśmy od czasów epoki Zygmuntowskiej? W tych 20% przyrostu ma się mieścić właśnie ta charakterystyczna dla naszych cza-

sów i gubiąca nas fala tandety, spłodzonej przez procederzystów? Nie wierzę... Jeżeli chodzi o jakość książek, jestem przekonany, że książki z roku 1789 zmieszczą się w 50% produkcji dzisiejszej. Twierdzę, że książek wytwarzamy mało i te na ogół są lepsze, niż przed stu laty. Wystarczy przejrzeć powołanego Estrajchera, jakie książki wydano w latach odpowiednich; okaże się przewaga po stronie naszej epoki, pomimo że r. 1789 przypada w dobrej chwili ożywienia społeczeństwa.

Czemu wtedy, w tym r. 1789, kiedy pęd życia był duży, nie załamywano rąk nad obfitością literatury? A krytycy chwili bieżącej mogli to robić z większą słusznością, niż my dzisiaj, bo wtedy ktoby się obejrzał sto lat wstecz na swoją literaturę, toby widział, że gwałtownie ona wzbiera. Zajrzyjmy bowiem do Estrajchera pod datę 1689 r., a przekonamy się, że wydano wtedy rzeczy polskich 300. Przypuśćmy, że bibljograf nie doszukał się 200 druków z tej epoki, otrzymamy cyfrę 500, t. j. trzy razy mniejszą od cyfry z r. 1789. Toż to był przyrost, 300%! A na myśl o nim nie dostawał nikt zapalenia oczu. Czemu? Bo był wtedy, jak rzekłem, pęd życia.

Dziś zaczynamy się nudzić cywilizacją. Czy przesycił nas ten 20% przyrostu literatury za lat sto? Nie, doznajemy już abominacji na widok cywilizacji; nudzimy się przez analogję, wykłuwamy zęby po obiedzie, zjedzonym przez kogo innego.

Zatykamy uszy na myśl, ile piór skrzypi na świecie, nie bacząc na to, że mamy wyobrażenie o tych piórach z opowiadania, bo koło siebie piór tych nie słyszymy. Jest to wielkie pytanie, czy mamy prawo pozwalać sobie na nudzenie się cywilizacją.

— — — — — — — — — — — — — —

Zaledwo poczynamy wychodzić ze stanu barbarzyństwa, kiedy to ludzi, oddanych twórczości literackiej, wyzywano od skrobipiórków, mając ich za darmozjadów. Do dziś dnia młodzieniec w świat idący z zamiarem służenia społeczeństwu piórem, walczyć musi z otoczeniem i życzliwą mu rodziną, zaklinającą go, by nie szedł na poniewierkę. Tyle nadziei w synu pokładano, on idzie na marny chleb literacki. Co to za pozycja! Poniewierka od ludzi, brak chleba, dziurawe buty:

»Szeląga nie masz w wacku, a długów po uszy«.

Cóż to za zawód taki, który nie daje chleba, jeśli literat chce być niezawisłym moralnie, a kto chce bądź co bądź mieć z tego zawodu chleb, musi upaść moralnie? Można byłoby mówić o zawodzie literackim i być z niego dumnym, gdyby 1) dawał chleb i 2) nie wymagał zrzeczenia się dla chleba niezawisłości moralnej. Teraz większość literatów opiera swoją »niezawisłość moralną na dochodach« ze źródeł, po za literaturą leżących.

Całe nieporozumienie właśnie polega na tem że my niezawisłość moralną opieramy na docho-

dzie. Niezawisłość moralna opiera się bezpośrednio na charakterze, potem można mówić o wpływach materjalnych. Tem luźniejszy jest stosunek moralności i dochodów u ludzi, znajdujących się na tak wysokim szczeblu rozwoju duchowego, jak literaci. Dochody, zyski pracy, »chleb« nie są bynajmniej zasadniczą cechą zawodów t. z. wolnych. Zawód należy do kategorji spraw społecznych, »chleb« ekonomicznych. Ludzie ciągną rydwan życia uparcie, aż do upadku sił, nie dlatego, że na końcu dyszla przywiązano im kłak siana; zawody powstały nie dla »chleba«, lecz że są korzystne dla samej sprawy życia społeczeństwa. Gdybyśmy obmyślili sposób zaspokajania potrzeb fizycznych w równej mierze wszystkich ludzi, zawody, o których mowa, istniałyby pomimo to, a bodaj właśnie dzięki temu rozwinęłyby się niepomiernie. Do zawodu wolnego ciągnie nie chleb, nie on decyduje o wyborze zawodu, lecz upodobanie i poczucie odpowiednich zdolności; ciągnie jakaś siła tajemnicza, która jednostce nieuświadomionej społecznie mówi: tutaj siły swoje wykażesz, tutaj się wypowiesz, tutaj znajdziesz sławę, szczęście, a uświadomionej szepcze: tutaj najlepiej będziesz mógł się przysłużyć sprawie życia społeczeństwa.

Czy zawód literacki u nas (nie mówię o ściśle dziennikarskim) kusi do siebie widokami zysków? Ludzie wybierają go dla chleba? Wątpię. Każdy inny zawód da go więcej; wchodzą doń z upodo-

bania zawodu. Czemuż nie kochają go stale, czemu przylepiają sobie »skrzydła z chleba« i zatruwają studnie umysłowości publicznej? To już kwestja charakterów, których żaden zawód nie stwarza, lecz czerpie je z ogólnych zasobów społeczeństwa.

Weźmy przykład. Bohatera powieści »Głód« Hamsuna oglądamy w takich okolicznościach, kiedy istotnie z głodu gotów jest palce sobie obgryzać. Jest literatem, pisuje feljetony, książki filozoficzne. Czy pójdzie do dziennika, obmyśliwszy podłą intrygę, i ucieknie się do szantażu? Czy napisze obrazek pornograficzny, który z chęcią nabędą handlarze? Czujemy, że tego nie zrobi, bo ma charakter; gryzie wióry z głodu, a nie sprzeniewierzy się idei swego zawodu. Weźmy z drugiej strony powieść K. Tetmajera »Anioł śmierci«, autora bardzo wziętego, pokupnego. W przedmowie spotykamy swego rodzaju *captatio benevolentiae* dla autora, który usprawiedliwia się z pewnych wad utworu tem, iż pisał go na zamówienie dziennika, nie zgadzającego się z nim w przekonaniach, musiał więc dla wydawców robić duże ustępstwa. Autor nietylko nie czuje swego grzechu, ale chwali się nim w przedmowie. Cóż to jest?

Zawód temu nie winien, on cierpi na tę chorobę wraz z innemi zawodami, z całem społeczeństwem. »Skrzydla lepione z chleba« nie grają tu żadnej roli, bo ten sam »chleb«, którym autora

wynagrodził ów dziennik, łatwo było znaleźć autorowi gdzieindziej.

Jednem słowem »chleb« nie jest pierwiastkiem zasadniczym zawodu. Należą doń ludzie, oddający się robocie zawodowej, a czy czerpią dochody z tego procederu, czy pomagają sobie środkami innemi, to charakteru zawodu nie zmienia. O ich przynależności do zawodu decyduje ich własne poczucie, że to zajęcie, a nie inne stanowi probierz i ujście ich sił wewnętrznych.

Im wyżej stoi cywilizacja, tem głębsze łożyska w ustroju społecznym wyżłabiają sobie funkcje życia ludzkiego i odwrotnie. Spełnianie zaś tych funkcji przez jednostki przybiera charakter pracy zawodowej, stałej, wewnętrznie skombinowanej, tak stałej i niedającej się zastąpić, jak stałe i nieprzypadkowe są elementarne potrzeby życia, leżące w podstawie ich zajęć.

Źródła twórczości — jeśli mowa o zawodzie literackim — biły zawsze, *spiritus flat ubi vult*, lecz dopiero w społeczeństwie nowożytnem twórczość literacka stała się funkcją społeczną — do tego stopnia, że przestaje być rzeczą amatorską, lecz obowiązuje, jak powinność wojskowa, wszystkich, którzy są do niej uzdolnieni.

— — — — — — — — — — — — — —

Pan N. utrzymuje, że »zależność literacka jest u nas dopiero wytworem najnowszej epoki... Gor-

sze to niewolnictwo od zależności względem dawnego protektora literackiego«.

Co to jest zależność literacka? Ekonomiczna? Niewątpliwie, biedują literaci w społeczeństwach mało cywilizowanych. Moralna? Jako cierpienie, zależność istnieje wszędzie; jako konieczność czynienia ustępstw moralnych, — istnieje dla charakterów słabych, nie znoszących zależności od przekonań własnych. Te dusze muszą być zawsze w niewoli, bo ona zapewnia swobodę ich instynktom antyspołecznym. W epokach przejściowych, jak nasza, będzie ich wiele w każdym zawodzie, bez względu na to, czy im się to opłaca materjalnie, czy nie. Jednak śmiem twierdzić, że w tej epoce, bardzo niepewnej pod względem etycznym, bo nieustalonej w pojęciach o stosunku jednostki do społeczeństwa, zawód literacki, jako posiadający najwięcej możności rozumienia tego stosunku, wyróżnia się wśród innych zawodów korzystnie. Zwłaszcza jest to widoczne w naszem społeczeństwie.

Nie mówię o samych ludziach, należących do zawodu, bo nie przeczę, że jest między niemi, jak i w innych zawodach, sporo kanalji, zamiłowanej w brudnem życiu, wierzącej w to, że brak sumienia należy do szyku dzisiejszej cywilizacji; są literaci, szerzący zepsucie wśród swego otoczenia, które broni się od nich sądem, drukiem, kijem: widzę jednak z drugiej strony, że to ich zepsucie stosunkowo mało udziela się literaturze. Widzę na-

wet postęp w porównaniu z wiekiem zeszłym. Literaci, jakkolwiek zachowują się w życiu, — w tem, co piszą, więcej szanują swoją godność osobistą i godność społeczeństwa, bo tworzą niejako w jego imieniu i uważają się za wykonawców jego funkcji. Postęp to względnie duży, jeśli uwzględnimy, jak wiele szumowin społecznych napłynęło dzisiaj do wszystkich zawodów, więc i do literackiego. Jeżeli w tych warunkach literatura nie upadła, jeżeli owszem rozwija się jakościowo, zawdzięczamy to — mojem zdaniem — temu, że stała się zawodem, t. j. że literaci stali się zawodowcami w znaczeniu nowożytnem, zależnemi wprost od społeczeństwa. Społeczeństwo zaś, jako całość, jeśli jest żywotne, nieprawością karmić się nie może.

P. N. utrzymuje, że dzisiejsza niewola społeczna jest gorsza, niż dawna zależność od protektorów. Jestem pewien, że się myli. Dla godności ludzkiej literatów i dla literatury samej owa »niewola« przedstawia pewne korzyści.

Zresztą nie powrócą te czasy, choćbyśmy do nich tęsknili. Nikt nie napisze teraz pieśni do mecenasa wzorem Horacego, nie pójdzie nikt śladem Trembeckiego, Naruszewicza, Molskiego, bo dzisiaj przyświecają naszej robocie zawodowej ideały wyższe, niż łaska protektorów. Lucjan Siemieński jeszcze przed 40 laty zorjentował się doskonale w swojej sytuacji literackiej, kiedy pisał:

»Kto wie, jak wysoką wartość przywiązuje pi-

sarz i artysta do niezawisłości osobistej, która mu daje swobodę wewnętrzną, ten pojmuje, że stosunek jego z księgarzem, opierający się głównie na zamianie owocu pracy za pieniądz, jest najznośniejszym stosunkiem ze wszystkich, przez jakie przechodził rodzaj autorów, zacząwszy od Homera, śpiewającego u wrót za jałmużnę lub kawał chleba, aż do ostatniego z nadwornych rymotwórców, piszącego odę na cześć suczki faworytki, ażeby zwrócić oko pańskie na stan swej smutnej garderoby...«

— — — — — — — — — — — — — —

Zmieniają się stosunki społeczne. Dzisiaj Trembecki, nawet ze swoim charakterem, ani Naruszewicz nie pisaliby pieśni bałwochwalczych na cześć swoich protektorów, nie dla tego, że nie mogliby ich znaleźć, lecz dla tego, że inne ideały obowiązują dzisiaj pisarzy. I wtedy pisali oni ody nie tylko wyłącznie dla »chleba«, lecz pod naciskiem pewnego ideału społecznego. Wymagał tego feodalizm duchowy, który był cechą tamtych dni.

Pod koniec dopiero XVIII wieku pękać poczęły więzy tych ideałów społecznych, a w miarę ich przekształcania się występuje nowy typ literata »chudouczonego«, który bada już naturę społeczeństwa, swego przyszłego pana, i od niego wyczekuje wybawienia. Dopiero wtedy, wyzwoliwszy się z pęt feodalizmu, stał się on osobiście niezależnym.

Bardzo pożytecznie jest w tym właśnie roku rozważyć sobie, co zawdzięczamy w literaturze ostatniemu stuleciu. Uprzytomnijmy sobie przełom, dokonany ostatecznie przez romantyków naszych na początku tego stulecia. Czegóż dokonał ten romantyzm? Dla czego od romantyzmu rachujemy nową erę naszego piśmiennictwa?

Romantyzm stanowi wybitną epokę w rozwoju naszego piśmiennictwa nie dla tego, że był »romatyczny«, ludowy czy inny, tylko dla tego, że przyniósł wyzwolenie osobowości pisarza. Osobowość, indywidualność w twórczości jest cechą zasadniczą romantyzmu, wszystkie inne znamiona tego ruchu były względnie do tamtej cechy pochodnemi lub przypadkowemi. O tę indywidualność romantycy walczyli, nie o co innego, tworząc literaturę nowożytną.

Dawniej »zależność literacka« polegała nie tylko na tem, że karjera literata była zależna od łaski mecenasa, lecz i na tem, że literat był niewolnikiem myśli i formy względem uświęconych powag literackich. Z tej niewoli skostniałych ideałów społecznych, z niewoli t. zw. klasycyzmu literatura mogła się wyzwolić nie wcześniej, jak dopiero po pewnem uniezależnieniu się społecznem zawodu samego. Chudy literat Naruszewicza, prototyp zawodowca nowożytnego, czekał jeszcze kilka dziesiątków lat na jawną walkę na całej linji ze starym porządkiem rzeczy. Dopiero kiedy znalazł się

w bezpośrednim stosunku z publicznością czytającą książki, kiedy poczuł, że stoi pewniejszą nogą w społeczeństwie, wtedy dopiero porwał się do walki o prawa twórczości niezależnej, o prawo wypowiadania własnych myśli i uczuć w formie, jaką uzna za stosowną. Jednem słowem podstawę dzisiejszej twórczości literackiej: indywidualność autorów, ich szczerość, niezależność zawdzięczamy pośrednio nowemu ukształtowaniu się w społeczeństwie samego zawodu. Taka np. »Oda do młodości«, ten istny hymn życia, mogła powstać dopiero w tej nowej epoce naszego piśmiennictwa. Mickiewicz zrobił ją z tego samego materjału językowego, udoskonalonego do podziwu przez Trembeckich, z którego dawniej wyrabiały się ody do mecenasów i do ich kochanek, a jednak jest to nowa, odmienna literatura. Wstąpił w nią nowy duch, odkąd się wyzwolono od mecenasów.

Zależność od zbiorowości społecznej nie jest »niewolą«. Pisarz, kierujący się w twórczości nie upodobaniem jednostki lub chwili, lecz wyrażający w sobie jakiś prąd umysłowy społeczeństwa żywego, nie ma na sobie więzów, prócz — zobowiązań względem ideałów ogólnoludzkich. Zobowiązania te, których poszanowanie stanowi warunek nieśmiertelności pisarzów, ciążyły na nich zawsze, lecz w epoce mecenasów krzyżowały się z obowiązkami względem ideałów szczególnych pewnych

jednostek, które reprezentowały poglądy nie najlepszej warstwy, lecz najmożniejszej. W dzisiejszych warunkach pisarz ma możność służenia ideałom warstwy przodującej społeczeństwu, ma możność, wsparłszy się na niej, dotrzeć przez nią do społeczeństwa i myśl zbiorową prowadzić naprzód.

Naturalnie i w tych warunkach dusze niewolników znajdą sposób oddziaływania antyspołecznego, wiążąc się z grupami, hamującemi rozwój społeczeństwa, lub grającemi w niem (jak tłum) rolę bierną. Ten stosunek rozpustny do społeczeństwa pisarzy-pochlebników, polegający na wmawianiu twórczej myśli społecznej tym, którzy jej nie posiadają, stosunek ten nie stanowi cechy zasadniczej piśmiennictwa nowożytnego.

Jednostki te mogą teraz łatwiej, niż kiedykolwiek dawniej, wiązać się w syndykaty za pośrednictwem księgarzy i wydawców dzienników i żerują na polu walki, żywiąc się padliną, obdzierając trupy lub markietując w tłumie pospólstwa; lecz te stada kruków niech nam nie zasłaniają istotnego położenia rzeczy. Myśl twórcza społeczeństwa w rynsztunku nowożytnego piśmiennictwa kroczy dzisiaj naprzód stopą pewniejszą, niż dawniej. Cóż że, parodjując ją, biegną za nią śmieciarze, jak wrony za pługiem? Wrony ani orzą, ani roli przeoranej do dziewictwa nie powrócą.

Dzisiaj prawdziwy talent, rzetelna myśl ma

możność bezpośredniego oddziaływania na życie, nie czekając stuleci na swą kolej; wszystko zaś co nie jest istotnym dorobkiem ducha, przepada prędko, jak dym. Patrząc zblizka, wydaje się nieraz rzeczą rozpaczliwą, jak opinja skłonna jest do pomyłek, gdy wynagradza pracę niezgodnie z zasługą. Lecz dosyć wznieść się na wysokość historyka paru lat przebieżonych, aby spostrzec, jak okrutną jest ta opinja dla tych, co ją podeszli, a jak miłościwą dla zapoznanych. Opinja dzisiaj załatwia się z wymiarem sprawiedliwości bardzo prędko. Dandys literacki, pomimo wielkiego na razie powodzenia, zaledwie zdoła wejrzeć na swoją sławę, już ginie pod falą aktualności i niemasz krytyka, któryby się po niego schylił. Nie przepadają jednak teraz tak łatwo, jak dawniej, talenty szczere w niepostrzeżeniu, zasługi rzetelne — w zapomnieniu. Społeczeństwo dzisiejsze w publicystyce i krytyce bilansuje skrzętnie swoje siły i te wszechstronniej wyzyskuje i wynagradza uznaniem sprawiedliwiej i prędzej, jeszcze za życia. To, co się mówi w dziennikach po śmierci wybitnych ludzi o krzywdach, jakich doznali ze strony społeczeństwa, jest zwykle przesadą. Jednostka twórcza nie ma nic do brania, tylko wszystko do oddania; więcej nie może dać, niż posiada, a jeżeli dała mniej, to ona skrzywdziła społeczeństwo.

Powracając do wymiaru sprawiedliwości, doko-

nywanego przez opinję, podkreślić należy, że w piśmiennictwie organem jest krytyka; ona wyobraża świadomość piśmiennictwa co do jego środków i celów. Wszystko, co można zrobić dzisiaj dla uzdrowienia i wzmocnienia literatury, mieści się w potrzebach krytyki. Nadmiar produkcji literackiej, choroby zawodu pisarskiego nie będą dla piśmiennictwa groźne, jeśli nad niem czuwać będzie dobra krytyka. Ona z płomiennym mieczem strzec powinna wrót literatury, pozostawiając za jej progiem wszystko, co właściwej literatury nie stanowi.

— — — — — — — — — — — — — —

Te bardzo pobieżne uwagi, przygodnie rzucone na papier, kreśliłem w duchu optymistycznym nie dla tego — powtarzam — żebym nie czuł wraz z p. N. obrzydzenia do dzisiejszych tu i ówdzie stosunków literackich i wydawniczych, lecz niejako z obawy, żeby mnie samemu stosunki te nie przesłoniły widoku na istotne położenie rzeczy. Pragnąłem sobie sformułować, czy istotnie tak źle jest z dzisiejszem piśmiennictwem i przyszedłem do wniosku odmiennego. Z powodu nizkiego poziomu oświaty ogólnej u nas istotnie procederzyści rzucają od siebie cienie dosyć wydłużone, lecz pesymizm z tego powodu nie wydaje mi się tutaj właściwym, bo światło wschodzi, nie zachodzi i cienie te skrócać się będą.

Poglądy zbyt pesymistyczne na teraźniejszość

cywilizacji społeczeństw europejskich utwierdzają we mnie przekonanie, że nie umiemy na nią patrzeć należycie. Wyznaczamy teraźniejszości jakiś obszar bezkreślny, nie wiążąc jej z przeszłością i przyszłością, podczas gdy ona jest właściwie poprzeczną linją geometryczną między niemi. Rozważamy życie tak, jakby dziś się zrodziło, a z uderzeniem zegara, z nastaniem jutra, miało zamienić się w jakieś życie całkiem nowe, z odmiennych źródeł bijące. Tymczasem przyszłość sami robimy; zaczęła się już od nas, odkąd posiedliśmy pewien ideał przyszłości. Musi w to wierzyć pokolenie żywotne; przestaje być takiem, kiedy zaczyna wątpić, czy szczebel rozwoju duchowego, na którem samo stoi, leży istotnie na drodze do celu prowadzącej. Dla tej przyszłości swojej pracuje się nie dla tego, że dzisiaj jest źle, lecz — że doskonalenie życia w myśl ideału jest warunkiem ciągłości życia. Potępienie teraźniejszości nie jest warunkiem zasadniczym tworzenia przyszłości. Owszem, poczucie, że dzisiejsze warunki egzystencji duchowej, na obecnym szczeblu cywilizacji są postępem względnie do dawniejszej epoki, — to poczucie dodaje siły do pracy. Bo pracuje się tem sporzej, im więcej czuje się możności zdziałania; kiedy zaś nie widzi się tej możności, kiedy duch widzi się raczej zapędzonym w błoto, wtedy pluć tylko może na przyszłość:

Vogue la galère! Niech płynie łódź
Przez jakie chce odmęty...
. . . . Do djabła wiosła:
Na bagna z wiosłem fala zniosła,
Więc precz!...

10. SENTYMENT W PRZEMYŚLE.

Lwów, grudzień 1906.

Skąd sympatja do waszej fabryki? *) Gdyby nie to pytanie, które się narzuca samo dziennikarzowi, nie miałbym nic do napisania w waszym kalendarzu i nie pisałbym pomimo uprzejmego zaproszenia.

Dlatego wasze powodzenie nas raduje? Zastanawiałem się nad tem przed kilku dniami po wyjściu ze sklepu, gdzie przedemną chwalono wasze wyroby.

Wiadomość ta zrobiła mi tem większą przyjemność, że kupiec uzasadniał powodzenie dobrocią towaru. Nareszcie — myślę sobie — jakaś gałąź naszego przemysłu znajduje dla siebie naturalną podstawę — w obopólnej korzyści wytwórcy i spożywcy!

---

* Jest to list do dyrekcji pewnej fabryki lwowskiej w odpowiedzi na zaproszenie do jej wydawnictwa.

Oczywiście, kupowanie wyrobów krajowych z obowiązku obywatelskiego, nawet wbrew korzyści materjalnej, godne jest pochwały, ale co do mnie, im więcej się u nas tego motywu używa, tem więcej mam obaw o frazes obywatelski. Gdy frazesowi nie odpowiada prawda realna, wtedy frazes się strzępi, jak rozwiązany bacik dziecinny. Co wogóle po baciku, gdy niema czem jechać? Nieprawda?

Najlepiej, gdy towar jest pewny, a potem pomówimy o obowiązku obywatelskim spożywców. Bo przytem ta dusza ludzka! Niechże się komu zdaje, że z łaski coś robi (w tym wypadku — kupuje), toż dopiero jadu w sobie nagromadzi! Łaska pańska na pstrym koniu jeździ... Nasze społeczeństwo jest nie dość kulturalne, aby nie dało poczuć swej pańskości nawet tam, gdzie sobie mylnie wyobraża, iż łaskę robi. Dlatego tak poniewiera przemysłem krajowym, że za wiele myśli o swej roli dobroczyńcy przemysłu, a za mało się uczy ekonomicznego myślenia.

Przyjemnie mi było stwierdzić, że stosunek wasz kupiecki do targu normalnie się układa, ale skąd sympatja?

Uczucie to bywa także czynnikiem ekonomicznym, o którym się zresztą w podręcznikach ekonomji nie mówi. O tę sympatję ubiega się każdy wytwórca, ale nie każdy ją posiądzie. Stanowi ona przyjazną atmosferę wymiany, pewien sentyment

tę wymianę ożywiający; wywiązuje się jednak ten sentyment nie z rachunku, ale z dalszych skojarzeń duchowych, mianowicie ze skojarzeń społecznych i estetycznych.

Sympatję ku wam budzi nadewszystko forma zewnętrzna, jaką wyrobom swoim dajecie. Nie boicie się swej odrębności, wybijając mocno swoją firmę, i dbacie o piękno artystyczne w szacie zewnętrznej towaru.

— — — — — — — — — — — — — —

Ruskin, który tak wysoko szacował znaczenie społeczne piękna, nie lubił wyrobów fabrycznych, ale był to człowiek anglo-saski, przesycony przemysłem. W naszych warunkach uznałby niewątpliwie dodatnią wartość sympatji, jaką żywimy dla młodego przedsiębiorstwa fabrycznego, które ma odwagę stanąć do konkurencji z przemożnym przemysłem obcym, nie podszywając się ukradkiem pod ulubioną obcokrajowość, i stwarza swoją odrębną postawą bodaj drobny rys indywidualny na obliczu zubożonego kraju.

Przytoczę przykład, jak dalece w naszych warunkach trudno o dowody podobnej odwagi.

W pewnym galicyjskim składzie fabrycznym cukierków (zresztą doskonałych) podano mi kakao i czekoladę w owinięciu, niczem nie zdradzającem, że wyrób jest krajowy. Napisy były francuskie. Ze zdumieniem spostrzegłem, że nie wymieniono tam nawet firmy fabrycznej, ani miejsca. Wytwór

bezimienny, ale opakowanie na pierwszy rzut oka niczem nie różniło się od Sucharda, czy kogoś podobnego — i o to właśnie fabrykantowi naszemu chodziło.

— Czemu to robicie?

— Niktby nie kupił, gdyby spostrzeżono, że to krajowe. Prędzej jeszcze za granicą (tam nasz towar dobrze idzie), ale u nas tylko wyrób zamaskowany można przemycić, — nie uwierzą, że nasz towar jest lepszy od obcego.

Brak wiary!

Proszę zważyć ten fakt. Co mu brakuje, że nie jest sympatyczny? Po kupiecku biorąc, jest to fakt dodatni: towar idzie. Kasowo tak, ale społecznie nawet ekonomicznie? Cóż dopiero mówić o sympatji estetycznej, gdy się widzi rzecz nieswojską i tak bajecznie szablonową, obliczoną na międzynarodowy, cudzy kurs?

Ze stanowiska ekonomicznego wydaje mi się taka metoda kupiecka bezsensem właśnie dlatego, że nasz fabrykant, podszywając się pod pozór cudzy, usiłuje jednocześnie towar sam robić jaknajlepszy, któryby wszystko podobne przewyższył. Pracuje więc na cudzy rachunek — nie wytwarza marki przemysłowi krajowemu, ale (co już jest lekkomyślnością osobistą) zaprzepaszcza własną firmę. Bo niechże, zadowolony z kasy, odkryje nareszcie przyłbicę i wyraźnie na towarze położy swoją firmę, wtedy wypadnie mu zaczynać karjerę

na nowo, jako nowicjuszowi, dotąd bowiem robił reklamę komu innemu, nie sobie.

A pod względem narodowym? Robotą społecznie estetyczną, t. j. sympatyczną dla ogółu jest ta, która choćby w swoim najmniejszym zakresie odpowiada interesowi i dążeniom narodu. Zacieranie cech swojskości na towarach nie leży w interesie narodowym, a już wprost przykre sprawia wrażenie wówczas, gdy cały naród na wszystkich innych polach stara się wydobyć z siebie i zaostrzyć znamiona samodzielności. Kto zna swoje społeczeństwo, ten wyczuje, jaki ton i kierunek przybiera w danej chwili myśl narodowa; a jeśli ma on instynkt obywatelski, to prąd tej myśli za swój uzna i podda mu swoje własne usiłowania w zakresie osobistym. I to właśnie sympatycznie daje się odczuć, gdy drobne wysiłki z prądem ogólnym — w duchu czasu — harmonizują, gdy wysiłki rozrzucone układają się w jeden harmonijny ruch zbiorowości, celowo przez myśl narodową wytknięty.

Wracając do rzeczy, to chcę powiedzieć, że wasza postawa, taktyka i czujność na ducha czasu wyróżniają się sympatycznie z pośród tła przemysłowego w Galicji. Jest w tem wiele odwagi pionjerskiej i rozsądku kupieckiego. Ale wiem nadto, znając oddawna ręce, które fabrykę stworzyły, że temu dążeniu waszemu do indywidualności przyświeca szersza idea twórcza, która daje każdej ro-

bocie, gdziekolwiek znajdzie dostęp, siłę miłości dla sprawy i siłę ambicji.

Po sposobie brania się do roboty widać, że jesteście z pokolenia, które wolałoby raczej nie robić nic, niżby robota miała iść bez pożytku dla kultury narodowej. Taką robotą (poza rachunkiem kupieckim, który rządzi w przemyśle) włada nadto pasja stwarzania wartości narodowych i ta ambicja łączy poszczególne kółka z machiną twórczą społeczeństwa, obejmującą wszystkie inne dziedziny pracy.

Piszę to nie dla komplementu osobistego, ale że mi dajecie sposobność widzieć, jak w każdej pracy, nawet w skromnej fabryce, przejawiać się może władnąca wolą ludzką idea życia zbiorowego.

Wola ludzka, dająca się tej idei jakby promieniom Roentgena prześwietlić, gdziekolwiekby się obracała, jest dla społeczeństwa swoistą, żywą, twórczą; wszystka inna jest, jak ciało obce w organizmie — rzeczą martwą. Więc i przemysłowiec, który poza obrotem swojej kasy nie czuje żadnego ruchu dokoła i nie wpada w tętno życia ogólnego, jest ciałem obcem, w najlepszym razie dla organizmu społecznego obojętnem i próżno liczy na sympatję dla siebie. O ile wstrętne jest nadużywanie przez kupców marki krajowej dla przemycenia towarów obcych, o tyle znowu tajenie

krajowości w przemyśle dotykać musi boleśnie ambicję narodową.

— — — — — — — — — — — — — —

A wreszcie forma estetyczna. Wiąże się ona u Was ściśle z zasadą manifestowania krajowości wyrobów. Szata zewnętrzna waszych towarów ma w zdobnictwie wiele piętna swojskości. Posiłkuje Was w tym kierunku doskonały artysta, a waszą jest zasługą, że lubujecie się w motywach swojskich, a co ważniejsza... nie boicie się dobrego smaku.

Ludziom schlebia, gdy się im uszanuje elementarne prawo oglądania rzeczy ładnych. Nikt z drugiej strony nie ma prawa zmuszać do patrzenia na formy szpetne lub pospolite w swej pretensjonalności artystycznej, ale niestety bezprawie artystyczne jest u nas zasadą, od której odstępstwem dopiero czyjaś wyjątkowa dla dobrego smaku łaskawość. Poprostu wdzięczność mamy dla tych, którzy nas widokiem czegoś estetycznego rozradują. Uciekanie się do swojszczyzny w zdobnictwie przypisuję dobremu instynktowi artystów, wybierających najkrótszą drogę do serc ludzkich. Droga prosta i niezawodna w rzeczach drobnych, gdzie imponować bogactwem form niepodobna. Każdy naród ma rasowo oko nałożone do swoistych koncepcji piękna, ma swój smak. Trzeba drogę do jego upodobań bez zbytnich chytrości artystycznych odgadnąć. Nikt się nie zawiedzie, kto do tych

upodobań pójdzie śladem sztuki ludowej i wytworzy z motywów swojskich rzecz sztuki. Bo oko nawykło szukać radości estetycznych na swojem środowisku i rade jest każdemu, kto mu w tych rzeczach znanych piękno nowe znaleźć pomoże.

Wyście w swoim zakresie zrozumieli swój obowiązek nie obrażania smaku i tem także — zdaje mi się, skarbicie sobie sympatję. Lubimy patrzeć na wasz wyrób; szanujecie w nas prawo oglądania rzeczy estetycznych. A że idąc za głosem obowiązku kupieckiego, robicie na tem dobry interes, to powiększa tylko nasze zadowolenie, bo i pod tym względem jesteśmy estetami: milej nam patrzeć na powodzenie pracy, niż na jałowość wysiłków i nędzę, której zanadto mamy dokoła.

11. PARTYKULARYZM.

Lwów, wrzesień 1905.

W Zakopanem przy table d'hocie jedna z sąsiadek zwróciła mi uwagę na rozmowę, toczącą się w towarzystwie:

— Jak te warszawianki znają się na polityce: interesują się wszystkiem, co się dzieje w kraju! Gdzieby tam u nas która z pań wiedziała coś o tem!

Sąsiadka moja była Galicjanką. Przyznałem jej słuszność.

W Zakopanem bawi wiele gości z Królestwa. Galicjanki przysłuchują się opowiadaniom o strasznych stosunkach, panujących za kordonem, z pewnem roztargnieniem, ale przez samą delikatność towarzyską słuchając, wciągają się duchem w obroty myśli narodowej, zataczającej kręgi i nad ziemiami galicyjskiemi, myśli nad wyraz znękanej, blizkiej rozpaczy.

Galicja, nie mając interesów materjalnych za

kordonem, dowiadywała się zawsze o stosunkach w Królestwie od »gości« tamtejszych. Teraz obcuje się z niemi w zdrojowiskach i miejscach klimatycznych, dawniej obcowało się z niemi po miastach i domach wiejskich, jako z emigrantami politycznemi. Po obu powstaniach szły gromady tych gości, każdy niemal dom ma do dzisiaj w tradycjach swoich wspomnienia takiej gościny. Ci »goście« uczyli spartykularyzowaną ludność galicyjską sprawy narodowej, uczyli z rozmaitem powodzeniem względnie do pomocy, jaką im okazywał duch czasu. Zapewne, były także realne wyniki tej nauki, ale trzeba przyznać, że cała frazeologja i dewocja patrjotyczna, tak bogata w Galicji, jest tej nauki owocem. Dowód to wysokiej kurtuazji towarzyskiej.

Rzeczy towarzysko nabyte znajdowały towarzyski obrót. Patrjotyzm galicyjski przez tę kurtuazję poszedł na użytek obchodów i toastów; tyle duszy poruszał, ile się jej odsłaniało w obcowaniu odświętnem; w życiu praktycznem najczęściej nie było i niema na niego miejsca. Dziś bodaj rozmowę o położeniu rzeczy w Królestwie trudniej nam ze swemi »gośćmi« podtrzymać, niż np. w latach 1831—6, kiedy sprawa narodu, jako całości, gorąco w Galicji była dyskutowana.

To też przy *table d'hotach* letnich atmosfera ciężka. Trzeba wniknąć w istotę okropnych opowieści o rzeczach, z niczem, co się zna, niewspół-

miernych, nieprawdopodobnych. Panie nasze (i panowie) słuchając wyrażają zdziwienie, współczucie, ubolewanie, ale nie umieją tego, co słyszeli, powtórzyć. Słyszą fragment jakiejś historji, której znali niegdyś początek, ale wątek dalszy z dziejów lat kilkudziesięciu przepuścili. Jakby kto czytał powieść na wyrywki.

Trudno się w tem połapać. Trzeba było współżyć z rodakami w ich troskach pod rządem rosyjskim, którego (wstyd powiedzieć) nieraz zazdrościło się im w duszy, aby zrozumieć, jak straszny jest zblizka widok społeczeństwa, którego spoidła pękają, a żywe części składowe rzucają się na siebie, aby pożerać własne ciało, toczyć z organizmu krew... *Dies irae!*

Jakaż to orgja dzika!
Jakiż to chaos mąk!
    Kyrje elejson!
Idą na się zmartwychwstali,
Ogniem wojny świat się pali,
Tłumy w krwawej brodzą fali!

Jest się czego nauczyć, choćby za *table d'hotem*. Oto rząd obcy doprowadza do takiego stanu organizm społeczny; każdy rząd obcy, nie będący wyrazem swoistej samowiedzy narodowej, zniszczy w ten lub inny sposób społeczeństwo, jeśli jego ręka sięga zbyt głęboko do wnętrza życia.

Trzeba się znać, jak to mówią panie, »na po-

lityce« — obowiązuje to wszystkich — trzeba znać i czuć interesy swego społeczeństwa, pogłębiać swoją świadomość narodową, rozszerzać swój wpływ na bieg spraw wewnętrznych, prężyć siły, aby jaknajwięcej rządów w kraju sprawować, bez spuszszczania się na cudzy rząd, choćby to było (zwłaszcza przy posadzie rządowej) dogodniej, bo najpewniejsza ręka, to własna ręka. Niech pękną więzy zewnętrzne, trzymające społeczeństwo w kupie, jak się to stało względem nas z rządem rosyjskim, a z pozornego organizmu pozostaje sypkie rumowisko z płonącemi belkami.

I my w Galicji na opatrzność austrjacką nie spuszczajmy się zbytnio; ratujmy resztki krwi niewyssanej, resztki samowiedzy narodowej.

— Niech więc pani weźmie się do polityki — rzekłem sąsiadce na zakończenie rozmowy.

— — — — — — — — — — — — — — —

Miałem potem inną rozmowę.

Pewien pan, bawiący przejazdem we Lwowie, dziwił się, że w naszem mieście nikogo nic nie obchodzi.

— Rozmawiałem — są jego słowa — z ludźmi i widzę, że wypadki, które obecnie światem wstrząsają, nie są przez nich dostatecznie doceniane, zdaje mi się nawet, że nie obchodzą ich. Być może, źle trafiłem; byli to co prawda urzędnicy, którzy w żadnych wypadkach żywego udziału brać

nie mogą i niczego się od nich nie spodziewają. Ale zwracam pańską uwagę, że gdyby moje spostrzeżenie dało się uogólnić, to mógłby pan wyciągnąć stąd ciekawe wnioski...

Zaciekawił mnie ten człowiek, chciałem mu to nawet okazać, żeby nie myślał, że u nas nawet dziennikarzy nic nie obchodzi. Postanowiłem bronić Galicjan.

— Bo, proszę pana — mówi mój gość — ci ludzie, z któremi tutaj rozmawiałem, najwidoczniej znużeni są bieżącemi wypadkami, a nawet mają pewien żal do dzienników, że ich niepokoją. Każdą wiadomość oceniają z punktu jej wiarogodności, boją się napróżno wzruszyć. A może to — powiada — nieprawda, czego mam już teraz o tem myśleć, a może się jeszcze martwić? Wydaje mi się, że ci ludzie, gdyby zobaczyli katastrofę jaką na własne oczy, to jeszcze wtedy sięgnęliby po rozum do Kanta, aby się pocieszyć teorją niedowierzania zmysłom i swemu umysłowi. Rzecz sama w sobie jest niepoznawalna; może to się tylko tak wydaje?

Ci neo-kantyści lwowscy myślą, że wszystko, co się teraz niby dzieje na świecie, to ono właściwie tylko się tak wydaje dziennikarzom, którzy z urzędu wszystkim się interesują. Ale co to może obchodzić ludzi spokojnych?

— A wiesz pan, skąd to pochodzi? — pyta

nasz gość. — Oto stąd, że ci ludzie nie współżyją nietylko z ludzkością, ale nawet ze swoim narodem tak, jak ludzie cywilizowani na świecie. Obywatel dzisiejszy (ten co robi historję), wie, choćby z giełdy, że świat współczesny, jest jak sieć, powiązana nićmi wspólnych interesów. Gdzie kto dobrze pociągnie, choćby w Japonji, to wszędy oczka sieci się kurczą; a nie daj Boże zerwania nici! Żyć trzeba teraz czujnością pająków, pomnażających i odnawiających swoją przędzę. Do takiej czujnej twórczości potrzebne są wszystkie władze ducha w porządku i w napięciu; ideałem cywilizacji była i jest pełnia życia, w której człowiek mógłby wyzwolić, wyładować wszechstronnie cały zapas swoich sił twórczych.

Widzi pan, człowieka cywilizowanego przeto wszystko interesować musi. Rzymianin już mówił sobie: nic ludzkiego nie jest mi obojętne... Na to trzeba żyć wszystkiemi władzami ducha, a jeśli się tylko wegetuje, to człowiek skazany jest na mękę ciekawości jałowej. Czyta o tem, co się dzieje, jakby słuchał cudzej plotki, pracuje tylko wyobraźnią i zawsze biernie, a to ostatecznie wyczerpie wyobraźnię, nieodkarmianą uczuciami. Coś bardzo nowego i strasznego ożywi go na chwilę, ale niech Portu Artura Japończycy w tydzień nie wezmą, to już jest znudzony. Klnie więc na dzienniki, jakby one temu były winne...

— A wie pan — powiadam — to ia zauwa-

żyłem, że im kto pewniejszą ma posadę, tem mniej go obchodzą wypadki... Ale bo też proszę pana Galicja jest na boku od tego traktu, któremi chodzą wielkie prądy i wielkie wydarzenia. Za to polityka miejscowa, wszystkich bardzo interesuje.

— Narodowa?

— No, nie powiem, żeby w najszerszem znaczeniu. Owszem, jest spór zasadniczy o to, czy należy traktować sprawy wszystkich trzech dzielnic, nawet w punktach wspólnych, że tak powiem — *junctim*, czy też, jak z porządku dziennego wypada, ograniczać się stanowiskiem l o k a l n e m. Jesteśmy krajem parlamentarnym, trzeba więc oczywiście regulaminowo... Ale zainteresowanie się sprawami politycznemi jest ogromne... Studenci gimnazjalni nawet robią politykę...

Skarżą się coprawda ci i owi na szewców, że nie pilnują kopyta z powodu zajęć politycznych, ale pytam pana, co ważniejsze: robić na warsztacie — już nie powiem buty, ale nawet — surowicę przeciwbłoniczną, czy też wesprzeć partję? Pan mówi: pełnia życia, a ja na to powiem: ruch. Niema życia bez ruchu, a ruch jest dopiero wtedy, kiedy się porządnie wszystko wszystkiemu przeciwstawi. Od tego jest podział na partje, im więcej tych partji, tem większy ruch, większe życie. Ile interesów — tyle grup, a wszystkie do siebie z pazurami; w każdej grupie społecznej obudzić

świadomość własnych interesów i puścić te grupy w ruch...

Przeciwko społeczeństwu? — pan pyta. A ja zapytam: jakie społeczeństwo? jeśli wszystko jest w grupach? Słusznie zapytał niedawno pewien dziennik lwowski: gdzież jest społeczeństwo? Pokażcie nam to społeczeństwo!

»*Panta rei*« — powiedział jakiś filozof grecki...

— — — — — — — — — — — — — —

Mówiłem tak nie bez goryczy i ironji.

Politykę u nas zbytnio się uproszcza, poczytuje się ją za sprawę partji. Naród dzieli się na partje, społeczeństwo nadto na zawody. Co jest dobre, co złe politycznie lub społecznie — to rzecz względna, zależna od stanowiska. Organizacje szczegółowe zasłoniły ogólną organizację narodową. Środek wzięto za cel i porobiono z haseł partyjnych i zawodowych fetysze.

Nie wolno dotknąć poszczególnego zawodu, ale o narodzie może każdy wydawać sądy, jakie mu się podoba.

Jaką drogą powstaje podobna metoda myślenia? Poprostu drogą wulgaryzacji posłyszanych haseł społecznych. Nasz radykał — to socjalizujący »kołtun«.

Z każdą doktryną społeczną można się pogodzić bądź ze stanowiska historycznego, bądź socjologicznego, ale niepodobna pogodzić się z myślą,

że w społeczeństwie nawet wśród inteligencji rozplenia się kierunek myśli, pochodzący wprost z zaniedbania umysłowego, czy złego smaku.

»Kołtun« socjalizujący nasłuchał się o walce klas, o żelaznem prawie płacy i z tej przestarzałej doktryny, na świecie już nie branej serjo, niby z modnego niegdyś kostjumu, kupionego na tandecie, skroił sobie własny kaftan socjalistyczny. Według tego szablonu nie ma pracy bez pracodawcy i wyzysku. Obowiązek pracy jest wynikiem ucisku społecznego ze strony sfer uprzywilejowanych. Postęp społeczny polega na wywalczaniu lepszej płacy, a zadaniem przywódzców ruchu społecznego jest wynaleźć w każdym wypadku pracodawcę, przeciwstawić mu pracownika, pracodawcy sprawić lanie, a pracownika nauczyć pogardy dla wszelkiego obowiązku.

Taką teorją posługiwali się dotąd parobcy po dworach, służące w kuchni, ale na dobytek publicystyki z pozorami nowego stempla przeszła ona z socjalizmu. Socjalizm marksowski przełożyli na swój żargon i utrwalili w Galicji żydzi, z tego żargonu przełożył go »Kurjer lwowski« na gwarę łyczakowską, a Rusini na mowę ruską według słownika hajdamackiego. W ten sposób kultura umysłowości polskiej w Galicji ulega powrotnej fali barbarzyństwa.

Dualistyczna teorja przeciwieństwa zarobkowania i płacenia — zdaniem jej zwolenników — ma

tę wyższość od socjalizmu, że da się zastosować wszędzie, gdziekolwiek odbywa się praca; zarówno do pracy biurokratycznej, jak do pracy twórczej zawodów wyzwolonych, zarówno do pracy rzemieślników na własnym warsztacie, jak do pracy fabrycznej. »Ludowiec« np., gdyby mu pozwalała wolnomyślność w rzeczach religijnych, organizowałby księży do walki ekonomicznej z parafjanami...

Do istniejących już kadrów jakiegoś zawodu, zrzeszonych w instytucjach samopomocy lub naukowych, przystępuje działacz lwowski i powiada: »Mało zarabiacie, nieprawda? Nie dajcie się, walczcie, jesteście »uśpionym olbrzymem«, nieświadomym własnej siły. Hasło takie, narzucane organizacji robotniczej, umyślnie sformowanej do walki z kapitałem, było zrozumiałe; ale jako naczelne wyznanie wiary takiego np. zawodu nauczycielskiego budzić musi poważne refleksje.

Kołtun socjalizujący niema żadnych refleksji; niech każdy zawód stara się byt swój poprawić, a całość sama się złoży... »Zostawmy patrjotyzm innym«, naszem zadaniem jest wywalczyć większy zarobek...

Cała sztuka wynaleźć pracodawcę; z kim nauczyciel ma walczyć? Społeczeństwo potrzebuje nauczycieli, a więc pracodawcą jest społeczeństwo, ono wyzyskuje, jemu więc wypowiadać walkę! »Kurjer Lwowski« pisze teraz z powodu skandalicznych

przemówień na wiecu nauczycielskim swojego ucznia Rosoła:

»Gdy jednak nauczycielstwo wyszło poza sferę bezsilnych biadań, poczęło się organizować i domagać poprawy swojego bytu, blady strach obleciał galicyjskich augurów i oto dziś jesteśmy świadkami nagonki na nauczycielstwo...«

Strach czego? Że nauczyciel będzie miał większą płacę? Wolne żarty! Opinja niepodzielnie jest i była za podniesieniem uposażenia nauczycieli. Ale społeczeństwo przeraziło się czego innego: tego tonu, jaki zaczyna panować wśród nauczycielstwa: »patrjotyzm zostawmy innym« — oto nowe hasło. Przelękliśmy się nowej szkoły socjalizmu kołtuńskiego. Agitatorzy wiecowi takie hasła, jak wyżej, popierali aplauzem, siali w dusze jednostek niewyrobionych.

Za podstawę swojej działalności uproszczony socjalizm kołtuński bierze zawody. Oczywiście opanować trzeba lekarzy, jeden z najwydatniejszych zawodów. Założono na ten cel »Głos lekarzy«. Znaleźli się tutaj autorzy, którzy z polotem umysłowym konia tramwajowego, piłowali kwestję: czy lekarze mogą dla podwyższenia płacy urządzać strajki. Cała melancholja »Głosu lekarzy« płynie stąd, że nie docieczono dotychczas, kto jest pracodawcą lekarza; cała zaś wściekłość klasowa tego pisma kieruje się oczywiście pod adresem chorującej publiczności, że mało płaci, lub zdrowej, że

nie choruje. Klasa wyzyskująca (publiczność) rozdwaja się na dwa skrzydła: chorą i zdrową — tem ciężej z nią walczyć. Trudno o dalej idące kołtuństwo i gorsze ośmieszanie zawodu.

Podobne kołtuństwo jest śmieszne ze stanowiska socjologicznego, ale może być groźnem ze stanowiska obyczajowo moralnego. Uwstecznia ono w masach mniej oświeconych te minimalne pojęcia, jakie postęp cywilizacji wdrożył w umysłowość nowożytną. Życie zawodowe nie ogarnia całego człowieka. Społeczeństwo nowożytne opiera się na fakcie wyemancypowania jednostki z więzów kastowości i zetknięcia jej bezpośredniego z życiem całego społeczeństwa. Dopiero w ramach życia narodowego jednostka jest w stanie rozwinąć wszystkie zasoby władz swoich duchowych i zaznać pełni życia. Zawód tej pełni nie da, kasta podobno wystarczała dawniej. Każda jednostka osobiście zdobywa sobie zasługę, imię, szacunek, uznanie, świętość. Sam zawód — jako taki — nie wyczerpuje jej obowiązków względem społeczeństwa. Organizacja zawodowa nowożytna jest natury gospodarczej, daje pewne prawa na wewnątrz, ale nie na zewnątrz, stanowi drobne kółko w maszynerji społeczeństwa i przeciwstawić społeczeństwu się nie daje. W organiźmie społecznym zawody mają zadanie potęgować życie, ale go nie wyczerpywać; są środkiem, ale nie celem ostatecznym życia społecznego.

Oczywiście w nowożytnych warunkach społecznych, gdy robota publiczna jest zdemokratyzowana, rozłożona na działy, z konieczności ideały życia zbiorowego ulegają pewnemu spopularyzowaniu. Tłum musi je wulgaryzować nawet, ściągać na poziom jaknajbliższych stosunków i interesów. I to jest zrozumiałe.

Ale staje się ta wulgaryzacja groźną, gdy hołdują jej kierownicy popularni w prasie. W ich ustach partykularyzm czy terytotorjalny, czy socjologiczny bywa umyślny. Jest to niewybredny sposób poufalenia się z masami, nie wybiegającemi myślą i dążeniem poza rogatki parafji, stanu lub zawodu. A jeśli jest objawem szczerym (co niestety nieraz daje się u nas stwierdzić), to jaknajsmutniej świadczy o stanie kultury umysłowej w naszym zaścianku.

12. O RĄBANIU DREW I CZAPKACH FRYGIJSKICH.

Lwów, październik 1906.

W dyskusji, którą nasza opinja publiczna prowadzi z socjalistami na temat bandytyzmu, padło niedawno na łamach »Naprzodu« lekkie słówko: »gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą«. Nie trzeba być drwalem, aby o tem wiedzieć, ale trzeba być człowiekiem zwyrodniałym umysłowo i moralnie, aby to przysłowie stosować do wypadków bieżących. Bo co to za drew rąbanie, kiedy wióry jak polana, a drwa jak wióry?

Socjaliści w »Naprzodzie« z pobłażliwym uśmiechem tłumaczą niedojrzałemu społeczeństwu:

— Nie znacie się na robieniu historji. Gdzie jest rewolucja, tam musi być bandytyzm. Tak było za rewolucji francuskiej, tak musi być za naszej. A co my gorszego? Rewolucja nie byłaby kompletna...

A więc bandytyzm należy do dobrego tonu rewolucji! Zawsze hołdowaliśmy modzie francuskiej, socjalistyczni jednak historjozofowie, wynajmujący znoszone szaty rewolucji francuskiej na tandecie, (na Pociejowie, na Kazimierzu lub na Zarwanicy), dzielą losy prowincjonalnych elegantów, zawsze się spóźniających z modą.

Nie tak się nosiło czapkę frygijską!

— — — — — — — — — — — — — —

Ów braciszek »Rewolucji« rosyjsko-socjalistycznej — bandytyzm wygląda bardzo podejrzanie. Jest to »polski brat«, który rosyjskiej siostrze zagrabia wszystkie dochody. Bo jakież owoce zbiera sama rewolucja? Są to właściwie wióry, a drwa należą do bandytyzmu. On stał się wkońcu tyranem rewolucji, nie zostanie jej nic w historji krom niesławy nieprawych związków, nędzy i choroby całego społeczeństwa.

Czemże jest zysk rewolucji z zabójstwa jakiegoś stójkowego, którego zresztą zabije każdy bandyta, aby mu kraść nie przeszkadzał, obok dokonanego przez bandytów zabójstwa takiego Gadomskiego, który w każdem społeczeństwie za chlubę cywilizacji byłby uważany, a u nas, gdzie tak mało umysłów politycznie myślących, był jednostką potrzebną, szacowną, niemal nieodzowną. Wedle drwalów z »Naprzodu« — to wiór; powiedzą może, jak o zabitym robotniku Baranowskim, że zabójstwo

jego było potrzebą sumienia ludu, bo Gadomski należał do »czarnej sotni«, do reakcjonistów, a może — był szpiegiem.

Gadomski śmielej niż ktokolwiek z publicystów warszawskich chłostał tych, ktorzy pod hasłem rewolucji szerzyli w kraju anarchję kryminalistyczną. Bandyci, jak przystało sojusznikom, zabili go. Może nie była to zemsta umyślna, ale logika faktów jest taka niestety. Gadomski tłumaczył niedawno w swojej »Gazecie Polskiej«, jaka jest różnica między anarchją, szerzoną przez socjalistów, a rewolucją francuską.

»Rewolucja francuska — pisał — była przecież nawskróś narodowa i patrjotyczna. Nie: precz z Francją — wołali trybunowie paryscy, ale: Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie — i ziemię francuską ogłosili za wolną i niepodzielną. Płomienny patrjotyzm rewolucjonistów najdosadniej wyraził się w Marsyljance, w porywającym hymnie niepodległości i swobody, wzywającym »dzieci Ojczyzny« do walki na śmierć i życie za Ziemią rodzinną«.

U nas dzieci Ojczyzny wzywa się do — bratobójstwa, a co gorsza do mordowania Ojczyzny. Gdyby się znalazł artysta, któryby zobrazować chciał w dramacie na sposób »Erosa i Psychy« Żuławskiego nastrój naszych radykałów, robiących w Polsce rewolucję rosyjską, musiałby Psyche ich upostaciować sobie w pani Róży Luksemburg,

która na zjeździe socjalistycznym w Niemczech mówiła o Warszawie, jako o mieście rosyjskiem. Trudno byłoby ucharakteryzować ją za patrjotyczną — dajmy na to — panią Roland z rewolucji francuskiej, ale o to jeszcze mniejsza; większy kłopot miałby dramaturg z logiką radykalizmu naszego — czy w Królestwie, czy na gruncie galicyjskim.

Zabity obecnie przez bandytów Gadomski bardzo dosadnie tę nielogiczność zbrodniczą zaznaczał. Nacjonalizm litewski, rusiński i żydowski według radykałów naszych jest synonizmem postępu, wszelki zaś objaw polskości nazywa się pogardliwie reakcją. »Doszło wkońcu do tego — pisał Gadomski — że wyraz »narodowy« stał się obelżywym, że myśleć i pisać w duchu polskim jest nietylko niepopularnie, lecz wprost niebezpiecznie. Maluczko, a bojownicy wolności zabronią Polakom na polskiej ziemi przemawiać i mówić po polsku.

»A cała ta walka przeciw ojczyźnie polskiej toczy się właśnie w takiej dobie, kiedy wielkie narody Wschodu i Zachodu zazdrośnie strzegą swoich interesów. Nietylko bowiem potężne mocarstwa prowadzą politykę nawskróś narodową i egoistyczną, ale nawet osobne ludy i plemiona, jak Czesi, Rusini, Łotysze, Litwini i Żydzi namiętnie dążą do odrębności i samodzielności. Tamtych je-

dnak szowinizm i nacjonalizm jest uprawniony i godziwy, jedna tylko polskość wyjęta została z pod prawa. Jeden tylko naród polski według szczególniejszej logiki bojowców postępu ma zamienić się w tłum kosmopolityczny, w bezbarwny motłoch bez indywidualności.. «

Tak mówił Gadomski, wyrażając trafnie opinję społeczeństwa polskiego. Znienawidzony był za to tak, jak wszyscy ci, którzy wraz z nim dobra narodowego kraść nie pozwalają i starają się je ożywić przez nadanie mu siły politycznej. Przytoczyłem wyżej umyślnie myśli Gadomskiego, bo one starczą za charakterystykę tego publicysty, któremu winieniem był w tem miejscu złożyć hołd nad świeżą mogiłą.

— — — — — — — — — — — — — — —

Zależność bandytyzmu od rewolucji jest ustalona; daje ona miarę wpływu, wywieranego przez socjalizm na jednostki i masy nieuspołecznione, niepogodzone nawet z kodeksem karnym. Ale socjalizm promieniuje i wzwyż. Jego hasła kosmopolityczne i oportunistyczne: *ibi patria ubi bene* znieprawiają pod względem obywatelskim nawet ludzi oświeconych, ale mających małą kulturę samowiedzy narodowej, a częstokroć narodowego sumienia. Ludzi tych cechuje bezwład duchowy w sprawach życia zbiorowego; są to najczęściej jednostki — powiedziałbym — niezatrybione z ma-

szynerją duchową życia narodowego, mają rodzaj defektu umysłowego, nieraz moralnego, uwarunkowanego dziedzicznością lub niekorzystnym wpływem wychowania: nie mogą czuć lub nie chcą drgnień życia narodu. Z nich są liberałowie, demokraci, otwierający w sercach nieprzebrany kredyt wszystkim kierunkom myśleń i dążeń, aby tylko nienarodowym. Pochwalą, jak socjaliści, wszelkie obce nacjonalizmy, aby nie u siebie, bo własnemu nacjonalizmowi musieliby służyć, a tak służąc wszystkiemu, nie służą niczemu.

Obecnie ta sfera liberałów, zowiąca się najchętniej demokracją postępową, służąc za mgławicę socjalizmowi, napojona jest jej światłem. Z drugiej wszakże strony sfera ta asymiluje się w manjerach zdawkowego myślenia z prądami patrjotycznemi — tam mianowicie, gdzie polskość do niczego jej nie obowiązuje. Ot, przyzwoici Polacy. Niechże jednak ludzie ci poczują, że opinja wymaga od wszystkich jakiegoś wysiłku na rzecz sprawy narodowej, wnet budzi się w nich odruch odrazy.

Żądacie autonomji Galicji: socjaliści krzykną wprost swoje veto, liberał powie połowicznie:

— Co jest? odłóżcie, nie na czasie, później! — Albo, co się też zdarza, doda: — Pewno zamierzacie jakieś świństwo zrobić ludowi.

Bo u nich lud co innego, sprawa narodowa

co innego, a ten podział sprawy potrzebny jest na to, aby w chwili stosownej przywołać na pomoc socjalistów. Gdyby zaś socjaliści dla swej sprawy zażądali czego od liberalnych demokratów, ci schowaliby się za sprawę narodową. Tak centralnie skoncentrowana pozycja jest bardzo dogodna i wesoła — jest się panem z masą praw, bez żadnych obowiązków: stanowisko »sympatyka« na prawo i na lewo, jak wiór między dwoma prądami, a zawsze na powierzchni. To jest opoka, na której się głównie fundowała centralistyczna myśl polityczna w Austrji; obecnie podmurowuje się ten fundament pewniejszym materjałem centralistycznym — socjalistami.

Byliśmy w tym tygodniu świadkami, jak gorąco owe żywioły zaprotestowały przeciwko rezolucji autonomicznej, uchwalonej we Lwowie przez obywateli: »Naprzód« imieniem socjalistów, »Nowa Reforma« w imieniu »sympatyków«.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ciężkie ma zadanie polska myśl polityczna, dobywająca się do światła w odmłodzonych wiosennie pędach autonomicznych. W Austrji przynajmniej ma ona do czynienia z rządem czy parlamentem dojrzałym politycznie, — sprawa rozszerzenia antonomji staje się sprawą targu. Idea autonomji w Królestwie Polskiem, oprócz takich samych jak u nas przeszkód ze strony stronnictw,

wywołuje u rządu rosyjskiego i w opinji rosyjskiej, reakcje nieraz wprost uczuciowe.

Umysł rosyjski, sam z gruntu niepolityczny, nie zdaje sobie jasnej sprawy z dążności Polaków. Taki Stołypin, brat owego ministra, na którego uczyniono niedawno srogi zamach, wypisuje teraz w dzienniku »Nowoje Wremia« (Nowy czas) bardzo charakterystyczne legendy. Za punkt wyjścia naszych dążeń separatystycznych wziął on z pieśni Konrada Mickiewiczowskiego: »Zemsta na wroga z Bogiem i choćby mimo Boga«. Wyobraża więc sobie, że Polakami, żądającemi samodzielności prawno-państwowej kieruje nienawiść do Rosji; karci Polaków za niewdzięczność i jak małe dzieci straszy metodą spencerowską, że za brak przywiązania do Rosji znajdą karę we własnem swojem postępowaniu. Bo Rosja może się rozgniewać i naprawdę pozostawi Królestwo jego własnemu losowi; nie tylko wyrzeknie się Polaków, ale oddzieli ich od siebie kordonem celnym; zrobi nawet to (słuchajcie, słuchajcie), że wydali z Rosji wszystkich Polaków, którzy tam zajmują posady rządowe. Zobaczymy, powiada, kto na tem źle wyjdzie! »Nie ulega wątpliwości, że w krótkim czasie, po krótkiem odosobnieniu ekonomicznem naród polski zmieni swe uczucia względem Rosji, której sokami żyje, choć sobie z tego sprawy nie zdaje«. Przytem aforyzm: »Małżeństwo z musu

na schyłku życia bywa trwalsze od związków młodzieńczej miłości«.

Ile tu nieporozumień! Jakby kto trzepoczącej się rybie groził, że za karę wrzuci ją do wody; ale przedewszystkiem ludzie cywilizowani w poezjach wyrażają subjektywne nastroje, a w polityce załatwiają przedmiotowo interes, nie budując niczego na uczuciach odjemnych, takich jak nienawiść. Polityk upatrujący w ruchu narodowym takie czynniki, powinien chyba i w przyrodzie walkę o byt uważać za grę nienawiści. Polacy działają nie z nienawiści do kogoś, ale z miłości dla siebie — to jest ich siła polityczna na zewnątrz. W miarę wzrostu poczucia tej siły, naród przestaje nienawidzieć, to znaczy afekty negatywne tracą swoją rolę czynną. Na tem polega dojrzewanie polityczne. Nienawiść spoufala, jak miłość, a my dla państw i narodów zaborczych jesteśmy obcy zakresem interesów duchowych: żyjemy w sobie dla siebie. Nienawiść jest cechą słabości, odosobnienia moralnego; w czasach skonsolidowania się duszy narodowej ustępuje miejsca uczuciom pozytywnym.

Nienawiść zadawala się byle odwetem, »jak upiór powstaje krwi głodna i krwi żąda«, a tymczasem ogół polski nie jednoczy się bynajmniej z temi, którzy w imię rzekomej rewolucji, polują na przedstawicieli władzy rosyjskiej, zabijają z rewolwerów żołnierzy, policjantów, dygnitarzy ro-

syjskich. Polakom, politycznie myślącym, tym, którzy dążą do samodzielności kraju, na tego rodzaju satysfakcjach nie zależy. Społeczeństwo niedwuznacznie stoi poza krwawym ruchem, ale jego postawa jest tem groźniejsza, że ze spokojem dojrzałej samowiedzy politycznej żądania swe wyraża.

Ci co »rewolucję« u nas robią, oświadczają się przecież za »nierozerwalną spójnią małżeńską« naszego kraju z Rosją, owszem żywią nienawiść do Polski i przez łączenie się ż rewolucją rosyjską tak dobrze ją cementują z Rosją, jak tutejsi socjaliści Galicję z Austrją.

Polityk rosyjski Stołypin, pomimo że przez brata ministra może być dobrze poinformowanym, nie orjentuje się w sprawach polskich. Ale też, gdyby tacy, jak on, mogli się orjentować w sytuacji, nie doprowadziliby państwa swego do anarchji, rodzicielki rewolucji i bandytyzmu. Rozumieliby potem, że samodzielność daje się uciśnionym krajom nie z łaski i nie za karę, lecz że się musi.

— — — — — — — — — — — — — —

Sprawa autonomiczna w obu zaborach — to praca teraz najpilniejsza. Polacy powinni, jak i Stołypin, nie jedno jeszcze zrozumieć i rozbudzić w sobie jednomyślność, aby ich wola stała się dla rządów musem. Socjaliści, którzy wolą cudze

wióry, niż swoje drzewo, muszą hasła autonomiczne zwalczać, ale demokraci postępowi, pożyczający sobie od nich frygijskich czapek... na szlafmyce, mogliby zrozumieć, że rozszerzenie autonomji nie uchybia ich... postępowości.

13. NARÓD SIĘ ZGUBIŁ.

Lwów, 3 listopada 1906.

— Leon F.

— Nie może być!

— Jak Boga kocham.

— No — no!

Takie się słyszy rozmowy z powodu wykrycia sprawcy kradzieży 20.000 koron w Banku krajowym. Ludzie pogadają i dadzą F. spokój. Tylu złodziei na świecie! Jeden więcej, jeden mniej — na to się nie poradzi. Ale publicysta nie daruje, dla niego każde zdarzenie ma swoją logikę dziejową. Jakbyś szedł z geologiem: dla ciebie kamień, o który się potkniesz, jest takim kamieniem, jak każdy inny, przyrodnik zaś weźmie to w rękę, nazwie minerał po imieniu i wyjaśni rozwojowe znaczenie jego cech specjalnych.

Skąd się wziął na naszym horyzoncie podobny osobnik? Co to za formacja? Cechy zasadnicze:

1) działacz polityczny, 2) kryminalista, 3) w obu tych funkcjach — można przypuszczać — działający z dobrą wiarą. Wszystko to świadczyłoby, że okaz pochodzi z pokładów ideowych, ale niezbyt głębokich, błotnistych i że powstanie jego jest rzeczą więcej rozkładowych okoliczności, niż praw, według których tworzy zdrowe społeczeństwo.

— — — — — — — — — — — — — — —

Bolesław Prus w ostatnim numerze »Tygodnika Ilustrowanego« z filozoficzną dobrodusznością tłumaczy przyczyny dzisiejszej anarchji obyczajów w Królestwie i rozgrzesza ją. Filozofowi to wystarcza: wszystko zrozumieć to wszystko rozgrzeszyć. Cóż innego wogóle pozostaje do zrobienia? Zjawiska dziejowe mijają, jak fale, jak kataklizmy i jeżeli je brać filozoficznie z tyłu, oczywiście wszystkie trzeba rozgrzeszyć, bo każda z nich ma swoje przyczyny. Życie jednak gwiżdże sobie z tych rozgrzeszeń tem weselej, im częściej widzi mozół rozwiązywania kwestji poniewczasie, lub rozgrzeszania faktów dlatego tylko, że się ich nie rozumie.

Publicysta ma inne zadanie niż filozof — zadanie nienawistne umysłom pokolenia popowstaniowego, umysłom pozytywistycznym, jak Prus, Świętochowski i inni — obowiązek zabiegania zjawiskom z przodu, jak przystoi ludziom czynu, politykom, którzyby losów ojczyzny nie chcieli

puszczać na wolną grę zdarzeń, ale pragnęliby zdarzeniami kierować, o ile to przez wciągnięcie w grę świadomości i woli zbiorowej jest możliwe.

Stanowisko filozoficznej pobłażliwości jest w publicystyce tem niebezpieczniejsze, że ściąga rzecz do ogólników.

Jużci dla filozofa jest rzeczą zasługi przelicytować wszystkich w syntezie. Pospolity umysł wybierze po wierzchu kilka przyczyn danego faktu, a filozof ściągnie je do jednego mianownika i poda jedną ogólną bardzo odległą, ale niezawodnie trafną. Tak się robi w popularnej etyce. Biedzą się ludzie nad przyczynami zła, gadają to i owo i wszyscy mają rację; przyjdzie zaś teolog i wynajdzie ogólną przyczynę: grzech pierworodny. Ten ma rację generalną. Niewątpliwie jest jakaś bardzo ogólna przyczyna zła na świecie, niemniej ludzie walczą ze złem, dochodzą do znacznych rezultatów w uprawie własnego sumienia, nadto biją w skórę dzieci, aby je ile możności od działania skutków grzechu pierworodnego zabezpieczyć.

Ładnie jest rozmyślać, ale jeszcze ładniej mądrze postanawiać, ładnie jest rozumieć, co było, ale jeszcze ładniej przewidywać i prężyć siły. Nie chcę przez to powiedzieć zarozumiale, że ładniej jest być publicystą, niż filozofem, ale twierdzę z całem przekonaniem, że dziecińslwem jest brać się do oświetlania dróg ludziom, kiedy się niema wyobraźni

czynu, lub wiary w znaczenie woli. Najgorszemi publicystami byli zawsze nasi pozytywiści, patrzący się na społeczeństwo, jako na ślepy twór przyrody, podlegający żelaznym prawom mechanicznej przyczynowości, wobec której człowiek ze swą wolą jest jak niemowlę.

Prus wskazuje ogólnikową przyczynę anarchji w Królestwie — długoletni ucisk zaborczego rządu. Stąd ogólnikowa rada publicystyczna: czekać, aż ucisk ustanie. Skoro nie będzie przyczyny, urwie się i skutek tak przykry, jak bandytyzm, próżniactwo itp. Zapewne, ale jeśli ucisk nie ustanie? Przecież żyć trzeba — życie nie jest czekaniem.

Według Prusa pierwiastkiem twórczym w życiu społeczeństwa jest jedynie rząd państwowy, choćby zaborczy — on stosunki uporządkuje, on wytępi bandytyzm; inicjatywa społeczeństwa niema nic do zrobienia. Naród jest na łasce państwa; ono jedno ma cudotwórczą moc rozkładania i tworzenia stosunków według inicjatywy własnej; naogół zaś życie społeczne jest ślepe: dochodzi do rozumu drogą ciężkich doświadczeń, zapomocą nędzy i krwi. W ten tylko sposób nauczy się ono, »że bezładne strajki i nieuzasadnione żądania powiększają biedę, zamiast ją zmniejszać, że w społeczeństwie musi istnieć porządek, prawo i władza, że zarobków nie można podnosić bez miary i końca, że bez poszanowania osób i ich przyna-

leżytości grupy ludzkie zmieniają się w stada zwierzęce itd.«

Prus przeocza istnienie rozumnego instynktu zachowawczego w masach, nie oddających się tak łatwo z własnego popędu na doświadczenia nędzy i krwi, a z drugiej strony przeocza istnienie agitatorów doktrynerów, którzy ten zdrowy instynkt złemi informacjami i podnietami starają się zmylić. Dlaczegóż koniecznością dziejową ma być fakt, że jakiś półgłówek organizuje na poczekaniu »bojówkę« i dlaczego mamy patrzeć na jego działalność z założonemi rękoma, jako na lekcję »nędzy i krwi«; a z drugiej strony dlaczego tą koniecznością dziejową nie ma być raczej zdrowy instynkt narodu, któryby zawczasu wziął agitatora za łeb i zmusił do posłuchu woli narodowej. Jeżeli wszystko ma być grą wolnych ruchów, to niepodobna upośledzać w prawach inicjatywy samowiedzy narodowej.

Przestarzałemi teorjami Prusa nie zajmowałbym uwagi, gdyby nie okoliczność, że do tych samych w rezultacie wskazań bierności wiedzie naogół próżniactwo myśli; filozoficzne teorje *laisser-fairyzmu* społecznego zeszłego wieku mają nie w czem innem, jak w filisterskim oportunizmie, swe źródło. Idealistów, jak Prus, brały one swą pozorną naukowością, ale my wszyscy, którzy na praktykę nędzy i krwi spokojnie patrzymy, robimy sobie tę samą filozofję z ospałości sumienia społecznego

i narodowego, my ją robimy właściwie wbrew przeświadczeniom, dla wygody swojej.

Byle warjat, byle zbrodniarz ma u nas możność tworzenia doktryn politycznych i programów działania, a gdzież jest w stanie czynnym samowiedza narodu? Naród zginął między stronnictwami; imię jego wymawia się na obchodach, w święta, w dzień zaś powszedni jego sprawy załatwia kto chce i jak chce — socjaliści, f..owcy... Bo i ci tworzyli stronnictwo — stronnictwo niepodległości.

Naród, jego myśli i wola, stał się rzeczą sporną, niby jakieś stronnictwo. Możeby tej nazwy nie używać już, skasować, a może wywołać walkę o niepodległość za 20 tysięcy koron (kradzionych)?

— Można i tak; właściwie wszystko jedno — zabawny pomysł! Kto tu do końca dojdzie: socjaliści tak, a ludowcy tak, tu znowu f..iści; p. Masłowski po swojemu, a p. Konopiński jeszcze inaczej; jest jeszcze pojmowanie narodu: pp. Rutowski-Aschkenaze-Hałaciński, jest p. Brajter i kto ich tam zliczy, nawet nazw te stronnictwa nie mają. Dalibóg — heca!

— No, a wy co?

— A my nic — patrzymy, czekamy. Może i będzie co z tego. Panowie znowu o autonomji mówicie, o siłach własnych narodu, o polityce ogólno-narodowej, — jakieś hasła wszechpolskie... Ktoby się w tem wszystkiem rozeznał? My tam

wiemy, że wszyscy są dobremi Polakami, Niech się zdarzy obchód narodowy — to wszyscy chórem, jak jeden mąż, zaśpiewamy: »Jeszcze Polska«, »Bartoszu« — »hej kto Polak na bagnety«, a niech który mówkę utnie, aż miło słuchać, tak gada. Łzy, proszę pana, wyciska!

— — — — — — — — — — — — — —

To jest drugi typ myślenia o Polsce: o tej co była — myślenie poetyckie. Kto nie filozofuje, ten poetyzuje, najczęściej jedno i drugie razem. Tylko o narodzie żywym, obecnym nikt nie wie, co z nim robić. Bywają jednostki, które istotnie całą duszę potrafią skupić w myśli filozoficznej, lub we wzruszeniu poetyckiem na wspomnienie Polski dawnej, ale ogół ciężki, bezmyślny, ucieka do tych sfer myśli, aby zagłuszyć głos sumienia, zakryć czemkolwiek nędzę swej duszy. Bo ostatecznie wszystko tam jest, »tylko naród się zgubił« — zgubiło się życie, które się dokonywa nie mocą sofizmatu, lub wzruszenia estetycznego, ale przedewszystkiem wysiłkiem twórczej woli. Życia nie robi się poszczególną władzą duszy: myślą lub wzruszeniem estetycznem, ale całością duszy, a duszę prowadzi wola, nie co innego. Życie — to czyn, uskrzydlony z jednej strony myślą, z drugiej poczuciem piękna, czyn wywiązujący się z instynktu samozachowawczego, jak motyl z poczwarki.

Tylko jakaś ciężka choroba psychiczna może

nam w samowiedzy stroić takie figle, abyśmy brali na serjo za życie pełne to, co jest kiwaniem jednego skrzydełka, lub trzepotaniem się obu przy zupełnem zastygnięciu korpusu duchowego. Naród zdrowy karmi duszę swoją tradycją poetycką i tęgą myślą, ale wytwarza z tych obu czynników realną siłę popędową i kierowniczą dla woli, pali pod nią myślą i uczuciem, jak pod kotłem, aby wytworzyć rozumny czyn; nie spala tych władz na dym pesymizmu lub na fajerwerki uczuć biernych. A my filozofujemy, aby przefilozofować naród, jak pisze Wyspiański, do ostatecznej zguby, albo poetyzujemy, bawiąc uczucia tem, co zrobili przodkowie, zatracając wiarę w czyn i wiarę w słowo, w słowo twórcze, które było na początku, aby ciałem stać się, a nie paplaniną.

Taka ekonomja duszy narodowej — to istotnie jedno wielkie oszustwo, lub ciężka choroba, pochodząca z wycieńczenia lub niedorozwoju kultury duchowej. Stąd się rodzą całe gromady ludzi z poplątaną samowiedzą, umysły dające się porwać byle surogatem ruchu i biorące ten ruch za właściwy pęd życia całości narodowej. Taki F. i kupy dzisiejszych radykałów, bawiących się bronią — to dzieci porodzone duchowo na naszych obchodach z ojca Frazesu i matki Blagi, dzieci nieraz dobrej wiary, ale tępe, źle zbudowane, nie całkowite, nie umiejące zorjentować się we właś-

ciwych zadaniach życia — dzieci wydane na świat z kalectwem duszy.

— — — — — — — — — — — — — —

Dusza jest jedna, ona jest komórką życia zbiorowego, światem dla jednostki, z niej rozchodzą się promienie przez koncetryczne sfery środowiwiska, w jakiem się żyje: sferę spraw osobistych, rodzinnych, towarzyskich, społecznych, prawnych, politycznych. Jednostka niekulturalna, ze źle ustawionym aparatem woli jest nieobliczalną nie tylko w ostatniej sferze działalności publicznej, ona musi porobić spustoszenia we wszystkich innych dziedzinach. Jednostka o duszy, zakrojonej na wielki ideał życia zbiorowego, będzie twórczą w każdej dziedzinie, w jakiej ją los postawi; pozbawiona zaś naczelnej dyrektywy ideowej, narzucającej się od społeczeństwa żywotnego i twórczego, błąkać się musi na oślep i wpada w zatarg z prawem, z zasadami etyki, nawet z obowiązkami względem siebie samej.

W społeczeństwie, zdemokratyzowanem tak szybko, jak nasze, i niedowarzonem kulturalnie, musi być więcej kłopotu z umysłami niezrównoważonemi, niż gdzieindziej. Czasami się zdaje, że nie tylko odwróciła się karta dziejów politycznych i społecznych, ale że, po wejściu świeżych składników do życia publicznego, nastaje nowa doba odwróconych pojęć etycznych. Wszystko, do czego się doszło po długich wiekach kultury, pada wni-

wecz: swoboda słowa, nietykalność osób i cudzej własności, świętość dobytku publicznego, wszystko to chwilami wydaje się zakwestjonowanem i spornem.

Chaos pojęć etycznych coraz się powiększa. W czasach, kiedy organy socjalistyczne mają odwagę i mogą bez przeszkód ogłaszać publicznie, ile ich organizacje polityczne zyskały na rozbiciu kasy X lub Y, kiedy można przechwalać się publicznie kradzieżą i mordem, jako czynami bohaterskiemi, oczywiście w takich czasach ze społeczeństwem dzieje się coś złego. W Galicji (zwłaszcza wschodniej) atmosfera może nigdy nie była dość zdrowa, ale obecnie pod osłoną nowego kursu socjalistycznego rozbój chodzi po świecie z podniesioną przyłbicą, jako legalizowany moralnie sposób zarobku.

Kwestję kradzieży i wogóle spoufalania się obyczajów z kryminałem odłożyć muszę na kiedyindziej. Chciałem tylko z powodu zdarzenia z F. wskazać, że wskutek nizkiej kultury duchowej wytwarza się bagno, grożące nam topielą, że bagno to spuścić można przedewszystkiem przez skanalizowanie myśli politycznej. W gąszczu szuwarów, któremi bagno to zarasta, przerąbać należy widok na dalsze perspektywy życia narodowego, ku którym skierowałaby się energja życia narodowego, znajdując upust w p r a c y n a d p r z y s z ł o ś c i ą.

Sto lat temu bez mała młodzież nasza w Wil-

nie lub Warszawie, biorąc się do poruszania z posad bryły świata, rzucała hasło: »mierz siły na zamiary«. Ale jakże odmienna to była szkoła od tej dzisiejszej zbawiania ojczyzny za kradzione pieniądze, finansowania sił według zamiarów! Tam była już całkowita kultura, a dziś robić ją trzeba na nowo od abecadła, od podstaw etycznych, od instynktów.

14. O KULTURZE SUMIENIA.

Lwów, 15 grudnia 1906.

Polska Partja Socjalistyczna rozłamała się, pękła od dołu do góry, jak mur tandetnie, nieuczciwie zbudowany. Stało się to z organizacją w zaborze rosyjskim, więc tam, gdzie partja wystawiona była na próbę czynu. W Galicji ta sama partja, pozostająca w bezczynności, rozprzestrzeniająca się jak pleśń w bagnistej miejscowości, pasorzytująca na biernym proletarjacie, — trwa dalej i trwać będzie bez rozłamów (bo co tutaj ma się łamać?), dopóki prawidłowa kultura narodowa gruntu nie osuszy. »Ujadam — więc jestem« — oto dewiza partji PPS. w Galicji. Tak istnieć można dosyć długo, choćby w wątpliwem zdrowiu.

— Jakie były przyczyny rozłamu? — zapytuje p. Bol. Koskowski w »Kurjerze Warszawskim«. I tak odpowiada:

— Przyczyną główną było fatalistyczne ciąże-

nie socjalizmu polskiego do fikcji »międzynarodowej solidarności proletarjatu«.

Mówiąc ściślej, komitet centralny PPS. związał partję zbyt ścisłym sojuszem z rewolucją rosyjską; poddawszy życie doktrynie solidarności międzynarodowej, ziścić chciał ideał »rzeczypospolitej proletarjackiej polsko-rosyjskiej«. Takie dążenie centryfugalne, przeciwne naturze życia zbiorowego, musiało skończyć się oderwaniem tego odłamu od gruntu macierzystego; wyskoczył on sam poza nawias życia, skończył samobójstwem. Na placu pozostał odłam socjalistyczny bardziej narodowy, pomawiany przez tamtą grupę, że rewolucję rosyjską traktował jako »dogodną okazję do podjęcia walki o oderwanie Królestwa od Rosji« — odłam również słaby, bo zostający w niezgodzie z nastrojem polskiego społeczeństwa i z jego taktyką polityczną.

Co mówią o tym fakcie dotychczasowi sprzymierzeńcy rewolucji polsko-rosyjskiej, »sympatycy« w rodzaju »Nowej Reformy«, którzy dotąd wszystkie głosy krytyczne, dotyczące roboty naszych socjalistów, chrzcili mianem reakcji, kontrrewolucją, dziełem »czarnych sotni« i t. d.? »Nowa Reforma« teraz tak pisze:

»Rozłam w Polskiej Partji Socjalistycznej wydaje już fatalne następstwa. Stwierdzają je obie frakcje w dwóch równocześnie wydanych konkurencyjnych numerach »Robotnika«, zaznaczając

obopólnie »niesłychane dotąd w życiu partyjnem objawy rozstroju i demoralizacji« w dziedzinie teorji i praktyki. Czy na niedalekiem pobojowisku tej walki zostanie coś więcej nad dwa niedożarte, jak w bajce, ogony wilków-zapaśników? Zdaje się, że tak. Najwierniejszych wyznawców partji opuszcza wszelka wiara w sprawę, wszelkie zaufanie w jej dotychczasowych przywódców. — Sprawia to szerząca się za przykładem sztabu demoralizacja w szeregach, zbiegostwo, wreszcie coraz częstsze wypadki zdrady przed policją. Dowodzą tego coraz liczniejsze rewizje policyjne, zarządzane na podstawie donosów i denucjacji, a uwieńczone z reguły prawie coraz obfitszym, niezawodnem połowem ludzi i materjałów agitacyjnych. Nawet wyznaczane na sprawców zabójstw partyjnych nagrody mają już niemało głodnych kandydatów, jak tego dowodzi nagłe aresztowanie zdradzonych jako zabójców dyrektora gazowni ś. p. Welkego«.

»Dławią się wśród tego we własnej niemocy ostatnie już może bezcelowe wysiłki strajkowe, połączone z bezmyślnym terorem wśród masarzy, krawców i szewców, ledwie i tak już z dnia na dzień nędzny żywot pędzących. Brak pracy, głód a w ostatnich dniach mróz zapędzają setki i tysiące w progi przytułków, dobroczynnych instytucji publicznych i prywatnych jadłodajni. Desperaci tylko lub t. zw. »podupadli nożowcy«, nic już do

stracenia nie mający, prócz marnego swego życia, przedłużają jeszcze okres bandytyzmu, korzystając z chaosu i demoralizacji rozagitowanych mas...«

»Nowa Reforma« nie może zataić, że społeczeństwo lżej odetchnęło od chwili bankructwa tej osobliwej partji rewolucyjnej. »Jedyny w swoim rodzaju obraz przedstawia na tem tle życie Warszawy, z tą swoją niewstrzymaną falą powrotną do ruchu, do pracy na każdem polu. Jest to jakby zmaganie się dwu prądów, życia i zniszczenia, w którem niewątpliwie prąd życiowy, jako zdrowszy i silniejszy, bierze coraz więcej górę, mimo zawistnego stanowiska władz, mimo wszelkich utrudnień i przeszkód, mimo agitowań i walk socjalnych«.

— — — — — — — — — — — — — —

Komuż nie rzuci się w oczy związek między temi dwoma wyjaśnieniami katastrofy, jaka spotkała socjalistów? Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha, niech na tym fakcie uczy się socjologji na całym obszarze jej zagadnień — od etyki do polityki. W całej tej robocie, obliczonej — jak to w polityce — na działalność zewnętrzną, nasi radykali społeczni wyszli z fałszywego założenia: przeczenia sumieniu narodowemu. Żeby stworzyć i powołać do czynu taką partję, jaką była w Królestwie (i jaką jest jeszcze w Galicji) nasza partja socjalistyczna, na to trzeba było wpierw

zmylić lub zabić w tej masie ludzi instynkt plemienny. U nas to się udało na czas krótki wskutek nieprawdopodobnej w w. XX niedojrzałości społeczeństwa.

Przecież na świecie niema już tak głupich, albo złośliwych kierowników politycznych i mas, aby w podobnie dogmatyczny sposób pojmowały solidarność międzynarodową i niesolidarność narodową, jak nasza t. zw. P. P. S. U nas doszło do tego, jak się ktoś wyraził, że wystarcza społeczeństwu polskiemu (»burżuazji«) oświadczyć się za koniecznością oświetlania miast gazem, aby P. P. S. rzuciła hasło chodzenia po ciemku i tłuczenia latarń. Dosyć zażądać od rządu zaborczego niektórych praw autonomicznych, aby socjaliści uważali za obowiązek dla tego tylko to żądanie zwalczać.

Przykład jeszcze drastyczniejszy: społeczeństwo polskie nie w obronie co prawda praw »klasowych«, ale poruszone do żywego w uczuciach humanitarnych protestuje przeciwko znęcaniu się rządu niemieckiego (znienawidzonego na całym zresztą świecie) nad dziećmi naszemi. Chodzi o prawa przyrodzone dzieci ludu, mówiącego tylko po polsku, chodzi zresztą o ich cześć, o cześć sponiewieranej w tych dzieciach ludzkości; — organ P. P. S. »Naprzód« niema nic w tym względzie do zrobienia innego, jak tylko szykanowanie pisarza narodowego, który, spełniając najgłębsze życzenie ogółu,

wytoczył tę sprawę na forum europejskie. Proszę przeczytać tchnące nienawiścią słowa o Sienkiewiczu, piszącym »bzdurne listy do Wilhelma II« i porównać ton »polskiego« socjalisty z uczuciem powszechnej wdzięczności, jaką list ten w społeczeństwie wywołał, z uczuciem przytem uszanowania, z jakiem czytał ten list cały świat cywilizowany.

Jakże od tego wszystkiego odbija stanowisko organu kierowniczego polskiej partji socjalistycznej! Co mogło, jeśli nie sprzymierzyć ze społeczeństwem, to przynajmniej popisy nienawiści do społeczeństwa uśmierzyć, jak nie akcja przeciwko rządowi pruskiemu w tym wypadku, akcja, która się stała zresztą już międzynarodową.

Wejdźcież w duszę — jeśli komu wola — takiego »polityka«, który z trybuny »Naprzodu« pokazuje język każdej robocie polskiej, a przekonacie się, że ta jego »polityka« odpowiada jego wartości etycznej. Musi to być coś wynaturzonego, niezdolnego do współżycia w zbiorowisku. Człowiek, choć trochę p r a w d z i w y, miałby jakiś instynkt, któryby mu dawał bezwiedne wskazówki choćby dobrego smaku i taktu, jeśli nie porady etyczne. Toć każdy barbarzyńca zorjentowałby się, że n i e w y p a d a w sprawie tak elementarnej, gdzie o życie chodzi, nie o rachunki partyjne, stawać po stronie silniejszego i urągać przedstawicielowi strony pokrzywdzonej. W takiej grupie,

jak nasza P. P. S., nikomu to do głowy nie przyjdzie, bo stokroć gorzej stoi duchowo człowiek zdziczały od człowieka pierwotnego, który się jeszcze nie ucywilizował.

A przecież pisuje nieraz takie rzeczy w dzienniku nie byle kto, ktoś z edukacją; ci sami ludzie, tutaj bezimienni, poza tem wydają nawet książki, należące do literatury ogólnej (nie partyjnej). Taki pan wyzwierzy się w »Naprzodzie« po partyjnemu, a w książce wystąpi po cywilnemu jako pisarz narodowy, wyda kilkotomowe dzieło o literaturze polskiej z pochlebstwami dla kultury narodowej, bo dzieła wyraźnie »partyjnego« niktby nie kupił. Inny napisze szereg książek o zasłużonych przedstawicielach narodu, a wzięty do partji na metra idei, prześcignie wszystkich w konceptach myśli brukowej, nazywać będzie ideę polską nierządnicą, a w marzeniach swych ujrzy (tak się chwali przed towarzyszami) latarnie uliczne, dekorowane głowami przedstawicieli ruchu narodowego.

Są to ludzie bez sumienia narodowego, ale i etycznego.

— Sumienie — sumienie! — powie mi ktoś w obronie takich P. P.—esów. Są socjalistami, nie narodowcami, cóż więc za nowina, że nie mają uczuć narodowych?

— A zna pan takie tragedje rodzinne, kiedy syn bije matkę? Byłem w sądzie na takim procesie. Sędziowie przysięgli darowaliby młodemu czło-

wiekowi wszystko: że lekkomyślnie traktował swoją karjerę, że inaczej niż ojciec pojmował cnotę, że popełniał za domem zbrodnie; cała jego dusza stanęła dopiero we właściwem świetle, kiedy matka zeznała, że ją lży i że się jej wstydzi. Stanął nam w oczach człowiek bez instynktu krwi — i to sprawę jego zgubiło.

— — — — — — — — — — — — — — —

Można się bardzo nie godzić z tradycjami narodowemi, kreślić nowe drogi polityki, przyspieszając ewolucję społeczną i w tym celu tworzyć partję, walczyć w imię jej programu, zbawiać nawet społeczeństwo wbrew jego woli; ale zawsze trzeba mieć dla swego środowiska szczególną, z krwi płynącą sympatję. Ona przecież powinna być siłą popędową wszelkiego czynu społecznego. Oprzeć zaś partję na miłości do innych zrzeszeń, a nienawiści do swojego — to popęd ludzi zwyrodniałych, sprzeczny z naturą. I polityka takich ludzi nierealna, i etyka niepewna. Wziąć to na bylejaką próbę ogniową, a pęknie od dołu do góry.

Dusza ludzka jest w równaniach, które życia nam stawia do rozwiązania, pozycją zawsze jednaką. Na niej eksperymentów rewolucyjnych dokonywać nikt nie potrafi; ona i w dziedzinie roboty publicznej, jak w każdej innej twórczości, gra rolę decydującą. *Ex nihilo — nihil. Male parta* idzie do czarta.

Społeczeństwa, narodu niema nigdzie, tylko w naszej duszy. Wyniki materjalne roboty nie trzymają przecież ludzi w organicznem skupieniu czy w kształcie narodu, czy też w partji; przy największych bogactwach i potęgach materjalnych państwa się rozsypywały, gdy zabrakło ludziom duszy. Prawda to elementarna, ale zaniedbywana, politykom odruchowym nieznana. Sądzą oni, że świat moralny stoi mechanicznemi czynami zewnętrznemi. I to jest brak kultury.

Robota moralna, zwłaszcza mająca na celu reformę stosunków, wymaga bohaterskiego wysiłku jednostek, dokonać się musi wpierw w ich duszy. A dusza jest jedna i na użytek polityki, i na użytek osobisty, rodzinny, czy towarzyski. W elementarnej komórce swojej musi być dobrze ustawiona, etycznie, bo inaczej wszystkie dalsze jej nadbudowy będą bez równowagi i runą przy byle wstrząśnieniu.

Sumienie jest w świecie moralnym tem, czem prawo równowagi w mechanice, jest punktem ciężkości organizmów duchowych, jest pionem wszelkiej budowy życia zbiorowego.

Trzeba się zastanowić trochę nad psychologją, aby spostrzec, że człowiek nicby nie robił, coby nie służyło jego osobistej rozkoszy, gdyby nie instynkt miłości do otoczenia i gdyby nie rodzące się z tej miłości pragnienie stworzenia trwałego szczęścia dla pokoleń.

Ze ścierania się tych dwu instynktów: egoistycznego i altruistycznego wychodzi zwycięzko człowiek społeczny, który nadwyżkę swoich dóbr duchowych oddaje na rzecz ideału nieegoistycznego. Z tej nadwyżki powstaje nadbudowa społeczna w kształcie zbiorowej organizacji: sekty, narodu, państwa. Im wyższy szczebel uspołecznienia, tem większa rola świadomości narodowej, ale wszystko opiera się na instynkcie tak pierwotnym, że poprostu rozwój życia zbiorowego można uznać za kwestję talentów przyrodzonych rasy.

Plemiona gorzej uposażone zadowalają się byle jakiem skupieniem, bo bez jakiegoś minimum skupienia, choćby wymuszonego, żyć nie można. Jednym potrzeba do tego nakazu religijnego, żyją więc w sekcie, i ci na budowę własnego państwa zdobyć się nie mogą. Niechże jednak posłuchu religijnego im nie starczy, wtedy i sekta się rozsypuje, a nic nowego na to miejsce nie stworzą. Zatomizują się, rozsypani pośród innych zrzeszeń pozbawieni samowiedzy narodowej, żyć będą negacją wszystkiego, co się koło nich robi w interesie narodowym kraju.

W takiem położeniu są dzisiaj źle zasymilowani oświeceni żydzi, ale oni są w zgodzie ze swojem sumieniem. Natomiast nie w zgodzie z niem są wszyscy ci, którzy, za hasłem rzekomej postępowości idąc, kłamią swoim instynktom i masy, nie

mające jeszcze świadomości swoich dążeń, wprowadzają na manowce walki z ideą narodową.

Ludzi ci kłamią swoim popędom, przeto nie mogą być twórczemi, wszelka ich robota rozsypie się, a nadto nie można im ufać, jako ludziom. Ich dusza oparta jest do dna, do instynktu na kłamstwie.

Nie można bezkarnie przenosić punktu ciężkości życia zbiorowego na zewnątrz organizmu, w którym się żyje, nie można w Polsce żyć ideałem rewolucji rosyjskiej, jak robili P. P. S., ani ideałem rosyjskiej racji stanu, jak robili ugodowcy. Obie te partje runęły. Dla obu miała Polska wzgardę i słuszną, bo oparte były na nieprawdzie psychicznej. W budowaniu przyszłości swemu społeczeństwu można się różnić wyborem dróg i środków, można różnie widzieć kształt przyszłej budowy, ale nie wolno szachrować osobowością swego społeczeństwa. To znaczy, że kto skłamie we własnej duszy poczucie tej osobowości, ten siłą faktu usuwa się z organizmu społecznego; społeczeństwo w rozwoju swoim idzie dalej, tratując to, co od niego odpadło.

Kto niema instynktu gromadzkiego, niech siedzi cicho w kółku spraw prywatnych, niech jedzie na wózku tych, co politykę robić mają prawo. Nie mieć poczucia politycznego — to nie grzech, ale grzechem nie mieć pokory wobec narodu historycznego. Zbrodnią zaś jest kłamać sumieniu na-

rodowemu i mącić samowiedzę swego środowiska dla międzynarodowego popisu partji.

— — — — — — — — — — — — — —

W chwilach przełomowych wzburzenia umysłów, jak teraz, dziwnie się pogmatwały pojęcia polityczne i etyczne. Zdało się ludziom, że można tworzyć narodowi historję, jaką się komu podoba i etykę mieć dowolną.

Tymczasem obie te rzeczy mają swoje korzenie w duszy społeczeństwa historycznego i cywilizowanego, które swej osobowości dla nierządnej zachcianki czyjejś nie zmieni. Już nam dość eksperymentów, jakie nad nami robiły rządy zaborcze. Nie mieliśmy dość siły, aby krzywdzie zewnętrznej się oprzeć; ale na zwalczenie wewnętrznego bandytyzmu mamy już dzięki Bogu dość przytomności. Szkoda jednak tych sił na szamotanie się z brakiem kultury, który urósł w opłakanych warunkach do znaczenia siły czynnej.

Młodzież, nie nauczona w szkołach elementarnych prawd o duszy, staje dziś w obronie występku, biorąc go na sztandar polityczny *). We Lwowie obsypuje kwiatami ludzi pod pręgierzem,

*) Zdarzył się podówczas we Lwowie wypadek, że młodzież socjalistycznie usposobiona urządzała owacje pewnej jednostce popularnej w ich kołach, aby zatrzeć wrażenie wyroku, jakim opinja tę jednostkę napiętnowała za czyny niehonorowe.

nie wiedząc o tem, że taki człowiek, wystawiony przez historję w krótkiej drodze pod pręgierz, jest symbolem rozkładającego się niezdrowego ruchu politycznego. Dzisiaj przy bardziej natężonej samowiedzy narodowej historja szybciej załatwia się z subjektami, nie czeka stu lat, aby zrozumieć psychikę jakiegoś nieszczęsnego targowiczanina. I piętnuje go nie dla przyjemności walki z jednostką, ale dla przestrogi: że niemoralną politykę może robić z całą świadomością literacką — tylko człowiek niemoralny.

Masy, użyte do partji, mogą być obłąkane, niepoczytalne, ale ten, co świadomie dla przypodobania się niedojrzałym gustom licytuje się z niemi na cynizm, musi być do szpiku zgniłkiem moralnym. Są nad partją sądy wyższe, a młodzież, nieświadoma rzeczy, powinna mieć tyle poczucia moralnego, żeby odgadnąć, czy można sprawę załatwić za pomocą kamienia, noszonego w kieszeni, czy też oddać ją Nemezis dziejowej do rozstrzygnięcia.

A ta Nemezis jest surowsza, niż się młodzieży naszej w Galicji wydaje. Kwiatami nie zasłoni się szczeliny, jaka się zarysowała na całej budowie tego, jak się jej zdawało, nowego, idealnego świata czynu. Sprawa z p.... to tylko mały wypadek z chorągiewką na duchu, gdy cały mur pęka i rozpada się. Tego się kwiatami nie zasypie.

Budowa, oparta na nieprawdzie psychicznej, padnie w gruzy. Komórka etyczna jest podstawą budowy zbiorowej — przekonali się o tem w Warszawie przywódcy P. P. S. Jak czytaliśmy wyżej (Nowa Reforma), stwierdzają oni niesłychane dotąd w życiu partyjnem objawy rozstroju i demoralizacji w dziedzinie teorji i praktyki. Wyznawców partji opuszcza wszelka wiara w sprawę, wszelkie zaufanie w przewódców. Sprawia to szerząca się za przykładem sztabu demoralizacja w szeregach, zbiegostwo, coraz częstsze wypadki zdrady itp.

I to jest logika ostatnich wypadków w naszej rewolucji polsko-rosyjskiej, poczynając od bandytyzmu, kończąc na filozofii moralnej P. P-esowych literatów w Galicji.

Na nic się nie zda mędrkowanie sofistów, stylizowanie architektoniczne fałszywej budowy politycznej. Prawdziwa twórczość, nawet w sztuce, oparta jest na charakterze, a cóż dopiero w świecie spraw czysto moralnych. Ruskin mówi gdzieś: »Twórczość jest dziełem całego ducha ludzkiego. Jaki jest ten duch, taki też jego owoc; zależnie od tego, czy cnotę, czy występek powołało się do udziału w twórczości, dzieło cnotę lub występek reprodukuje, lub ich uczy. Co ze złego zrodzone, płodzi złe, co zrodzone z dzielności i honoru, naucza dzielności i honoru«.

Błędami, najgłębiej sięgającemi w życie mo-

ralne społeczeństwa, są zbrodnie przeciwko uczuciu miłości dla swego środowiska. Kto zabija w sobie lub w innych przyrodzony instynkt krwi, rodzący miłość do sprawy narodowej, ten na kłamstwie buduje i zło tworzy. Tego zawiodło lub zawiedzie sumienie w każdej innej sprawie, bo ten instynkt jest rdzeniem człowieka m o r a l n e g o. Zgodność z sumieniem, prawda wewnętrzna duszy — to pierwszy, kardynalny warunek działalności publicznej, zwłaszcza kierownictwa dusz. To jest tylko »postępowe« i radykalne.

Robotę publiczną nie dość wystylizować na »postępowość«, należy ją na realnym gruncie etycznym ufundować. Na to trzeba wprzód dojść do ładu z w ł a s n e m sumieniem, jako z komórką sumienia gromadzkiego. Potem dopiero stwarzać partje.

Tylko z partjami, mającemi sumienie narodowe, można pracować dla ogólnego dobra, pomimo różnic w zasadach postępowania.

15. O PANU »POSTĘPOWYM«.

Lwów, 19 stycznia 1907.

Opowiem ciekawą rozmowę. Przyszedł do mnie jegomość jeden z tych, którzy przyklaskują patrjotyzmowi sjońskiemu i rusińskiemu, ale nie mogą pogodzić się z polskim, pan radykalnie postępowy, i tak poczyna:

— Pan jesteś Digamma?... Domyślałem się tego. Ale teraz wymienię pana z nazwiska, zdemaskuję. Napiszę o panu w naszym organie...

— A jakiż to pański organ?

— »Trybun Zamarstynowski«.

— Już pan tam pisuje! A zanosiło się, że pan będzie pisywał tylko w rocznikach Akademji. Sterował pan niedawno opinją w świecie artystyczno-literackim, przewoził pan dusze poetów do nieśmiertelności przez styksowe fale »krytyki«, aż oto sam zbłądził pan pod strzechy. Jak to musi być miło dożyć tej pociechy!

— Tak, panie, my postępowcy tu się oszańcujemy, a walka, jaką z wami stoczymy, będzie na śmierć i życie. Ale do rzeczy. Pańskie feljetony są »misternie splecioną siatką ślizkich, ropusznych, gąbczastych i jadowitych sofizmatów, lepionych śliną wężową i pajęczemi nićmi, których dotknięcie budzi odruchowy, fizjologiczny wstręt, niby przydeptanie bosą stopą wilgotnej, lepkiej glisty«*).

— Panie, mów do mnie jeszcze! Przepadam za orjentalną obrazowością pańskiej swady. Ale o co chodzi?

— Pisałeś pan, panie Digamma, 15-go grudnia o etyce w życiu publicznem **) na to, żeby uśmiercić polski socjalizm. Na to ja nie pozwalam.

— Pisałem, że »tylko z partjami, mającemi sumienie narodowe, można pracować dla ogólnego dobra pomimo różnic w zasadach postępowania«. Pana dobrodzieja oburza to niewinne zastrzeżenie sumienia narodowego? Ostatnie wypadki w Królestwie przekonały, że tego sumienia socjaliści mieli za mało i z tego powodu partja P. P. S. weszła w zatarg ze społeczeństwem, a nawet sama uległa rozłamowi. To są fakty? Co pana oburza?

— I pan się uważa za reprezentanta kultury? Od kiedyż to kultura opiera się na obskurantyz-

---

*) Z feljetonu p. Ostapa Ortwina w lwowskim »Głosie« (socjalistycznym).

**) Obacz wyżej list 14.

mie? Odkądże to u nas w Polsce kultura stała się identyczną z opieszałością myślenia, nieuctwem i dylentantyzmem? Odkądże to szulerka pojęć i mącenie świadomości uchodzić ma za dowód wyższości kulturalnej?

— Dla czego pan na pytania odpowiada pytaniami? Niech pan powie, co pan sam o tych faktach myśli?

— Dla czego ja mam mówić, co myślę? Dla czego pan »tłumaczy swym czytelnikom rozłam P. P. S. nie jako proces różnicowania się poglądów socjalistycznych, wywołany konfrontacją programów z rzeczywistością i biegiem wypadków, ale jako dzieło Nemezis dziejowej, karzącej polski socjalizm za dążenia przeciwne naturze życia zbiorowego?«

— Bo taka kara dziejowa spotyka tych, którzy potrzebują »konfrontacji« programu z rzeczywistością przez ciężkie doświadczenia, czynione na społeczeństwie. Polityk »konfrontuje« program wpierw w sumieniu swojem, zanim go zastosuje.

— »Są to wszystko czcze i puste, gołosłowne i trywialne, demagogiczne frazesy, bez wszelkiej treści i wartości«. »Kłamstwo... wyrafinowany, kuglarski humbug!« Powiem panu więcej, panie Digamma: są to frazesy, »pozbierane ze śmietników pokątnej psychologji, ze zszarganych rupieci nauki o społeczeństwie, — zaściankowa, domorosła socjologja!!«...

Gość mój zapamiętał się, rozkrzyczał, zapienił i trzasnąwszy drzwiami poszedł. Daremnie wołałem za nim:

— Mistrzu, powiedz otwarcie, jakie jest twoje o tych zjawiskach zdanie!

— — — — — — — — — — — — — — —

Nie byłbym tej rozmowy przytaczał, boć to djalog w naszym świecie politycznym dosyć pospolity, ale wzięła mnie chęć »skonfrontowania« takiego typu niespokojnej umysłowości z rzeczywistością, powiedzenia czegoś o naszych »postępowcach«.

Co to za odmiana człowieka? Zasługuje ona na uwagę, bo, jak widzimy, jest wymowna i bardzo krytyczna. »Postępowy« pan!

Postępowy pan jest bardzo światowy — bywał »we Wiedniu«. Wszystko, co było w literaturze niemieckiej (w oryginale lub w tłumaczeniu) modernistycznego, to on zna. Jest w antypodach swego społeczeństwa, tak go prąd czasu skłócił z umysłowością otoczenia. I jest mu z tem dobrze. Stąd opozycja we wszelkiej postaci, jaką spotka, jest mu blizka.

Miło mu myśleć, że społeczeństwo się rozłamuje, bo wtedy — kto wie — łatwiej przyjdzie do mechanicznych połączeń poprzecznych międzynarodowych. Arystokracja wszystkich krajów jest już sobie blizka, kupiectwo z zawodu swego musi się łączyć (na upartego porozumie się w światto-

wym języku niemieckim, zresztą kto nie zna hebrajskiego, uczy się teraz pilnie na wszelki wypadek Esperanto), inteligencja oczywiście prędzej czy później stworzy jedną rodzinę (nauka i sztuka są kosmopolityczne); niechby jeszcze proletarjat wszystkich krajów się połączył — i byłaby ludzkość, jak jeden mąż (w paski)! Niech tym socjalistom pan bóg (przez małe b) da zdrowie!

To jest socjologja postępowa, nie jakaś tam pokątna, zaściankowa, zszargana, domorosła!

Pan postępowy czynnym socjalistą nie był nigdy (są inni od roboty, on tego nie umie i nie lubi), pielęgnuje daleki ideał socjalistyczny, może nawet w tym duchu artykuł napisać czasami. W gruncie rzeczy proletarjat tyle go obchodzi, co śnieg zeszłoroczny, co całe społeczeństwo. Proletarjat sam wywalczy wielki postępowy ideał, trzeba go tylko porządnie skłócić ze społeczeństwem. A że nędza, a że krew, to »tylko robotników krew«...

On sam jest wolny — niema przesądów: umiłowań lokalnych, przywiązań organicznych, obowiązków, jest jak motyl na wielkich niwach ludzkości. Między nim a ludzkością niema żadnych społecznych przesłanek. Zbrzydł mu »swojski« zaścianek i jego domorosły sposób myślenia i czucia, — cały tryb moralnej organizacji narodowej, który na dobrą sprawę powinien być już policyjnie zakazany.

Do ostatniej pasji doprowadza »postępowca«

to, co jedność narodową streszcza lub symbolizuje, więc orzeł biały, Mickiewicz na Wawelu, Sienkiewicz pisujący listy do Wilhelma II (także zuchwalstwo!), hasła niepodległości, autonomji, zwłaszcza solidarności narodowej.

Wzrusza go wszystko, co trąci zagranicą, zwłaszcza postępową. W literaturze i sztuce postępowiec nasz jest hołdownikiem obcych wpływów, a największe święto miał wtedy, gdy powiały prądy antyspołeczne, gdy modernizm niemiecki, zdawało się, raz na zawsze przełożył wyraz miłość — na chuć i zmysły zagłuszyć miały uczucia idealistyczne, grożące wiecznie romantyzmem narodowym.

Pomijam na razie działalność polityczną tego typu ludzi, chodzi mi dzisiaj o rolę, jaką odgrywają oni w naszej obyczajowości umysłowej wogóle.

Jednostek takich z popsutym instynktem społecznym napłodziła wiele historja w społeczeństwach politycznie zdziczałych. Cywilizacja dla nich to jakiś sos generalny, z którym można przyrządzać na surowo wszystkie społeczeństwa bez konieczności wytwarzania kultury od korzenia z duszy własnej wedle właściwości i potrzeb swoistych. Można ją nabyć za tanie pieniądze, oczywiście nie we Lwowie, ale w Wiedniu. W Wiedniu wszystko jest w najlepszym gatunku i tanio.

Na punkcie tych upodobań wiedeńskich spo-

tykają się wszechświatowi postępowcy radykalni z domorosłemi centralistami i, dopóki o Wiedniu mowa, stoją z sobą na gruncie sojuszu. Centralista i postępowiec chętnie się zejdą na wiecu z socjalistami (włożą na tę uroczystość czerwone krawatki), aby pomarzyć o Wiedniu i zaprotestować przeciwko solidarności narodowej lub hasłom autonomicznym.

Postępowiec dać pragnie ideologiczny podkład wszelkiemu w kraju odruchowi antinarodowemu (o który tak łatwo w masach nieuświadomionych), pomylonym, o fałszywym apetycie politykom, wreszcie młodzieży, ostrzącej zęby na opozycji przeciwko autorytetom. Więc umysł ich niespokojny a ruchliwy, wyzwolony od hamulców uczuciowości (sentymentalizmu) przeciwstawia się we wszystkich dziedzinach zasadom pracy narodowej, zapobiegając objawom »zaściankowości«.

Postępowiec, sam ubrany, jak z igły, w nowiutką, najmodniejszą (moderne) szatę kosmopolitycznych haseł, przegląda się w biernym tłumie, jak w lustrze. Zwykle robią to parwenjusze, nie oswojeni z nowym garniturem, ale to gorsza, że nasz postępowiec chce tłuc lustro, gdy ono jego ruchów modnych nie wykonywa.

— — — — — — — — — — — — — — —

Zaniedbane w samowiedzy narodowej społeczeństwo polskie puściło w ostatnich lat dziesiątkach

bardzo lekkomyślnie w takie ręce ruch swój umysłowy. Literatura i sztuka, mająca być zogniskowaniem ducha narodowego, przeszła niepostrzeżenie pod zarząd tych, których pierwszem przykazaniem samowiedzę narodową rozbijać. »Postępowcy«, wyzwoleni z przesądów kultury narodowej, wolni od pracy duchowej w dziedzinie czynu zbiorowego, gdzie zadawala ich sama negacja, mają do rzucenia sporo energji na pole zajęć intelektualnych. Gdyśmy gdzieindziej byli zajęci, lub zgoła spali, oni te pola zajęli na swoje ćwiczenia sportowe, na sport postępowości.

Na czem ten sport polegał, raz skoncentrowany w jakiejś »Krytyce«, to znów rozproszony po prasie, słabo w kierunku narodowym uświadomionej? Oto strzelało się do zwierza narodowego.

Dosyć było głowę wysunąć na pole zagadnień naukowych, literackich czy artystycznych i przemówić w duchu polskim lub w imię potrzeb polskich, aby ci »postępowi« myśliwi strzelali z zasadzek, nieraz wzywając do nagonek młodzież w imię postępu. Tak się polowało długo na błoniach nadwiślańskich i nad Pełtwią; tak się osacza dziś Sienkiewicza, tak poetów wpędza na manowce kosmopolityzmu, tak wreszcie więzi się w sidłach dudków, którzy się na nie wezmą.

Było to polowanie z wrzaskiem. Więcej wrzasku, niż strzałów. A wrzaski były na to, aby zwierza straszyć i rękoma gołemi go brać na swoje posługi.

Postępowcy mieli metodę kompromitowania naiwnych okrzykiem: to niepostępowe!

Niedojrzałość niczego tak się nie boi, jak pośmiewiska; ścigać się rada na modę, aby tylko był ktoś, kto modę wykrzykuje. Dla takich powstały »żurnale« literackie i krawczyki, teroryzujące nasz zaścianek przepisami wprost z Wiednia.

— — — — — — — — — — — — — —

Ale tego dość. My nie będziemy polowali, ale porządnie się zagospodarujemy. Literatura i sztuka, zagadnienia społeczne, narodowe i polityczne nie są do zabawy. Tam, gdzie były harce myśliwskie, tratowanie pól i szkółek, zapanuje prawidłowa praca narodowa. Ona starczy za ustawę łowiecką w tej dziedzinie. Co jest postępowe, a co nie, o tem orzekać będą żywioły, mające z narodem czucie, ci co z niego z korzenia wyrastają i kwiatem rodzimych natchnień go zdobią.

Moda wiedeńska się przeżyła. Wolimy dziś — mamy już tyle smaku — figurkę drewnianą, struganą przez chłopa kozikiem, niż sprowadzoną z Wiednia w gipsowym odlewie szatańską główkę dziewicy z włosami na uszy. Już nam zbrzydł ciągle coś obiecujący, a jałowy ton umysłów postępowych, przypominający secesyjne z liljami stylizowanemi firanki w hotelach prowincjonalnych; zbrzydła nam manjera rozmaitych miszuresów postępowości, polegającej na rozpuście, na cudzołó-

stwie z cywilizacjami obcemi, na poniewierce ducha narodowego.

Dziś już i młodzież, którejby się chciało zobrzydzić swojskie zaścianki, poznaje się na głupstwie, zaczyna już rozumieć, że bardziej jest postępowa praca twórcza, niż rozkładowa lub naśladownicza. Gdzie jest przesąd? Czy tam, gdzie posłuch instynktowi i obowiązkom, czy też tam, gdzie patrjofobja, połączona z miłowaniem wszystkich obcych ojczyzn i szowinizmów?

Dosyć już teroru rzekomej postępowości! Oddajcie się pracy twórczej, choć ona zwykle jest d o m o r o s ł ą, a zadziwicie świat postępowością prawdziwą.

16. NIECO O ZMYŚLE SAMOZACHOWAWCZYM.

Lwów, 23 marca 1907.

— Dawno już, panie Digamma, nie czytałem pańskich feljetonów — rzekł nie bez przekąsu pan X., spotkawszy mnie w kawiarni. — Czemuż tak?

— Czasu niema na pisanie... Czasami fakty są tak wymowne, że wyjaśniać ich znaczenia nie ma potrzeby; feljeton sam się układa. Wtedy zwykle brak czasu...

— Dziennikarz nie ma czasu na pisanie! Także coś!

— A widzi pan, bywa tak. Takiego czasu, co go zegar wydzwania, może starczyłoby; ale mieć czas na coś, to znaczy mieć duszę wolną do wysiłku, a dziennikarz to człowiek, przez którego płynie strumień czynów cudzych. Każde zdarzenie słabiej lub silniej nim wstrząsa. Każde prze-

prowadzić musi przez swój system nerwowy, przepuścić je przez siebie, jak przez spektr, aby je inni widzieli, jak należy. Nerwy tem wyczerpują się. Przy pewnej wrażliwości dziennikarz, zmuszony do obejmowania całości życia, traci możność skupiania się i ochotę dzielenia się myślami, działa na podobieństwo automatu, tem od niego różny, że głucho cierpi... Wtedy »nie ma czasu« na pisanie feljetonów.

— Bo niepotrzebnie nadaje się wielu rzeczom przesadne znaczenie. Zwłaszcza wy, demokraci narodowi, tem grzeszycie... Trzeba umieć zostawiać rzeczy naturalnemu biegowi rzeczy. Są stanowiska wyższe od narodowych.

— Mianowicie?

— Stanowisko kulturalne w ogólności. Postęp za hasłami rozwoju, przyświecającemi ludzkości, przecież jest ważniejszem zadaniem, niż spieranie się o prawa narodowe.

— Więc co pan każe robić w takim wypadku, gdy np. Rusini napadną uzbrojeni na uniwersytet, a dalej zagrożą bombami?

— Dać im uniwersytet.

— Nasz? Przecież wznieśliśmy go jako szaniec kultury. Zrzekniemy się sami postępu...

— Nie. Powiem szczerze, należy stworzyć im uniwersytet ruski. Czyn prawdziwie kulturalny byłby mojem zdaniem: postawić uniwersytet, wy-

posażyć, a na froncie dać napis »Polacy — Rusinom«.

— Bardzo pan hojny. Tylko istnieje taka okoliczność, że Rusinom, jak się pokazało, nie tyle chodzi o posiadanie odrębnej wszechnicy, ile o zabranie nam lwowskiej. Nie o wiedzę walczą, lecz o posterunek polityczny. A powtóre mówi pan jak szlachcic moriturus, ze zwietrzałym instynktem zachowawczym, szlachcic, który rozdaje, który i w życiu prywatnem i w publicznem żył nad stan. Łatwo przyszło — łatwo poszło. Po tem my was »postępowców« poznajemy, żeście nierachunkowi, jakbyście na cudzem gospodarzyli.

— Tak, tak... Wyparliście się ojców, którzy szli na walkę pod znakiem: za naszą i waszą wolność. I to jest wasza reakcyjność.

— Radziłbym tym, którzy tracą poczucie osobowości, aby się ostrożnie obchodzili z zaimkami dzierżawczemi. Bo pan wiesz, co jest n a s z e, a co w a s z e? Dawniej Polacy walczyli za »naszą« wolność, wtedy stwarzali państwo polskie; potem w osłabionem poczuciu osobowości wołali za »naszą i waszą«, a wy teraz walczylibyście już tylko za »waszą«. Ale panu się zdaje, że w takim stanie ducha można walczyć o cokolwiek. Wy już o nic walczyć nie możecie.

— Przepraszam — a polskie stronnictwo demokratyczne? Ogłosiło już program swojej działalności. Nie pisze się przecież programu literac-

kiego, lecz na to, by walczyć, by gromadzić koło niego zastępy. Ja wiem, co pan myśli, że to program napisany po 10 halerzy od wiersza, z dnia na dzień, a wasz jest organiczny, wypróbowany...

— Tak jest. »Wypadkiem« się zdarzyło, że program stronnictwa demokratyczno-narodowego ujął to, co w społeczeństwie jako żywa dążność istniało i szukało swego programu działania politycznego. Program ten był regulacją prądu narodowego i jego dopływów społecznych, a wynikał nie z filozoficznych refleksji, które, jak stojącą wodę, można przyozdobić płaczącemi brzozami, nawet zarybić, — ale z napięcia dążeń narodu.

— Wy macie tylko jedną zasługę, że budzicie reakcję. Prąc wstecz, przez to samo przyczyniacie się do tego, że społeczeństwo pójdzie naprzód. Pod waszym wpływem budzi się i uświadamia potrzeba zmobilizowania i wytężenia wszystkich sił w celu obrony zagrożonych zasadniczych warunków postępu i rozwoju.

— To się zdarza — jak w bajce: osioł nie chciał przejść mostu, młynarz pociągnął za ogon, wtedy osioł ruszył i... wpadł po tamtej stronie mostu — co za postęp! — w objęcia socjalizmu. Każdy ma swój Rubikon.

Ja wiem, że taki mechaniczny sposób uśmiechałby się bardzo demokracji postępowej; bez wysiłku, prawem powrotnej fali dokonywałaby postępu naprzód.

Widziałem w Zurychu kolejkę, windującą ludzi pod stromą górę. Poprostu dwa wagony, złączone drutem, zataczają błędne koło: jeden, schodząc na dół, ciężarem swoim wciąga drugi wagon w górę, Różnicę wagi dopełnia się wodą. Bardzo zabawne i praktyczne. Drugi taki aparat widziałem w Krakowie: chodziły tak w kółko »Czas« i »Nowa Reforma«. »Nowej Reformie« tak się to podobało, że dziś chciałaby robić taki »postęp« kosztem demokracji narodowej, ale niestety ta w kółko się nie kręci. Ma przed sobą długą drogę i zupełnie samodzielne zadania.

— — — — — — — — — — — — — —

Rozmowy podobne nasuwają smutną refleksję: czy jest gdzie na świecie taka atmosfera umysłowa, gdzieby na serjo trzeba było brać, jako zarzut hańbiący, pomówienie o egoizm narodowy?

Umysły, nie nałożone do myślenia politycznego, popełniają, gdy mowa o programach, błędy metodyczne. Mianowicie przenoszą do realnego życia społeczeństwa metodę »*savoir vivre'u*« towarzyskiego, nie dostrzegając różnicy, jaka panuje między temi sferami stosunków. Życie towarzyskie podlega prawom kultury estetycznej, jest sztuką dla sztuki, nie ma poza sobą bezpośrednich celów praktycznych; życie zaś polityczne oparte jest na dążeniach, płynących z instynktu samozachowawczego zbiorowości, ma zadania praktyczne, zmie-

rzające do wielkiego celu zapewnienia tej zbiorowości trwałych warunków rozwoju. Niema innego sposobu — nie wynaleziono go jeszcze — posuwania się naprzód, jak zbiorowościami narodowemi. Nic tu nie pomoże pośpiech postępowców teoretycznych, dla których zbiorowość narodowa jest ciałem za ciężkiem, nie nadążającem ich aspiracjom. Błogo jest i chwalebnie robić rekonenanse ideolegiczne w dziedzinę postępu — na swoją rękę, ale mus społeczny nakazuje służbę interesom całego organizmu narodowego, jako osobowości żywej, mającej prawa do życia, a nawet obowiązek życia poczytalnego, samodzielnego — i to w interesie całej ludzkości.

Nie o wyznawanie kultury chodzi w historji, ale o robienie jej. Za nas dla naszej zbiorowości nikt bytu, potrzebnego nam do rozwoju, nie stworzy. Każdy naród jest sam kowalem swego losu. W tym sensie potrzebny jest narodowi egoizm.

Nie lubią egoizmu narodowego filistrzy, uprawiający egoizm osobisty, nie tolerują go socjaliści, których hasłem jest egoizm klasowy, nie rozumieją go partykularzyści, widzący patrjotyzm w egoizmie dzielnicowym, oczywiście walczą z nim grupy etniczne, pociągane odśrodkowo swoim egoizmem plemiennym, a nie mające samoistnej organizacji narodowej. Im wszystkim egoizm narodowy jest nie na rękę, bo on całkuje, wymaga ofiary

z egotyzmów prywatnych, klasowych, dzielnicowych, plemiennych.

Przyjemniej byłoby wejść w bezpośrednie obcowanie z ludzkością, oczywiście »*in abstracto*«, bez obowiązku służby politycznej. Służbę tę nazywa się »parciem w stecz«, zaniedbywaniem »zasadniczych warunków postępu i rozwoju«.

Na czemże polega postęp? Na zagubieniu poczucia osobowości narodowej, na a-politycznem zachowywaniu się wobec interesów narodu jako indywidualności? Są drogi jakieś okólne, którędy dojść można do postępu. Bliżej nikt tych dróg nie określił, ale w rezultacie wszystko się ściąga do sztuki dobrych manjer kulturalnych.

Oczywiście w okresie przedwyborczym nie każdy wyzwoleniec polityczny do apolityczności swojej się przyzna, wogóle dziś trudniej niż kiedykolwiek stworzyć stronnictwo, oparte na »reweransie« towarzyskim dla swojego narodu. Można je ukuć na papierze, ale już bez należytej szczerości, owszem wiele domyślników patrjotycznych trzeba użyć, aby opinji się nie narazić. Dziś trzeba się opowiedzieć: albo za służbą interesom narodowym, albo za walką z interesami narodowemi.

— — — — — — — — — — — — — —

Wracając do zasady egoizmu narodowego, dodać winienem, że dziwne walki staczać ona musi w naszem społeczeństwie, wyprowadzonem przez

bezczynność polityczną z równowagi duchowej. A tymczasem sam fakt budzenia się w niej zmysłu samozachowczego jest objawem powracania społeczeństwa do zdrowia. Chcemy stanąć na własnych nogach, odzyskać moralne poczucie swej osobowości — ot i cały egoizm. Osłabliśmy tak, że zaledwie odruchami żyć byliśmy w stanie, wzruszeniami uczuciowemi. Altruizm sentymentalny względem obcych jest w polityce objawem słabości tak dobrze, jak szowinizm, widzący siłę polityczną w nienawiści do obcych.

Porządna samowiedza narodowa, którą nazywamy egoizmem, doprowadza duszę do pionowej postawy. Ruchy wtedy ogromnie się upraszczają, bodźcem ich jest nie tkliwość dla obcej zbiorowości lub nienawiść, ale miłość dla swojej. To też śmieszne są gawędy rzekomych kulturników o brutalności egoizmu narodowego. W czasach naszego największego osłabienia politycznego w zaborze rosyjskim temperatura nienawiści do Moskali była najwyższa, a za to rosła sympatja do Niemiec; w zaborze pruskim odwrotnie — uczuciowe reagowanie na ucisk doprowadzało do moskalofilstwa. Dopiero pewne ugruntowanie się zdrowej myśli politycznej, opartej na jasnem rozumieniu własnego interesu narodowego, doprowadziło nas do równowagi. Świadomość zadań i środków dodaje spokoju, powagi i siły.

W Galicji dusza polska, nie czując bodźca ze-

wnętrznego, legła do snu. Na wschodzie zatargi rusińskie doprowadzają do ocknienia; ze snu przecieramy oczy, nie wiedząc co począć; pełni wahań oscylujemy między nienawiścią a sentymentalizmem altruistycznym. I jest tu komu mówić o egoizmie narodowym!

Budzimy się ze snu w położeniu nędzarzy. Kulturę się robi nie w powietrzu, ale na rusztowaniu indywidualnego życia narodowego, a skoro to rusztowanie się rozlezie, wtedy i kulturę djabli biorą. Tylko wielki wysiłek instynktu zachowawczego, wspartego świadomością polityczną, uratować nas może. Nie sromać się nam egoizmu narodowego! Jeżeli się w kupę nie weźmiemy i nie uporządkujemy w imię egoizmu narodowego swoich interesów, stać się możemy klęską ludzkości, którą zbawiać chcą nasi altruiści narodowi. Jesteśmy już na utrzymaniu cudzych oszczędności, cudzego ruchu umysłowego, cudzej kultury, ale siły moralnej obcy nam nie dadzą. Patrzcie na moralność naszą, jak ona się rozłazi i prywatna, i publiczna.

Co my komu z siebie w tym stanie dać możemy? Co komu z naszego altruizmu? Dawanie jest czynem dodatnim, gdy w nim dowód siły posiadania. Ale kto daje tylko dlatego, że nie może w garści utrzymać, tego nie pytają, tylko biorą. Głupia mina takiego filantropa. A nam już chyba wszystko wzięli, co wziąć mogli. Nawet języka swego nie ustrzegliśmy.

Nie demokracja jakaś sprzeciwia się demokracji innej, ani altruizm postępowy egoizmowi narodowemu, ale oto małoduszność przeciwstawia się żywotności moralnej. Nie między partjami odbywa się w Polsce walka, lecz między żywiołami życia i rozkładu, czynu i frazesu, ofiary i zaprzaństwa.

A gdzie życie zwycięża, tam ocalony »zasadniczy warunek postępu i rozwoju«.

17. POCZUCIE ROZSTROJU.

Lwów, 13 kwietnia 1907.

Okres przedwyborczy *) jest chwilą sposobną do prowadzenia dyskusji tak ogólnej, jak w parlamencie nad budżetem. Społeczeństwo skupia się, oblicza swoje siły, orjentuje się w położeniu wewnętrznem i politycznem.

Mam wrażenie, że dokonywany obecnie rachunek sumienia nie wypada nam zadowalająco; czuć w powietrzu przygnębienie. Niema stronnictwa, któreby się dobrze czuło i z pogodą wyniku wyborów oczekiwało. Nastrój pesymistyczny.

Powiedzmy otwarcie: ze stronnictw narodowych stosunkowo najlepiej czują się demokraci narodowi. Z programu ich i z ich działalności dotychczasowej wynika, że nie dla wyborów powstało

*) Nadchodziły pierwsze wybory do parlamentu na nowej zasadzie powszechnego prawa głosowania.

ich stronnictwo i na wyborach się nie skończy, jakikolwiek one wezmą obrót. Dziesięciu posłów więcej, dziesięciu mniej — to samo przez się nie może mieć decydującego znaczenia dla stronnictwa, które nie na grze losu, ale na pracy wśród społeczeństwa rozwój swój opiera. Na razie demokratom narodowym wystarcza, że do jakiego takiego porozumienia ze społeczeństwem dochodzą. że nietylko nic nie jest im obce, co w społeczeństwie się dzieje, ale że to, co się dzieje, od ich wpływu się uzależnia. Mierząc swoje siły nie tyle liczebnością reprezentantów parlamentarnych, ile istotnym wpływem na bieg spraw w społeczeństwie, mogą być pewniejsi siebie i przez to spokojniej w przyszłość patrzeć.

Naogół jednak nastrój pesymistyczny udzielać się musi wszystkim w mniejszym lub większym stopniu. Bo położenie istotnie jest trudne.

Kto umie patrzeć w głąb sumienia społecznego, ten w takiej chwili spostrzeże najłatwiej, jak dalece jesteśmy społeczeństwem zdezorganizowanem. Słabość maluje się nam na obliczu wszystkiemi barwami zdziwienia, niepewności, wątpień, zgryzot obaw i tchórzliwości. I ten właśnie moment psychiczny, z jakim do wyborów przystępujemy, zastanowić nas powinien.

Czujemy, że zdecydować ma się coś ważnego w naszem życiu narodowem. Kto odtąd wyobra-

żać nas będzie na zewnątrz i orędować w interesach kraju?

Trudno nam odgadnąć. Ale jest rzecz gorsza: Sumienie nam mówi, że nie wiemy dobrze, kogo nam potrzeba w parlamencie, a nawet, że gdybyśmy to wiedzieli, nie mielibyśmy kandydatów odpowiednich. Ludzi brak.

— — — — — — — — — — — — — —

Komu wystarcza ambicja partyjna, ten może być zadowolony z szans, jakie ma ten lub ów rycerz demagogiczny, ale ja mówię o ludziach z sumieniem narodowem.

Tych nie bawią nawet wesołe opowieści z naszej niedawnej praktyki parlamentarnej.

Proszę panów — mówił w towarzystwie wytrawny parlamentarzysta — nie dość jest posła wybrać; trzeba wiedzieć, co on będzie w parlamencie robił. Pamiętam, powołano mnie do ważnej komisji. Były tam reprezentowane wszystkie stronnictwa monarchji; przez kurtoazję powołano prezesa polskiego stronnictwa ludowego. Po długich naradach i sporach rzecz się wyklarowała, ale przewodniczący zauważył przed głosowaniem, że przedstawiciel ludowcowy nie wyjawił swego zdania. Siedział jak mur z miną dyplomatyczną, ale nie odzywał się.

— Jakiego pan poseł jest zdania? — pyta przewodniczący.

Poseł rzuca niespokojne wejrzenie dokoła i milczy.

— Proszę szczerze powiedzieć.

Zaprzyjaźniony poseł ruski tłumaczy pospiesznie ludowcowi pytanie przewodniczącego. A poseł ludowy, przyciśnięty do muru, zamiast odpowiedzi, wyciąga rękę i wskazuje milcząc na posła polskiego, szlachcica konserwatystę.

Przewodniczący wodzi zdziwionym wzrokiem.

— To znaczy — ratuje sytuację Rusin — że pan poseł jest tego zdania, co tamten pan.

— So!

Otóż to, dodaje opowiadający, dobrze jest, że chłop polski ma jeszcze w potrzebie zaufanie do szlachcica, z którym zresztą walczy stale jego stronnictwo, ale byłoby lepiej, gdyby wszyscy posłowie polscy wiedzieli, co się koło nich mówi w parlamencie. Poseł ludowcowy nietylko nie rozumiał języka, ale nawet nie wiedział, o czem się mówi. Wyborcy oczywiście nie są o tych rzeczach informowani, owszem organ stronnictwa nie omieszka rozpisać się szeroko o zasługach swego posła w tak ważnej komisji... Co będzie, gdy demokratyzm nowej ordynacji wyborczej pojmiemy w tym duchu i więcej podobnych posłów poślemy?

Społeczeństwo, zorganizowane idealnie w naszem położeniu, ażeby coś dla kraju zrobić, a zachować choć cień jego odrębności państwowej,

wysłałoby grupę ludzi solidarną, z najlepszych jednostek złożoną. Nasze jednak rachuby polityczne podczas wyborów naogół do koncepcji narodowych nie sięgają. Obejmują one najwyżej interes stronnictwa, przeważnie zaś wystarcza przy ocenie kandydata kombinacja osobistego interesu, towarzyska, zawodowa, klasowa. Śmiano się kiedyś z dzienniczka, który, dla skaptowania sobie organistów, pisał: »Skandalem jest, że tak liczny zastęp organistów niema dotąd w Sejmie swojego przedstawiciela!« Ale odchodzi ochota śmiechu, kiedy się słyszy rzeczy podobne na każdym kroku.

Kto ma myśleć o interesach kraju i narodu jako całości? Obecna chwila jest tem znamienna, że właśnie w tym punkcie w sumieniu ogółu budzi się niepokój.

Póki reforma wyborcza była w obłokach teorji, nie zdawano sobie sprawy ze zmian, jakie nastąpią w praktyce; dziś, gdy praktyka się zbliża, coraz częściej się mówi z żalem o demagogji rządu austrjackiego, który tę reformę przeprowadził. Jeżeli wybory pójdą niepomyślnie, cała wina spadnie na ordynację wyborczą. Ale przyczyna główna będzie gdzieindziej, mianowicie w tem, że społeczeństwo było zdezorganizowane.

W tem położeniu wszystko społeczeństwu na złe wychodzi, nawet to, co samo dla siebie robi w jaknajlepszej dążności. Bo wtedy jest ono, jak organizm słaby, który nic nie trawi: nic mu na

zdrowie nie idzie. Zacznie pracować w kierunku uprzemysłowienia się: stworzy zastęp robotników, dla których u siebie miejsca nie przewidziało. Ci pozostaną w stanie dzikości, wydani na łup żerującym socjalistom. Szerząc oświatę, budzimy wśród ludu aspiracje, ale sposobów zaspokojenia ich nie przewidujemy. Znowu okazuje się niezdolność do przerobienia żywiołu na wnętrzną wartość narodową. Pomożemy z całą patrjarchalnością kulturze Rusinów: zbudzą się w nich dążności separatystyczne. A to już nie będzie przewidziane. I nowe nieszczęście.

Bo społeczeństwo zdezorganizowane nie ma mocy przewidywania i zapobiegania.

— — — — — — — — — — — — — —

Powie mi ktoś:

— A cóż u licha pan chcesz od społeczeństwa! Co to znaczy: zdezorganizowane? Wszystko jest w porządku: policja jest, biura są (co rusz to »władza«, nawet poczta to władza), posłuch jest, nawet serwilizm.

— No tak, ale gospodarzem nie my jesteśmy u siebie. Zna pan — dodałbym — »bar amerykański«. W wielkich miastach są takie jadłodajnie mechaniczne. Automaty, wie pan. Każdy sobie bierze, co mu się podoba — wygodnie i tanio: nikogo głowa o nic nie boli. Otóż myśmy u siebie taki bar wiedeński pozwolili zrobić, zrzekając się

własnych interesów i obowiązków gospodarskich. Naród u siebie powinien być gospodarzem, nie zrzekać się nigdy roli swojej, jako świadomości rządzącej w sprawach narodowych. Inaczej dezorganizuje się. Obsługę automatyczną koło spraw życia spełniamy (i to jak kiepskie automaty), ale straciliśmy głowę gospodarza domu.

Wszystko dla nas jest niespodzianką, nic nie umiemy opanować i niczemu nie możemy przeciwstawić poczucia swoich praw i woli gospodarza domu. Gdybyż nas spotykały klęski z powodu niemożności sprostania komuś w walce, ale nas spotykają klęski bez walki z powodu naszej nieświadomości położenia, potrzeb i zadań.

Pewnym wyrazem uczuwanej przed wyborami potrzeby zorganizowania społeczeństwa w ośrodkach myśli narodowej jest wyborcza Rada narodowa, działająca pod hasłem solidarności Koła polskiego w Wiedniu. W odezwie świeżo wydanej Rada tak charakteryzuje obecne położenie kraju:

»Nasze położenie narodowe w Galicji trudniejsze jest przy teraźniejszych wyborach, aniżeli kiedykolwiek w ciągu ubiegłych czterdziestu lat.

»Agitacja ruskich radykałów dąży wprost do wyparcia nas siłą z odwiecznych siedzib naszych, do odebrania nam wszystkiego, cośmy we wschodniej części kraju odziedziczyli, albo własną pracą zdobyli.

»Sjonistyczni agitatorzy nawołują ludność żydowską, aby wybierała tylko takich posłów, którzy przyrzekną, że do Koła Polskiego nie wstąpią.

»Socjaliści głoszą otwarcie, że dla nich głównym celem jest zniszczenie wszelkiej własności prywatnej. Przy wyborach nie z narodowego obozu oczekują hasła; ich kierownictwo jest daleko poza granicami naszego kraju. Stamtąd przychodzą im rozkazy, a do czego są zdolni wobec własnych rodaków, świadczą ich krwawe rządy w Warszawie i Łodzi«... i t. d.

Niedola tego smutnego położenia pochodzi głównie stąd, że rozwój żywiołowy stosunków społecznych wymknął się nam z trybów naszej świadomości narodowej; życie mas poszło prędzej, niż nasza wiedza o niem. Życie wyprzedziło nas, a pozbawione kierunku, jaki sprawom nadaje przewidująca, wszystko ogarniająca narodowa myśl stanu, poszło w znacznej części na manowce, w każdym razie na ślepo.

Nowa ordynacja wyborcza, narzucona nam z góry, wymiarkowana pewno według lepszego gdzieś układu stosunków, zaskakuje nas nieprzygotowanych, chwyta w tryb prawnego porządku to, co niedojrzało jeszcze w naszym rozmyśle społecznym. Społeczeństwo stanęło do aktu twórczego w dziedzinie politycznej na gruncie faktu żywiołowego, nie opanowanego — i zdane jest

na los szczęścia. Nic dziwnego, że trudno nam teraz o jasną myśl i pewną decyzję.

Przyszłość dla ludzi, żyjących z dnia na dzień, bez troski o jutro, jest zawsze tajemniczą, jak posąg w Saïs; ale w śpiącej duszy nie rodzi niepokoju. Są jednak chwile, jak obecna, kiedy budzi się sumienie narodowe i robi z sobą rachunek. Wtedy pierwsze pytanie: przyszłość w nas spoczywa, z nas wyrasta; czemuż tak zupełną jest dla nas tajemnicą? A rodzący się wówczas niepokój nasz wobec zakrytego oblicza przyszłości jest niepokojem wobec siebie samych, jako żywiołu ślepego, nie ogarniętego świadomością.

Taki jest właśnie nastrój dni naszych.

— — — — — — — — — — — — — —

Na tle tego nastroju tem jaśniej występują dążności ku odrodzeniu myśli narodowej, oparte na zdrowym instynkcie samozachowawczym społeczeństwa. Warstwy, które dotąd nadawały ton życiu publicznemu, znużyły się niejako i zatraciły wątek dziejów. Przychodzi nowa generacja, demokratyczna, zasilona prądem, idącym z ludu, która na miejscu zróżniczkowanych interesów klasowych, stanowych lub zawodowych (wśród których sam »naród się zgubił«), utrwala w świadomości powszechnej jeden główny interes, podporządkowując mu wszystkie inne: interes narodowy.

Dążnościom tym najtrudniej może zapanować w dzielnicy naszej, gdzie dusza narodowa tak zasypana jest gruzem surogatu politycznego: sztucznemi ambicjami i robotami licznych stronnictw, że wśród ich pogwaru ginie głos sumienia narodowego.

Pierwszą z zasad nowej polityki narodowej, której brzask widać na naszym horyzoncie, jest »niezachwiana wiara w żywotność i przyszłość narodu, w jego prawo i zdolność do niepodległego bytu państwowego, w jego niespożyte i rosnące siły materjalne i duchowe«.

»Siły te na jaw wydobyć, zespolić i zorganizować, świadomość narodową rozszerzyć i pogłębić, poczucie jedności i solidarności narodowej wzmocnić i rozpowszechnić, interes narodu jako całości postawić ponad odrębne interesy klasowe, wyznaniowe, korporacyjne, dzielnicowe i miejscowe; samo pojęcie tego interesu narodowego uczynić coraz głębszem i wszechstronniejszem, wytworzyć silną opinję obywatelską, świadomą swego znaczenia i od żadnych ubocznych wpływów niezawisłą: oto najważniejsze obowiązki i zadania«... (z Programu stronnictwa Demokr.-narodowego).

Każde słowo z powyższych przeświadczeń Polacy zdobyli krwawem doświadczeniem oporu przeciwko zagładzie. Weszły one w podwaliny tej bu-

dowy, jaka dziś dokonywa się dla przyszłości narodowej w zaborze rosyjskim; i tu w Galicji — że są już głoszone i coraz więcej liczą zwolenników — ratują nas od zwątpienia w trudnych, jak te, chwilach.

18. GŁOS KOMENDY.

Lwów, 28 czerwca 1907.

Kiedym kilka lat temu we Lwowie podczas pamiętnego zlotu Sokołów patrzał z trybuny na plac, symetrycznie pokratkowany szeregami żywych ludzi i widział sprawność ich ruchów na głos komendy, pojąłem jedną z naczelnych idei sokolstwa. Społeczeństwo, rozproszkowane na indywidualności, czuje potrzebę odnowienia swego mechanizmu. W szeregach sokolskich uczą się ludzie elementarza ruchów zbiorowych, kierowanych jedną myślą.

Wyobrażam sobie, jaki to trud zniewolić naszych ludzi do pracy nad sobą, aby się nauczyli z a t r a c a ć s i e b i e w s z e r e g u. Bo na czem piękna składność ruchu zbiorowego polega? Na zmechanizowaniu swego posłuchu wobec komendy cudzej, która jak prąd elektryczny przebiega szeregi i udziela się nerwom ruchu każdego z oso-

bna. I to wszystko z głębokiej, wrodzonej człowiekowi społecznemu, ale nieraz zapoznawanej potrzeby wytwarzania z jednostek jednego harmonijnego ciała zbiorowego.

Widok takich ćwiczeń rodzi marzenie o społeczeństwie jednolitem, zgranem i sprawnem w wykonywaniu jakiegoś świętego głosu komendy w chwilach ważnych. Niespodzianie ujrzeliśmy w ostatnich latach takie społeczeństwo — Japonję i żal ścisnął nam serce, żeśmy kulturą swego instynktu społecznego inaczej w dziejach pokierowali. Niezgodni w kroku i w geście szliśmy przez stulecia jak gawiedź, jak tłum, gdy należało iść karnym szeregiem zorganizowanej armji.

Wszystko zależy od tego, jaki weźmie obrót w dziejach wychowanie społeczne. Człowiek źle wychowany mniema, że jest panem już przez to samo, że nie słucha komendy i że macha właśnie ręką prawą, kiedy inny macha lewą. Niewola tak źle wychowała ludzi. Zmuszano widać do ruchów, których zniewoleni nie rozumieli. Wykonywano na masach przedwczesne ruchy społeczne, zanim ogół do ich uznania dojrzał, a może niepotrzebne. Ostatecznie to zbrzydło; więc potem, gdy komenda narzucona zamilkła, ludzie używają wolności na ruch bezładny. Zatracają potem w zdezorganizowanej duszy podstawowy instynkt gromadzki, z którego wykwita dobrowolna, samorzutna zgodność postanowień i ruchu zbiorowego.

Po utracie swojej państwowości zaczęliśmy szukać wewnątrz jakich takich spoideł, któreby nas w kupie trzymały; potrzebą życia było ruszyć całym narodem na komendę. Porwaliśmy się raz, drugi i trzeci — próby były niekompletne; prąd nie miał połączeń powszechnych. Powyłączane z systemu zbiorowego życia dusze nie słyszą komendy, a gdy słyszą, nie umieją lub nie chcą wykonać ruchu zgodnego.

W takiem stanie rzeczy potrzeba długiej pracy organicznej, aby dusze na typ społeczny podhodować, to znaczy wykształcić w nich potrzebę duchową słuchania komendy *jako głosu własnego sumienia społecznego*.

Sokolstwo pod tym względem może oddać nieocenione usługi wychowawcze. I właśnie z tej strony moralnej, jako sposób ćwiczenia pierwszych władz duchowych, na których wspiera się spółżycie społeczne, powinno być w dniu święta sokolskiego ocenione.

— — — — — — — — — — — — — —

Ćwiczenie zdolności organizacyjnych polega, jak wszelkie wychowanie, na mechanizowaniu automatycznem odpowiednich ruchów. Człowiek cywilizowany wie, co o tem myśleć; nie jest to robienie z jednostki maszyny, ale owszem wyswobadzanie jej ducha do rzeczy ważniejszych. To, co jest elementarne, co musi stale i jednako być

wykonywanem, niech będzie rzeczą nałogu, ruchem automatycznym. Na tem właśnie polegają korzyści kultury, że człowiek, automatyzując się w rzeczach prostych, uwalnia coraz większą sumę energji do wykonywania przeznaczeń bardziej złożonych. Im więcej ma koło siebie spraw prostych, które spełnia automatycznie, bez wkładania w nie energji duchowej, tem więcej ma szans tworzenia rzeczy nowych. Oczywiście może być mowa tylko o szansach, bo są ludzie, nie wykraczający poza obręb ruchów automatycznych.

Wprawa — to łatwość, nałóg — to rękojmia stałości. W wychowaniu dosyć nastawić na ruch pożyteczny, a potem ćwiczyć w tym kierunku, aby jednostce umożliwić życie i społeczeństwu zapewnić z niej pożytek stały. Charakter to nałóg zachowywania się moralnego w ten, a nie inny sposób. Ktoś bez charakteru w okazji codziennej robi z siebie wahadło i nieraz masę energji spala w walce wewnętrznej o to, co czynić wypada, a to samo kto inny z »charakterem« wykona bez wahań, bez kosztów procesu wewnętrznego.

Weźmy dwu ludzi, mających przed sobą zadanie odpisania na list: jeden europejczyk, drugi nasz przeciętny inteligent. Pierwszy ani się namyśli, automatycznie, bez odkładania sprawy odpisze, drugi zacznie się rozczulać nad sobą, odłoży pisanie na potem, następnie walczyć będzie

z sobą, gryźć się na widok niezałatwionego listu, aż w końcu tak zmierzi go sobie i sam sobie zbrzydnie, że sprawa skończy się istną w duszy tragedją. Napisanie listu staje się bohaterskim wysiłkiem, ofiarą znacznego zapasu energji, podczas gdy powinno było dokonać się automatycznie.

We wszystkiem tak się dzieje w nizkiej kulturze. Na nic większego niema sił i czasu, bo rzeczy elementarne pochłaniają całą uwagę i siły, a w dodatku źle są wykonywane.

Indywidualizm nasz polega do tego stopnia na przypadkowej dowolności ruchów, że nie tylko jeden robi inaczej, jak inny, ale ten sam człowiek za każdą razą inaczej postępuje. Wydaje nam się nieraz, że to jest twórcze, bo improwizowane, gdy np. nikt na swojem miejscu rzeczy nie położy, a to jest tylko barbarzyństwo ludzi żyć nie umiejących, wytwarzających niepotrzebne tarcie tam, gdzie rzecz powinna iść automatycznie.

Człowiek złej kultury wydaje się twórczy w sprawach drobnych, a w rezultacie jest jałowym, bo w gruncie rzeczy jest tych drobnych spraw swoich niewolnikiem. Tymczasem jakiś Anglik, napozór zmaszynowany, robi nam na każdym kroku twórcze niespodzianki.

W ten sposób dochodzi się także do wielkich rzeczy w życiu moralnem i społecznem, gdy elementarne czynniki, jak karność, solidarność przestają być bohaterstwem, gdy cnota obywatelska

staje się zwykłym odruchem. Bo wtedy dopiero można myśleć o czynach zbiorowych. Japończyk, powiadają, nie zna wahania, gdy dla dobra całości wypadnie śmierć ponieść; podobno z uśmiechem, automatycznie wypruwa sobie trzewia, gdy poczuje plamę na swym honorze obywatelskim. To jeszcze u niego jest odruch. U nas spełnienie zwykłego obowiązku etycznego, cóż dopiero obywatelskiego, obwieszcza się w gazetach za bohaterstwo.

Żebrzemy łaski u ludzi oświeconych, aby wobec niebezpieczeństwa, grożącego narodowi, raczyli ponieść kartkę wyborczą do urny. Ale próżna wszelka komenda nawet żebrząca, gdy obowiązek obywatelski jest rzeczą kaprysu osobistego.

Japończyk zbiorowy przeto cudów dokonywa, bo w komendzie słyszy głos swego własnego sumienia; a my rzuconej komendy echa nieraz próżno słuchamy w niekarnym tłumie.

— — — — — — — — — — — — — — —

Cóż wart człowiek po za szeregiem? Nie ma w sobie nic, coby się nie wykształciło w życiu zbiorowem. Nie robi nic, zacoby nie płaciła zbiorowość. Obowiązany jest też społeczeństwu czystością osobistą, a cóż dopiero czystością na gruncie moralności publicznej. A tymczasem nie może być mowy o tej moralności, gdy w duszy źle działa organ zmysłu gromadzkiego.

Przypomniały mi się przed chwilą wybory. Była to znakomita próba kultury naszej.

Lwów np. wybrał sobie na posła p. B. Może tam były przekupstwa; ale wszystkiego się nie kupi. Była w tym wyborze samorzutność serca. Mam nawet gorzkie przekonanie, że p. B. pewną część Lwowa moralnie dobrze reprezentuje. Takiego sobie wybrali posła, na jakiego zasługują.

Z jakiego to okręgu moralnego posłuje p. B.? Ściślej mówiąc, kto na niego głosował? Jaki typ obywatela i człowieka? Oto pytanie, które mnie zajęło. Nie poseł mnie obchodzi, ale wyborca. Dłużej klasztora niż przeora.

Jaki to typ wyborcy — ten Lwowianin, gustujący w p. B.? Po osobie ich delegata poznacie go.

Tak się szczególnie złożyło, że ten poseł lwowski:

1) Jest Lwowianinem, postacią z bruku (nieskanalizowanego), z obyczajów i gwary — *excusez le mot*... Nie powiem, boby się obraził, a jest nietykalny.

2) Umie po polsku, wydaje nawet czasopismo w polskim języku, polski chleb je (nawet z masłem);

3) Z pochodzenia i w gruncie duszy jest Niemcem.

4) Aspiracjami społecznemi należy do międzynarodowych socjalistów.

5) Parlamentarnie należy do klubu ruskiego, jako sprzymierzeniec Rusinów.

6) Pracuje politycznie w sojuszu ze sjonistami.

7) Karjerze swojej nadaje powagi i ceny przez dobry stosunek z każdorazowym rządem austrjackim.

Siedm barw, jak w tęczy, jak w widmie.

Złe to są dla kultury narodowej czasy, gdy ludzie wybrani są jak widma tęczowe, o nieskończonej liczbie barw, od czerwonej czy fjoletowej poczynając, mieniące się żółtością, zielonością, indygo i t. p. Bo to znaczy — jeżeli zostaniemy przy porównaniu z fizyki — że ciała obywateli są przeźrocze, jak krople chmury.

Obywatel zaś oświecony powinien mieć w sobie coś niecoś c i a ł a s t a ł e g o, chłonącego w siebie promienie i sam być źródłem światła i ciepła.

Więc zapytam się, któż to jest nasz obywatel, dający w projekcji na ekranie naszych niebios politycznych posła-widmo, bez swoistej barwy narodowej? Cóż to za formacja dziejowa, czy deformacja?

Możnaby studjum pisać historyczne o kulturze wschodnio-galicyjskiej i pokazać, skąd doszliśmy do typu obywatela, któremu »absolutnie wszystko jedno«, a nawet któremu przyjemnie jest nie poddawać się trybowi czucia i myślenia narodowego. Ale metoda historyczna wiodłaby nas da-

leko; weźmy sobie lepiej jedną typową duszę pod mikroskop i przyjrzyjmy się jej.

Spostrzeżemy, że taka dusza, której »absolutnie wszystko jedno, a nawet itd.«, nie jest sformowana dostatecznie do funkcji życia publicznego. Czy nie dorosła do tego poziomu? Kto tam wie! Może zwyrodniała, zdziczała. Znamy słabość niedojrzałości i słabość degeneracji. Znamy kwiaty nierozwinięte i przedwcześnie zwarzone, owoce niedojrzałe i robaczywe. Wszystko to nieużyteczne. Niedojrzałość ma przynajmniej wdzięk świeżości, rokuje przyszłość.

To jednak, co dla przykładu przytoczyłem o wyborze B. we Lwowie, nie ma wdzięku akcji, jakiej dokonywa niedoświadczony, zapalony, młody lud, ale niestety ma cechy robaczywości i zgnilizny.

Obywatel robaczywieje od serca, w sumieniu publicznem, w tym rdzeniu, które się nazywa moralnością. Gusta wyborców zetknęły się nie na gruncie politycznym, ale na poziomie niemoralności publicznej, wspólnej wszystkim warstwom. Za B. głosowali zarówno niedojrzali politycznie prostacy, jak i zrobaczywieli w życiu publicznem inteligenci. »Robak się lęgnie i w bujnem kwiecie«. Dziecińswo podobnie się objawia, jak i zdziecinnienie, pierwotność — jak i zdziczenie. Jednych trzeba wychowywać, drugich — leczyć.

Ludność stolicy kraju, głosująca na siedmiobarwnego posła dlatego tylko, że wypróbowany jest

jako siła w rozbijaniu jedności narodowej, ludność, poszukująca sposobu zrobienia na złość społeczeństwu, nie może mieć nic wspólnego z ideą sokolską. Bo ta idea — to uznanie nad inne dobra społeczne solidarności i karności. Ideę sokolą rodzi miłość ku własnemu społeczeństwu, pragnienie wytworzenia ze swojej zbiorowości twórczej potęgi.

19. BIUROKRATYZM.

Lwów, 28 wrzesnia 1907.

W ostatnich czasach mieliśmy parę katastrof kolejowych, z których jedna dosięgła europejskich, nawet amerykańskich rozmiarów. Jednocześnie odbywają się procesy we Lwowie i Stanisławowie o malwersacje. Jednem słowem sfery kolejowe dostarczyły dziennikom sporo tematów sensacyjnych. Prasa jednak nie czuje się tak dalece zobowiązaną względem kolejarzy za te tematy, aby miała sobie uważać za nielojalność wypowiadanie z tego powodu pewnych uwag krytycznych. Inaczej pojęli nasz obowiązek urzędnicy kolejowi, wyprawili bowiem do wydziału Towarzystwa dziennikarzy deputację z memorjałem, w którym wyrazili swoje niezadowolenie z prasy i wskazówki, jak ona ma się nadal zachowywać. Tow. dziennikarzy uznało za stosowne odezwę tę rozesłać okólnikiem do re-

dakcji, jestem więc w możności przytoczenia na próbkę paru maksym:

»Podobnie jak jednostka, tak i ogół podlega pewnym psychicznym nastrojom.

»Spokojna rozwaga jest zawsze niezbędną przy wydawaniu jakiegokolwiek sądu, jeżeli on ma być objektywnym, bez różnicy, czy sąd ten wydaje jednostka, czy bardziej jeszcze wówczas, gdy ze sądów jednostek pod wpływem psychologji tłumu w sposób prawie nieuchwytny wytwarza się opinja publiczna.

»Prasa pośredniczy pomiędzy jednostką a ogółem, jest wyrazem opinji publicznej, ale ma też przed sobą wielkie zadanie kierowania tą opinją.

»Więc gdy namiętności huczą, ona powinna i może je miarkować, a gdy pod wrażeniem jakiej wielkiej klęski społecznej w sercach obawa i zwątpienie się pleni, ona przy dobrej woli dźwiga upadającą odwagę i dodaje przerażonym jednostkom otuchy...«

Urzędnicy kolejowi skarżą się dalej w memorjale, że jakiś dziennik, »biorąc asumpt z kilku sporadycznych nadużyć, uznał to za dowód zgnilizny całej naszej administracji, piętnując ją nadto zarzutami niedołęstwa, niesumienności i dezorganizacji«.

Niewiadomo, jaką drogą myślową dostał się do memorjału frazes, że »prasa stwarza sztuczny rozłam między obywatelami a urzędnikami kolejo-

wemi«. Sam fakt krytyki dowodzi, że prasa chce przykładać do urzędników tę samą miarę, co i do innych obywateli; bo gdyby ich uważała za coś poza społeczeństwem, co nie ulega wpływowi organów opinji, toby krytyka była zbędna.

Wogóle jest w tem jakieś nieporozumienie, — maleńki konflikt biurokracji z opinją publiczną.

— — — — — — — — — — — — — — —

Zdanie każdego z osobna urzędnika mogłoby indywidualnie być dla prasy i w tej sprawie cenne. Ale co ma do powiedzenia o prasie i jej obowiązkach korporacja 40.000 urzędników w osobie swoich delegatów? We właściwszej roli znajduje się prasa, pisząc o kolejnictwie, niż kolejnictwo, pisząc o prasie. Otóż deputacja wzięła tę mniej właściwą rolę na siebie. Prasa niczego nie chce od korporacji urzędników kolejowych, opinji chodzi o co innego: o maszynę samej gospodarki kolejowej. Za stan tej gospodarki odpowiadają nie urzędnicy korporacyjnie, lecz zarząd. System raczej jest krytykowany, duch roboty.

Wystąpienie urzędników jako korporacji jest nie na czasie i nie na miejscu, ale jest bardzo charakterystyczne. Owa nadwrażliwość naskórka zawodowego jest właśnie dowodem chorobliwości naszych stosunków, pochodzącej mojem zdaniem ze zbiurokratyzowania społeczeństwa. Dziś nie nie można już mówić o najżywotniejszych spra-

wach, dotyczących społeczeństwa, aby się nie natknąć na interes zawodu, który nad społecznym góruje. W normalnem społeczeństwie zawody i stronnictwa są pośredniemi ogniwami między jednostką a ideą interesu powszechnego; u nas porządek tych ogniw stał się inny. Zawody podzieliły się terenem spraw społeczeństwa i nie pozwalają wytykać dróg publicznych. Biurokracja uważa dział swojej pracy za swoją dziedzinę, do której opinja publiczna wtrącać się nie ma prawa.

Zbytnie to uproszczenie socjologiczne. Gdybyż to była tylko teorja, ale to już fakt społeczny, bardzo groźny dla społeczeństwa, a nawet dla państwa. Austrja cała tak przerośnięta jest w każdym kawałku biurokracją, że już więcej jest w tym organizmie ścięgien biurokratycznych, niż krwi społecznej. Potworzyły się nowe ośrodki czysto biurokratycznego myślenia, jakby całe społeczeństwo rozdane było dykasterjom i korporacjom. Tak się odbywa postęp według spencerowskiego prawa ewolucji: naprzód całkowanie, potem różniczkowanie. Tylko że całkowaniem była sztuczna centralizacja biurokratyczna, więc i różniczkowanie odbywa się na tymże terenie biurokratycznym: wytwarzają się nowe ogniska skupień, w tym wypadku korporacyjnych według zawodu.

Urzędnicy kolejowi w memorjale swoim słusznie upominają się o względy należne im jako obywatelom i tylko jako z obywatelami przystoi nam

mówić z niemi. Ale właśnie, jako obywatelom, powiedzieć musimy: nie przeciwstawiajcie wy się sami społeczeństwu.

Fakt służenia na kolei nie uprawnia do przemawiania w imieniu kolejnictwa w sprawach, które równie dobrze obchodzą każdego innego obywatela, ani też nie stwarza obowiązku brania odpowiedzialności za ogół pracowników poza szrankami ściślejszego życia towarzyskiego i koleżeńskiego.

Jak łatwo pojęcia społeczne przewrócić do góry nogami, w miarę jak się samemu wylata z równowagi, miałem sposobność przekonać się o tem niedawno na naszej poczcie.

Chodziło o telegramy zagraniczne, zamówione na godz. 12 loco Lwów. Doręczano nam je w redakcji o godz. $1^1/_2$. Co za przyczyna? Wysyłane są o 10-tej rano, a odbierane z aparatu o 12-tej; oznaczone to jest ołówkiem na każdym telegramie. A tymczasem droga z poczty do redakcji — paręset kroków — kosztuje $1^1/_2$ godziny.

Telegramy są już niezdatne do użycia, bo numer na maszynie, a stąd strata wielka i dziennikarska, i kupiecka.

Idę osobiście do telegrafu i proszę: rzecz ważna, kosztowna, obmyślcie sposób doręczania szybszy! Jeżeli nie macie roznosicieli poddostatkiem, powiedźcie, a ja sam przyjdę o 12-tej i telegram zabiorę. Urzędnik odburknął:

— Nam wszystko jedno, roznosiciel musi czekać, aż się uzbiera telegramów i roznosi po kolei.

— Panie, ale nasze telegramy nie cierpią zwłoki. Widzi pan, każdy kosztuje koło 15 koron. One stają się nieużyteczne.

— Cóż to mnie może obchodzić! To nie trzeba płacić tyle.

Te szańce biurokratycznej obojętności oburzyły mnie do żywego.

— Więc jak pan sobie wyobraża, czy telegraf jest dla was, czy dla publiczności?

— Telegraf jest władzą, jak każdy urząd.

— A ja panu dowiodę, że tak nie jest.

— Nic mi pan nie dowiedzie. Tak być musi...

Poszedłem użalić się wyżej; obiecano wiele, ale nazajutrz telegram tak samo szedł z ul. Słowackiego na Chorążczyznę $1\frac{1}{2}$ godziny i był spóźniony. Przekonałem się, że tak być musi i redakcja zrzekła się telegramów z tego źródła, oczywiście z krzywdą ogółu czytającego.

A czy urzędnik kolejowy nie uważa się też za władzę? Proszę sobie przypomnieć, jak to było na dworcu we Lwowie po katastrofie pod Bukaczowcami. Delegaci dzienników, którzy mieli zadanie poinformować ogół o rozmiarach klęski i powiadomić przez dzienniki, kogo spotkało nieszczęście, zostali potraktowani jako natręci, którzy się mieszają do »spraw kolejowych«. Gdy jeden z nich opo-

nował, urzędnik kolejowy, jako »władza«, wezwał policjanta i polecił go aresztować.

Społeczeństwu w końcu nie pozostanie odrobiny praw, bo wszystkie przejdą na zawody, które w duchu biurokratycznym rozbiorą między siebie całą powierzchnię spraw społecznych. A że nikogo niema bez jakiegoś zawodu, więc chyba wszystko się rozsypie. Cóż zrobi sam kolejarz, gdy mu odmówią praw sądzenia o poczcie pocztowcy, o bezpieczeństwie publicznem policja, o zdrowotności miasta lekarze miejscy? Wtedy będzie bardzo źle. Pozostanie im chyba tylko mieszkać w wagonie i jeździć po linji. Ale wtedy, gdy takie będzie pojmowanie praw i obowiązków społecznych, nie długo będzie tego jeżdżenia. Katastrofy będą już zjawiskiem stałem i kolejarze wyginą...

Oto przyszłość karykaturalna ideałów biurokratycznych.

— — — — — — — — — — — — — —

Czyż nie widać jasno tego, że grzyb biurokratyzmu toczy całą naszą budowę społeczną? Jestem mocno przekonany, że *wszystkie* nasze organy służby publicznej źle funkcjonują, wszystkie są w rozprzężeniu, bo żadnemu nie przyświeca bezpośrednio idea pracy społecznej, wszystkie zaś są zbiurokratyzowane, to znaczy ideał fachu, zawodu, korporacji stawiają ponad społeczeństwo. Nic tych organizacji biurowych nie ożywia, wszędzie kwie-

tyzm, apatja, brak względów na życie dokoła. Bo zdają się już nam, gdy wszyscy jesteśmy jakiemiś urzędnikami, że my urzędnicy jesteśmy celem życia społecznego wogóle.

Nie wiem, jak na tem wyjdzie Austrja; zdaje się, że na biurokrację właśnie trzaśnie, rozlezie się. Ale gdy się myśli o własnem społeczeństwie, wtedy prawdziwy strach zbiera. Zanim się odniemczymy, odruszczymy itp., żeby dojść do siebie, przedewszystkiem będziemy się musieli odbiurokratyzować, bo to najgłębiej nam w krew weszło.

Czy nie widzicie, że nasze dzieci już są biurokratami, że one są urzędnikami, obrabiającemi formalnie naukę pod kierunkiem zbiurokratyzowanych nauczycieli? Czy nie widzicie, że chłopiec, jeśli się szczęśliwie urodził, w domu jakkolwiek ustawionym społecznie, to on już całe życie nie spotka się z koniecznością najmniejszego wysiłku moralnego czy umysłowego? On już będzie całe życie awansował, płynął, zaledwie ruszając pletwami. Mechanicznie przejdzie normałkę, awansować będzie przez gimnazjum prawem odsiadywania lat, to samo uniwersytet, gdzie dostanie stypendjum. I nigdzie wysiłku: potrzebna mu tylko cierpliwość. Dwa razy go od egzaminu odpalą, trzeci raz go puszczą, bo uczniowie są cierpliwsi od nauczycieli, którzy wreszcie muszą spuścić z wymagań.

Wymagania nie rosną u nas, lecz maleją. I to jest zasadniczy rys naszej biedy. Od nikogo niczego nie wymagać, a przeto nikt od ciebie wymagać nie będzie.

Więc potem, gdy młodzieniec mechanicznie wszedł na tor posady, idzie dalej przez życie, jakby stał na chodniku ruchomym, który z nim się obraca. Tylko cierpliwość potrzebna. Przetrwać 35 lat — i emerytura do końca życia.

Zbędne są wysiłki, emulacja, talenty, wiedza, praca; jedzie się jak na windzie — a rangi tem różne od pięter, że cyfry w górę się zniżają. Aby się tylko nie zaczepić, a na to najlepszy środek nikogo się nie czepiać. Pobłażliwość — zasadą.

I to właśnie rozprzęga wszystkie nasze organizacje i prace. Mojem zdaniem w tej atmosferze powszechnej pobłażliwości i sobkostwa doszliśmy już do takiego zwyrodnienia moralnego, że praca zorganizowana staje się niemożliwą na żadnem polu. Brak już poprostu charakteru do spełniania jakichkolwiek obowiązków. Bo obowiązkiem w pracy zbiorowej jest nietylko słuchać, ale trzymać innych w posłuchu. A nam to ani w głowie. Zamiast słuchania — udawanie płaskiej pokory, aby było czem pęcznieć zwierzchnictwu; ale posłuchu niema dla tej prostej przyczyny, że nikt go nie wymaga.

W tych warunkach nie może być mowy o spraw-

ności pracy; wszelka kontrola, wszelkie wymaganie jest czepianiem się i narażaniem. Im prostsza robota, tem liczniejsze rzesze wykonawców, a w dzisiejszem, uproszczonem pojmowaniu mechanizmu społecznego liczba jest siłą, jedynie liczba. Jak według memorjału omawianego opinja publiczna musi zamilknąć o kolejnictwie, bo tam pracuje 40 tysięcy urzędników, tak samo zwierzchność pobłażać musi podwładnym, bo tych jest kupa. W każdej pracy zbiorowej potrzebny jest charakter, pewnego rodzaju odwaga cywilna, zdolność narażania się, bo wszędzie pokonywać trzeba tarcie lenistwa, bezmyślności lub złej woli. Gdy tego charakteru zabraknie, biada robotom, biada społeczeństwu!

I to już poszło. Dziś choroba, o której mówię, nie jest wyłącznie kwestją biur rządowych, czy prywatnych. Weszło to już w krew całego społeczeństwa, które ideał biurokratycznego do spraw społecznych stosunku uznało za dogodny dla siebie.

Nikt nie ma nic do poświęcenia z siebie na rzecz s p r a w y, jakiejkolwiek sprawy szerszej, nawet dla idei doskonałości roboty. Niechby idea sztuki dla sztuki była bodźcem, ale i to nie. Nikomu na niczem nie zależy, nikt niema do ofiarowania wysiłku nerwowego, cóż dopiero przykrości osobistej, dla idei, oprócz chyba idei spokoju osobistego.

To samo w biurach, to samo w życiu prywatnem i w wolnych stosunkach publicznych. Choroba ta objawia się jaskrawiej w takich instytucjach, jak koleje i poczta, bo te organy z natury rzeczy są pod kontrolą bezpośrednią publiczności, w istocie swojej są upaństwowionemi dla korzyści finansowych funkcjami kupieckiemi. Ale choroba ta jest wszędzie.

Proszę przeczytać ostatnie doniesienia o śledztwie w Stanisławowie. Okazało się, że delegowany do szkontrum kasy urzędnik, zobaczywszy nadużycie funduszów, zawiesił swoją pracę i pokrył wyniki milczeniem. Nie miał odwagi iść dalej. Po co się narażać kolegom? To siła; złodziejstwo jest siłą. Kto wie, czy nie zaczynamy nabierać szacunku dla złodziejstwa, jako dla zawodu? Musiano do śledztwa w Stanisławowie przeznaczyć urzędników z innych dyrekcji, bo tu koleżeństwo nie pozwoliłoby na bezwzględność szukania prawdy.

Straszne położenie! Trzeba się nad tem zastanowić, co stąd grozi wogóle organizacji społecznej, już nie tylko zawodom, jeśli zostaniemy bez krwi moralnej, jak szkielety? Proszę się przyjrzeć kronikom sądowym jak zanikło w społeczeństwie poczucie występku, poczucie kanalji. Na sądy przysięgłych nie można już liczyć, że zbrodnię nazwą zbrodnią, że będą miały odpowiednią na to miarę czynu i odwagę stwierdzenia: tak, winien.

Nikt nie jest winien niczemu. Większość zbrodniarzy się zapiera, brak dowodów: opinja nie może zdaleka sądzić; ale tyle przecież mieliśmy procesów, na których oskarżony nie mógł winy zataić, fakty były udowodnione. A jednak sędziowie orzekali: nie winien.

Za każdym takim werdyktem sędziów przysięgłych wstrząsa się sumienie społeczeństwa w jednostkach wrażliwszych. Jawi się przed oczy wspólnictwo publiczne w zbrodniach całego społeczeństwa, które niema już widać moralnej odporności, przestaje na zło reagować.

— — — — — — — — — — — — — —

Społeczeństwo rządzić się musi nietylko przez namiestnictwa, ale w każdej swojej komórce moralnym wysiłkiem na rzecz jakiejś idei wspólnego dobra. Bez wysiłku, bez uszczerbku spokoju osobistego nikt obowiązku publicznego nie spełni, nawet na najniższym szczeblu zajęć. Formalistyką całe społeczeństwo od obowiązków wyłgiwać się nie może pod grozą utraty zdrowia i życia.

Trzeba wydobyć z siebie ducha obowiązku, który z ofiary się rodzi, ale przez to jest twórczy i żywot społeczeństwu zapewnia.

20. TRZEBA CHCIEĆ ŻYĆ.

Kosów, 23 lipca 1907.

Gdybym był lekarzem, byłbym hygjenistą i zwolennikiem naturalnego leczenia, a chcąc położyć piętno ducha czasu na zwołanem do Lwowa zjeździe lekarzy i przyrodników, zgłosiłbym referat pt. »Powrót do natury, jako czynnik odrodzenia narodowego«. Nie tylko jednak nie jestem lekarzem, ale nawet widzieć nie mogę w mieście twarzy czcigodnych pracowników na tych zjednoczonych polach naukowych, którzy do Lwowa zjadą z prowincji, oraz z innych dzielnic polskich.

Jako dziennikarz na wakacjach, straciłem wątek aktualności, to samo jednak, że przebywam »na łonie natury«, czyni dla mnie ten zjazd rzeczą wyjątkowo aktualną.

Czuję w powietrzu pewien zwrot opinji przeciwko dotychczasowym metodom lecznictwa na rzecz leczenia naturalnego, widzę objawy wolno-

myślności w rzeczach, dotyczących zdrowia i choroby. Wiąże się to z całokształtem przeobrażających się dzisiaj poglądów na obowiązki człowieka wobec siebie i społeczeństwa.

Zawód lekarski dawniej przywiązany był do kapłaństwa; kapłan pogański sprawował sam obsługę koło ciała i ducha swoich wiernych. Zawody te w chrześcjaństwie zróżniczkowały się. Piecza o duszy ludzkiej poszła odmiennym trybem, przeciwstawiającym w zasadzie interesy ducha interesom ciała. Zawód lekarski stał się świeckim, ale nie można powiedzieć, że zatracił wszystkie cechy kapłaństwa. Owszem, jako uprzywilejowani, niemal wyłączni znawcy ciała i jego opiekunowie, lekarze byli dla nas zawsze w pewnym stopniu cudotwórcami. Im lekkomyślniej traktowaliśmy zdrowie, im większy przedział kładliśmy między duszę i ciało, im abstrakcyjniej patrzyliśmy na doczesność życia, tem większą rolę grał lekarz, jedyny człowiek w potrzeby naszego ciała wtajemniczony.

Całkiem wyraźnie każdy na sobie może to stwierdzić, jak dalece słabnie nasz instynkt samozachowawczy w mieście, gdy czujemy lekarza pod bokiem.

Na niego zdajemy troskę o swoje zdrowie, chwili jednej nie poświęcając na myśl o środkach zapobiegawczych przeciw chorobie. To też, nieświadomi swego stanu i potrzeb, przy lada niedomaganiu w panicznym strachu biegniemy do lekarza.

I to dopiero nazywa się czynem samozachowawczym. Szlachetny, życiodajny instynkt zastąpiliśmy negatywną, odruchową tchórzliwością; nie stać nas na zapobiegliwy, stały wysiłek, nie obcy w tych sprawach niższym stworzeniom, nie wyzutym z instynktów.

Sądzę, że przyjdzie czas takich zjazdów lekarskich, na których będą roztrząsane sposoby przerobienia sztuki lekarskiej ze specjalności od chorób na specjalność od zdrowia. Wtedy lekarze byliby stałemi doradcami bliźnich w sprawach zdrowia, ratowaliby ich w nieszczęściu; ale zasługą ich, odpowiednio honorowaną, byłoby niedopuszczanie do choroby. Okres długiego zdrowia byłby wówczas najkorzystniejszy nie tylko dla pacjenta, ale i dla lekarza. Nie jest to oczywiście możliwe dziś, gdy jednostka się chlubi ignorancją w sprawach zdrowia i samobójczą sił rozrzutnością.

— — — — — — — — — — — — — —

W księdze praw Manu powiedziano: »Niema nic czystszego nad światło słońca, cień krowy, powietrze, wodę, ogień...« W księdze starego, mojżeszowego Zakonu i w księdze nowego brak tej nuty szczerego dla natury uwielbienia; instynkty nasze, pojone pogardą do ciała i natury, pomyliły drogę naturalnego rozwoju i zeszły na manowce. Dzisiejszy filister, stworzenie podrobione, od pięty do czuba falsyfikat natury, gdyby umiał się mo-

dlić, stworzyłby nowe suplikacje: »Od słońca, powietrza i wody zachowaj nas, Panie!«

Ciałem można pogardzać z dwu powodów: albo z nadmiernego kultu ducha, kiedy się go uważa za coś wrogiego ciału, albo wogóle z pogardy do siebie. Cóż z tego, że wypiszemy na licowej stronie domu swego: »zdrowa dusza w zdrowem ciele«, skoro nam na zdrowiu duszy nie zależy? Hasło to powtarzamy za grzecznemi dziećmi według wzorków do kaligrafji, ale nie rozumiemy jego znaczenia. Bo rzeczywiście — błędne koło: co niezdrowej duszy po zdrowem ciele, lub niezdrowemu ciału po zdrowej duszy?

Całe nasze życie — mówię o warstwach oświeconych — jest odmętem fałszu, w którym pogrążeni sami swoich słów rozumieć nie możemy. Piękne hasła w rodzaju powyższego, dziś już martwe, puste wyrazy, chętnie powtarzane dla ich zwięzłości we wzorach do kaligrafji, rodziły się w duszy, jak przykazania, wtedy, gdy człowiek choć jedną nogą stał na gruncie prawdy.

Co jest życie? Jak to wytłumaczyć wychowańcom naszych szkół? Kto im to będzie tłumaczył, skoro zapomnieliśmy, jak życie wygląda, na czem się ono zasadza! A pogoń za życiem trwa, nawet przyspiesza się. W gorączce, podsycanej chwytaniem surogatów życia, nie zdajemy sobie sprawy, jak dalece, jak tragicznie jesteśmy biedni.

Szukamy pełni życia, a nie wiemy już, na

czem ono polega, szukamy jej na zewnątrz siebie, rozbijamy sobie głowy, goniąc za nią w ciemnościach, a jesteśmy coraz od niej dalsi.

Zapomnieliśmy o sobie, jako źródle życia. W pogoni za życiem, zgubiliśmy siebie.

Upośledziliśmy w sobie wszystko, co jest w nas naturą, co jest instynktem naturalnym życia, jego siłą popędową i jego mocą twórczą.

Cywilizacja nasza popełniła na nas parę błędów. Ukazała nam drogę życia w jednostronnym rozwoju ducha, jako dziedzinę od natury niezależną. Zdało jej się, że duch — to intelekt, a wytworny duch (od święta) — to intelekt, dostępny wzruszeniom estetycznym. Tędy poszło nasze wychowanie duchowe. Więc szkoły stały się fabrykami wiedzy tylko. Dzieciom nie mamy nic innego do powiedzenia, jeno: ucz się. Wiedzieć (nawet nie umieć) — oto cała mądrość, w którą możemy uposażyć dzieci na drogę żywota. Tymczasem nie ładunek wiedzy martwej rozstrzyga o losach życia, nie bengalskie oświetlenie wyobraźni poetyckiej nadaje życiu wartość; walka o życie rozgrywa się na innym zgoła terenie duchowym. Decyduje tutaj najgłębszy podstawowy czynnik biologiczny: ENERGJA życia z jej pochodnemi władzami psychicznemi w zakresie popędów i pożądań, oraz moralnemi w zakresie woli uspołecznionej.

Stąd wyrasta człowiek żywy, pragnący czegoś,

do czegoś dążący, twórczy, czynów żądny, porywający za sobą. Stąd obywatel, bohater, wódz, prometeusz. Stąd droższy od »nadludzi« — c z ł o w i e k codzienny, świadom swej mocy i dostojeństwa ludzkiego, żyjący całokształtem władz duchowych.

Zdrowie — energja — żądza życia — wola: oto kręgosłup, podstawa organizacji duchowej. Wszystko inne jest temu przydane. Intelekt i wyobraźnia poetycka z organizacji, mającej ów kręgosłup w porządku, same wyrastają, jak skrzydła, i wtedy dopiero posiadają moc dźwigania człowieka nad poziomy. Inaczej te skrzydła wykonywują nadludzki, złudny ruch za życiem, człowiek zaś pełni jego nigdy nie zazna.

Żeby m ó d z żyć wielkiem życiem, nie dość jest w i e d z i e ć, jak inni żyli, nie dość u m i e ć formułki techniczne, nie dość widzieć poetycko życie natury, jako coś poza sobą, — trzeba c h c i e ć żyć bujnie. Wszystko inne, nieoparte na mocnym, uświadomionym instynkcie życia, jest abstrakcją; żądza życia pełnego w ramach osobowości jednostkowej i społecznej — to jedyna rzecz pozytywna jaką mamy.

Wszystkiemi drogami dochodzą dzisiaj umysły światlejsze do wyczuwania tej prawdy. »Najprawdziwszą istotą — mówi monachijski Lipps — najistotniejszem przeznaczeniem człowieka jest realizowanie własnej treści, rozwijanie i potęgowanie

sił własnych, mnożenie własnego bytu. Rozrost i podniesienie życia ludzkiego ducha — oto istota wartości, oto absolutna wartość«...

— Słyszeliśmy coś o tem — powie mi czytelnik — ale jak się to wiąże z zasadą zdrowego ciała i zdrowej w niem duszy?

— A no tak się wiąże, że człowiek dzisiejszy etyki tego rodzaju nie posiędzie teoretycznie, lecz musi się wpierw z instynktami swojemi, nie tylko z intelektem odpowiednio policzyć. Potrzebna jest dla osiągnięcia pełni osobowości energja żywotna, zdrowie fizyczne. Arystokracją ducha mogą być tylko ludzie, szanujący siebie, jako warsztat twórczy. Rozwydrzeni intelektualiści, mistycy, poeci dekandenci, dbający o chwilowy sukces wyobraźni, drogą powolnego samobójstwa przez szarpanie nerwów dochodzili do pożądanych przez siebie rezultatów. Ale pełni życia nie da się osiągnąć inaczej, jak przez wysunięcie na czoło władz duchowych najszlachetniejszej z żądz — żądzy życia.

Tu jest konieczny powrót do natury. Odnaleźć musimy w sobie zaniedbany instynkt samozachowawczy i powiedzieć sobie wyraźnie, jak przystoi ludziom oświeconym w tym wieku, że między duchem a ciałem niema granicy, że przeto dbałość o zdrowie fizyczne nie tylko w czasie wakacji nam jest dozwolona, ale obowiązuje nas stale.

— — — — — — — — — — — — — —

Wytworzyć z siebie dzielną osobowość — to jest pierwszym obowiązkiem i jednostki i narodu. A nie dojdzie do tego ani jednostka, ani społeczeństwo, jeśli nie będzie traktować życia jako całości syntetycznej, jako spójni organicznej między funkcjami ciała i ducha.

Życie jest jedno, nieśmiertelne przez twórczość duchową, przechodzącą w nieskończoność na pokolenia. Pokolenia bez instynktów żywotnych ciągłość tę przerywają: ani tworzą, ani dziedziczą.

Sprawy narodowej nie rozwiązują ani intelektualiści, ani poeci; oni ją mogą tylko poruszyć. Wyprowadzają naród z niedoli ludzie czynu, dla których ostatecznym i wystarczającym argumentem sprawy jest żądza życia pełnego. Do takiego pędu życia nie dochodzi się mędrkowaniem, choćby najuczeńszem; nie dosyć też jest wyśpiewać duszę: trzeba tę żądzę przerobić na czyn. A w czynie wola życia niech idzie przodem!

Ludzi całkowitych, górujących nad narodem nietylko kulturą umysłu i serca, ale poczuciem siły i żądzą życia pełnego, dochować się można przez odpowiednią uprawę władz woli, poczynając od źródeł naturalnego instynktu życiowego. Ci ze zdrową duszą w zdrowem ciele, ród swój wiodący od Natury, będą naszą arystokracją.

Precz więc z fałszem, precz z dualizmem ducha i ciała! Niechby każdy zjazd uczonych przy-

rodników był protestem przeciwko temu rozbiorowi jednostki, skazującemu ją na bezsilność.

Powrót do natury — to odnajdywanie przez człowieka siebie samego, to pokłon człowieka przed sobą samym, przed swojem dostojeństwem ludzkiem, jako najwyższą reprezentacją natury. Bo człowiek jest węzłem, który wiąże przyrodę ze światem nadorganicznym społeczeństw i dzieł ducha. Powszechna żądza życia staje się tutaj świadomie kierowaną w o l ą ż y c i a — niezmożonym czynnikiem istnienia, rozwoju i zwycięstw.

21. DO SŁOŃCA!

Kosów, w sierpnia 1907.

Najdobrotliwsze, serdeczne słońce. Podłożywszy pod głowę zdjęte ubranie, osłaniam oczy od promieni i grzeję się. Poddaję się słońcu z wiarą, że to, co wszyskiemu życie dało — i takie piękne życie — odrodzi mnie. Słodycz ciepła przenika ciało, myśl zrzeka się ruchu na rzecz uniwersalnej pracy duchowej w przyrodzie...

Po kwiatach koniczyny potrzaskuje konik polny. Trawy i drzewa chwieją się od wiatru. Oblatuje mnie oddechem ziemi jego podmuch ciepły i wonny, otula ciało przeczystą tonią powietrza. Odkąd matka usypiała mnie w swem objęciu, nie było mi tak dobrze.

Jestem tu swój, nie dziwią mi się drzewa, które, przemagając siłę ciążenia, wybiegają od ziemi ku słońcu... Czy jest na świecie co piękniejszego od drzew? Nanowo przyglądam się im i zdaje się

pierwszy raz wzrusza mnie ich piękno: kobiecy urok brzozy, muskularność grabu o żelaznym pniu, skromność leszczyny, nawet wrażliwość osiki, drżącej talarkami liści.

Przeczysta i soczysta ich zieleń tworzy z tłem lazuru najnaturalniejsze zestawienie barw. A jednak nic podobnego nie uszłoby w świecie kultury estetycznej. Ktoby z t. zw. ludzi smaku ubrał się w ten sposób?

— — — — — — — — — — — — — —

Z mego samotnego wzgórza przez koronkę gałęzi, gdy się wpatrzeć, widać po drugiej stronie doliny drogę. Poznać ją łatwo po ruchomych plamkach przechodniów, których czyste powietrze dziwnie zbliża dla oka.

Oto huculi ciągną z gór. Połyska, jak złoto, żółty zawój na głowie kobiety, jarzy się czerwień spodni hucuła. Kobieta siedzi na koniu, założywszy nogi na sakwy, któremi koń objuczony. Mijają jak widmo. Oto znowu koń, objuczony górami nowych konwi. Jakiś bednarz dostawia towar do miasta. Szedłem kiedyś za takim huculskim konikiem z konewkami i do dziś mam w uszach rytmiczne ich skrzypienie. Kołysze się to na koniu miarowo i skrzypi monotonnie, nawet smutnie. Bo mimowoli widok tego towaru nasuwa refleksje ekonomiczne. Bednarz odda go za byle co pośrednikowi; ten dopiero zarobi.

Wogóle hucuł zarobkujący, hucuł sprzedający, pożyczający — to jakieś nieporozumienie dla hucuła z góry niekorzystne.

»Dla hucuła niema życia jak na połoninie...« — tak się jeszcze śpiewa popularnie. Ale i tam podmywa go potęga nowego życia ekonomicznego, którego on nie rozumie. Na połoninie żydzi robią już masło i bryndzę. Za kawałeczek sera turysta płaci jak w mieście, chyba że trafi na szałas huculski; — tam podejmowany będzie gościnnie, hucuł grosza od niego nie weźmie.

Za to hucuł bardzo jest malowniczy, zręczny i odważny. Ktoby potrafił wiązać tak tratwy, jak on, i spadać po nich Czeremoszem z Burkutu po pas w wodzie wodospadami?

Tak. Ale po równej rzecze spławiają teraz drzewo żydzi także. Może nie tak wdzięcznie.

Wszystkiego można się nauczyć...

Pytałem się raz na wycieczce proboszcza, skąd się wzięły osobliwe wśród hucułów stosunki, że grunty i połoniny przechodzą w ręce żydów. Ni to dzierżawa, ni zastaw. Gazdowie biorą gotówkę jakby tytułem tenuty dzierżawnej, to znów pensji rocznej, a zawsze na to wychodzi, że owa gotówka jest pożyczką. Plony, zbierane przez żydów, liczą się na procenty, kapitału hucuł nigdy nie spłaca — i ziemia przechodzi wkońcu do żydów.

Otóż to. I huculi nie rozumieją, jak się to dzieje. Sprawa jest trudna. Hucuł pragnie ziemi,

ale lubi używać, nęci go gotówka. Zasady i niebezpieczeństwa procentów nijak zrozumieć nie może. Całe życie coś spłaca w naturze — zbożem, krowami, a w końcu gdy dojdzie do sądu, pokazuje się, że kapitał pożyczony nie zmniejszył się. Wszystko jedno, czy się zacznie od 20 guldenów, czy dwustu...

A przytem — opowiada ksiądz — takie przejście własności do żydów bywa starym gazdom nieraz na rękę. Poprostu szukają u żydów opieki. Stosunki w rodzinie bywają przykre. Dzieci czekają na schedę zbyt niecierpliwie; starzy żyją dla nich za długo. Bywa tak, że stary gazda, który ma grunt, wprost obawia się dzieci. To nie żarty, bo (uważa pan — tu ksiądz oko przymrużył) oni tu znają takie zioła, że stary ani się obejrzy, kiedy mu się słabo zrobi. To też, jeśli źle w domu, to gazda woli zrzec się gruntów — żyd mu płaci pensję i jest spokojny. Ma na tytoń, rodzina pracuje cierpliwie...

Mój syn dziesięcioletni przyjaźni się z Wasylem, czternastoletnim synem sąsiada; wysłuchuje jego zwierzeń, między któremi była też historja ziemi jego ojców. Obaj radują się, że rodzice Wasyla, mający dziś prawo tylko do chaty z ogródkiem, za rok odzyskają i grunta, uprawiane teraz przez żyda. Aż mi przykro dzielić się ze swojemi wątpliwościami.

Wasyl jest chłopcem miłym i szlachetnym

w obejściu — wszyscy go lubimy. To też podwójną przykrość sprawiło nam to, co opowiadał wczoraj memu chłopcu. Poprzedniego dnia wykradł się z domu na wieś i wrócił stamtąd pijany. Matka poczuła to po jego oddechu i gniewała się, ale on nie wie, co się potem działo, bo był nieprzytomny. Gdzie się upił? Oto jest na wsi utrzymywany przez żydów tajemny szynk, zwany »jamką«, gdzie można dostać na kredyt wódki, piwa i araku. Każdy ma tam swoją deseczkę dziurkowaną, w której kołeczkiem oznacza się należność. Wasylowi pozwolono skorzystać z kredytu ojcowskiego...

— — — — — — — — — — — — — —

Wszystko zresztą tutaj w górach jest malownicze. Widziałem ciągnące tą górską drogą pogrzeby: chorągiew, obraz, ksiądz na bryczce, trumna na noszach nad głowami, lud ze świecami...

Pogrzeby wiejskie są stokroć smętniejsze, niż w mieście. Dla ludzi wiejskich to jedyny obraz ponury. Zabierają człowieka ze wsi, w której się urodził i poza którą świata nie widział. Z miasta nie dziw, że coś wywożą, ale we wsi zwykło wszystko tam padać, gdzie się urodziło. Jeżeli chłop boi się śmierci, to myślę — stoi mu przed oczyma własny pogrzeb, jak go ze wsi na marach niosą.

Widziałem w górach księdza, jadącego na koniu do chorego. Przed koniem szedł hucuł w futrzanym serdaku, choć dzień był upalny, i coraz

dzwonił. Na chudej szkapinie (widać chory ubogi) siedzi pochyło bardzo stary ksiądz w złocistem obleczeniu, sięgającem koniowi do kolan. Twarz zeschnięta, mała jak piąstka, a na niej wielkie siwe brwi; w ręku krzyżyk, na głowie czarny berecik — wiekowy, doświadczony staruszek. Niema dla niego drogi zbyt złej. Jedzie wolno, dzwonek oznajmia jego kroki. Snuje się w górę — ot już tam jest wysoko.

Gdzieżby śmierć nie dosięgła!

— — — — — — — — — — — — — —

Widziałem też wesele.

Grupka gapiów stoi przed chatą. Pytam, co się dzieje. Wesele. Za godzinę przybędzie pan młodu na koniu, z drużbami, zabierze żonę do domu. A pokąd nie przyjedzie, weselą się goście w domu panny młodej. Oto ona sama z rozpuszczonym włosem. Na głowie wieniec, rękawy szyte czerwono raz koło razu, korali moc, buty z cholewkami z żółtego safjanu. Szczupła, brzydka, ręce koło siebie opuściła i snuje się między ludźmi, jak we śnie. Podobno bardzo płakała od rana — jakiś dramat rodzinny.

Na podwórku ruch. Grajkowie wyszli na ulicę, siedli na stołeczkach pod chruścianym płotem: chudy skrzypek cienko zaczął, a drugi dzwoni pałeczkami po strunach cytry. Gawiedź zapatrzona w grajków. Z dusznej chaty, gdzie zastawa we-

selna, wysuwają się postacie odurzone alkoholem. Niektóre twarze ekstatyczne.

Dwaj huculi wzięli się za bary i patrząc w ziemię wytupują przed grajkami drobniutko — próbują. Dobierają między siebie druhnę, pannę młodą, jakiegoś wielkoluda z długiemi włosami i tak wiankiem żywym, trzymając się wzajem garściami za koszule na plecach, obracają się w kółko. Obok tworzy się inne koło. Rej w niem wiedzie niewiasta z twarzą sępa. Poodkładali kożuchy na płocie, rozgrzewają się muzyką — wsłuchani, w ziemię wpatrzeni, szukają zapamiętania. Jedni boso, inni w butach lub w cichych kierbciach, zagiętych jak sanice od przodu, i w ciepłych onuczach. Muzyka rytm wybija, a ciała drgają coraz automatyczniej, coraz głębiej zapadając w wir ruchu kolistego.

Ten i ów podnosi głowę, jak ptak, który pije w zdroju: śpiewa coś recitativo, splątaną, szybką mową, jakby w wirze odnajdywał cień myśli i pragnął ją wypowiedzieć. Poczem zapada w wir, a nogi jedna obok drugiej drepcą, jakby wiele cepów jeden snop młóciło.

Niewiasta z twarzą sępa a ciałem pantery wyróżnia się. W jej kole coraz chyżej. Ciało jej pręży się, wygina w biodrach, elektryzuje innych, nawraca niemi. Śmiga na palcach, pomimo że bosa, a sąsiad rozbił butem palec. Broczy krwią na piasku, ale bólu widać nie czuje.

Taniec przeszedł w obrzęd zbiorowy, w prak-

tykę czarowania rytmem, wywoływania ducha, wspólnego ziemi i ludziom na spodach. Patrzajcie w duszę człowieka pierwotnego! Oto pierwociny natchnień poetyckich — oto pierwsze odruchy sztuki. Z takiego tańca, kolebki sztuk ruchowych, rozrosło się już na świecie wielkie drzewo tworów ducha, a tu jest on jeszcze wszystkiem; nawet śpiewać nie umieliby tego, co świadomość wyłowi ze stanów rozkoszy.

Przedświadoma, śpiąca w mózgach pamięć jakiegoś wielkiego a dobroczynnego dla życia ruchu w naturze, który istnienie ich poprzedził, budzi się w świątecznym nastroju na głos muzyki rytmicznej. Uboga indywidualność, jak pąkowie kwiecia przelotnie żyjącego, rada ze sposobności rozkręcania się i zatracania w przyrodzie.

Oto hucuł tańczy, chwyta rozkosz estetyczną całem ciałem, roztęsknionem do prabytu. Oszołomiony ruchem rytmicznym, ma przed oczyma duszy jakiś wielki lej żywiołu, zsuwający się w nieskończoność. Niesamowity, ekstatyczny nastrój, obcy obecności. Ktoś postronny, patrząc na to, doznaje niepokoju. Smutno mu i trwożnie wobec tego misterjum, którem człowiek, o krok widziany, aniby się podzielić mógł, ani chciał. Obcy czuje po chwili, że niedyskretnie jest podglądać tajemnicę tych istnień i usuwa się.

Oto czemu w życiu ludzi pierwotnych wszystko jest smutne: i pogrzeb i wesele. W świecie dusz

radosny widok daje dusza, którą ktoś posiada na własność, — zakończona świadomością indywidualność, władająca sobą. Człowiek pierwotny zaciera własną, nie widzi cudzej, — zatrze ją torem pędu biologicznego.

W oczach mam postać panny młodej, której dusza pewno dziwne sny w tańcu przebywa. Poruszona w dniu ślubu jej indywidualność, poskromiona w buncie, widzi — może — w głębinach wiru tanecznego jeden punkt nieruchomy, nęcący ukojeniem wiecznem dusze biedne...

— — — — — — — — — — — — — —

Mógłby mnie kto zagadnąć:

— Cóż za użytek publicystyczny można zrobić z fakcików tak przyziemnych, jak owe wzięte z życia huculskiego? Etnografja!

— Nietylko etnografja! Miałby nad czem zastanowić się tam i socjolog i publicysta. Człowiek społeczny zaczyna się przy samej ziemi; tam jest nas najwięcej. Mówi się przecież za poetą: »Jest w ludzie siła niespożyta, zbawienie leży pod siermięgą«... Nie wszystko rozstrzyga się w sejmie, parlamencie lub na wiecu. Życie cicho, jak trawa, rośnie, cicho się rozkłada. Nawet skała bez katastrof wietrzeje, cóż dopiero życie społeczne, oddane żywiołowi, nie zabezpieczone.

— Zapewne — powie mi kto inny. — Ale pisał pan niedawno o konieczności powrotu do

natury. Przyzna pan, że obrazki, które pan pokazał, nie są zbyt zachęcające do tego powrotu.

— Oczywiście. Nawet gotów jestem dzielić zdanie księdza, którego rozmowę przytaczałem, że huculi nie zdatni są do życia, że skazani są na zagładę.

A jednak nie trzeba tracić związku z naturą! Hucuł jest u natury, że tak powiem, w niewoli tatarskiej, myśmy zaś wejść z nią powinni w stosunek konstytucyjny, zastrzegając »*habeas corpus*« dla swej duszy. Panować nad naturą, to nie znaczy tylko zwyciężyć przyrodę technicznie (hucuł potrafi radzić sobie z nią jako tako). Najtrudniejszą do opanowania jest przyroda, która w nas samych się objawia tak zwanemi głosami natury. Trzeba umieć żyć ze swemi instynktami i darami natury, szanować je jako naturalną podstawę swego państwa duchowego, ale gospodarować w nich według praw kultury. I to nawet w zakresie potrzeb fizycznych.

Między wielu niesprawdzonemi aksjomatami powtarzamy twierdzenie: ludzie natury mają zapewnione zdrowie fizyczne, a nawet moralne. Tak nie jest. »Łono natury« jest bierne, samo przez się zdrowia nie daje; człowiek czynnie musi na niem się zagospodarować. Bo gdzież granica potrzeb ducha i ciała? Warunki istnienia na łonie natury są istotnie pomyślne, ale że barbarzyńca

jest zdrów, to jest takim pomimo, ale nie wskutek swego barbarzyństwa.

Hucuł, aczkolwiek dosłownie nie jest barbarzyńcą, żyje bardzo niehygjenicznie. Nie mówię o takiej klęsce jak kiła, która go niszczy w pewnych okolicach kraju. Hucuł ma rzekę, ale kąpią się w niej tylko dzieci ze zbytków. Ma chatę w cudnem, pełnem ozonu powietrzu, ale tej chaty nie przewietrza, zatruwa się w niej. Nie wierzę, żeby hygjenicznemi były te ciężkie zawoje głów kobiecych, opakowanie wojłokami nóg podczas gorąca, nawet tak podziwiane kożuchy (serdaki).

A moralność. Cóż bardziej prostego, jak stosunek syna do ojca? Zdawałoby się, że na łonie natury to przynajmniej jest czyste i pewne. Złudzenie! Popęd krwi nie jest wystarczającą podstawą moralności rodzinnej. Jak każdy popęd naturalny może on ulec łatwo byle jakiemu innemu. Po czem poznaje się duszę barbarzyńską? Po tem, że zostawiona jest wolnej grze popędów. Instynkt krwi musi być wcielony w złożoną konstrukcję psychiczną, gdzie się znajdzie pod kontrolą i powściągiem świadomości, obliczającej sprawy na długą metę istnienia. Nałogi moralne w kulturalnej, zautomatyzowanej duszy wytwarzają nowy (wyższy instynkt) — sumienie. Jest to siłomierz naszej moralności; po niem poznajemy: zło — dobro, grzech — cnotę. Hucuł, hołdujący wolnej miłości albo zasadzie zgładzania starców, zapewne w tych spra-

wach sumienie ma jeszcze głuche. Ale czy przez to moralność jego jest tyle warta, co nitzcheanisty, który na drugim biegunie kultury duchowej dosięgnął sfery »poza dobrem i złem?«

Kiedym chłopcu swemu wymawiał (po przytoczonym wyżej wypadku spicia się Wasyla w »jamce«), że złych sobie dobiera towarzyszy, bronił Wasyla bardzo rozsądnie: »Cóż on winien. On nie wie, że to grzech. Uczyli go, że nie wolno żabie dokuczać, bo wtedy matka umrze, ale o grzechu go nie uczyli«.

Wasyl jest »poza dobrem i złem«. Ale jak dzisiejsza wspólnota gminna rosyjska nie jest kolektywizmem czasów przyszłych (jak się to wydawało oświeconym barbarzyńcom rosyjskim, »narodnikom«-socjalistom z przed paru dziesiątków lat) i trzeba wieków kultury w gospodarce indywidualistycznej, aby od tamtego naturalnego kollektywizmu dojść do podobnej zewnętrznie nowej koncepcji socjologicznej; tak też i z biegunami moralnej kultury: między jednem »poza dobrem i złem« a drugiem leży cały świat kultury, ciężkich, wewnętrznych walk człowieka ze swemi popędami naturalnemi, aż do przesycenia ich intelektualizmem i estetyzmem.

Dopiero na drugim biegunie człowiek dostojnie wraca do natury, jako jej pan i wolny wyznawca.

Nic fałszywszego od pojmowania natury, jako

wartości dla ducha bezwzględnej, w stanie surowym, w stosunku bezpośrednim. W sztuce złudzenia artystów co do naturalizmu są objawem ich barbarzyństwa. »*Ars est homo additus naturae*«. Opisałem wyżej taniec hucuła. Od tego tańca, w którym człowiek miota się epileptycznie pod przemocą instynktu bez możności znalezienia intelektualnego wyrazu swemu pięknu, od tego tańca jakże daleko do pieśni, którą tworzy nasz krakowiak!

Należy tu zrobić nawiasem zastrzeżenie co do sztuki zdobniczej, rozwiniętej u hucułów.

W pierwocinach sztuk przestrzennych, jak snycerstwo, wypalanie na drzewie, malowanie pisanek, człowiek pierwotny może celować niezależnie od poziomu swej jaźni. Nie jest to sztuka, po której się poznaje dojrzałość duchową. Duch twórczy szczebluje w sztukach przedewszystkiem ruchowych (jak taniec, muzyka, pieśń, poezja), w których składa dowód zdolności uprzedmiotowiania swoich stanów wewnętrznych. Wszystko inne może się rozwijać na gruncie naśladownictwa i wprawy bez udziału poezji. Hucuł robi ładne fajki, tkaniny, rzeźbi stoły, bo jak powiada Morris, mieszkaniec ładnych okolic musi robić sprzęty estetyczne. Hucuł jest także inżynjerem, budowniczym — jak bobry i ptaki. Jak ptaki dziedziczą upierzenie, tak on dziedziczy sztukę zdobniczą.

— — — — — — — — — — — — — —

Cóż się dzieje z hucułem w regjonach życia ekonomicznego, społecznego i politycznego?

Zbiorowa moralność, na której opiera się życie zbiorowe w społeczeństwie, wymaga odpowiednio zorganizowanej duszy w obywatelu. Typ dzisiejszego społeczeństwa, nawet w Galicji, nie jest oczywiście modelowany według umysłowości huculskiej, wogóle ruskiej. Nasz gmach jest dziełem oświeconych warstw polskich. Dramatem naszym jest zaniedbanie ludu, ale miejscami położenie jest nad wyraz tragiczne. Taki np. hucuł znajduje się właściwie w gorszym, luźniejszym do społeczeństwa stosunku, niż zwierzyna w lasach. Nad zwierzyną rozciągnięta jest opieka, a huculi wyginą, jeśli dalej tak pójdzie, zanim drogą naturalnego rozwoju wcielą się do organizacji społeczeństwa, jako jego czynniki twórcze.

Cóż z tego, że hucuł obdarowany jest bogato od natury? Znalazł się jednak w tym martwym punkcie rozwoju społecznego, na którym się ginie, jeśli ktoś zzewnątrz sił nie doda. Ma przecież lud ruski swoich kierowników — powiecie. Tak, ale wrogom swoim nie należy życzyć takiego obrotu sprawy cywilizatorskiej, cóż dopiero ludowi we własnym kraju.

Działacze ruscy są również ludźmi pierwotnemi, barbarzyńcami tem bardziej złowrogiemi, że uzbrojonymi, jakby w nóż, w środki djalektyczne, w stanowisko, ambicje polityczne. Ich budowa intelek-

tualna nie znajduje równowagi w organizacji duchowej. Duchowo są dziećmi natury. Nie dają ludowi koncepcji złożonych, według których żyją społeczeństwa cywilizowane, wytykające sobie drogę na długą metę, ale grają na pierwotnych instynktach ludu, na tych instynktach, które trzeba dopiero przerobić w dobrej kulturze, aby były siłą społeczną. I sprawiają, że to, co mogło być siłą ludu świeżego, staje się jego słabością. Agitatorzy ruscy spekulują na słabości swego ludu.

Demokratą w świecie cywilizowanym jest ten, kto wchodzi w lud, aby go podnieść ku sobie; u Rusinów, w Rosji, a nawet i u nas w Galicji w sferach radykalnych uproszcza się sprawę — wchodzi się w lud, aby od niego brać pierwotne poglądy na sprawę społeczną, aby każde dążenie demokratyczne zwulgaryzować i w ostateczności nie podnosić społeczeństwa w kulturze, ale je, że tak powiem, schamić. Cokolwiekby się mówiło o przeszłości naszej, to jednak przyznać trzeba, że polskie stosunki kulturalne były jak tyki w chmielu, około których owijało się życie. Ruscy przodownicy lud swój gnoją, własnemi nogami tratują w błocie.

Dosyć posłuchać opowieści o tem, co robili z ludem ruscy kandydaci na posłów. Wiedząc, jaka jest elementarna żądza ziemi u chłopa, obiecywali im ziemię. Przyboczni sekretarze zapisywali z całym cynizmem nazwiska wyborców i cyfry, ile

który ziemi pragnie. Każdego zapewniano, że ziemię darmo dostanie. Syci swojej karjery posłowie ruscy pojechali do Wiednia, zostawiając lud ogłupiały od marzeń i żądz, pełen goryczy ku Polakom, którzy rzekomo nie pozwalają posłom ruskim wywiązać się z przyrzeczeń.

Inteligencja ruska patrzy na te operacje »polityczne« ze spokojem barbarzyńców, nie zdających sobie sprawy z krzywd wyrządzanych ludowi. Żeby to rozumieć, trzeba mieć sumienie społeczne wyczulone w kulturze. Gdyby nie brak tego sumienia wśród oświeconych Rusinów, ludność wiejska nie marnowałaby tak swego dobytku. Cóż z tego, że »polityk« ruski obieca chłopu ziemię na księżycu, kiedy nauczyciel, ani ksiądz ruski nie nauczą go ziemi swej bronić od wyzyskiwaczy, a sędzia ruski nie zapobiegnie przejściu nieprawnemu ziemi chłopskiej w ręce żydów.

Smutne opowieści, nieraz bardzo kompromitujące krążą o interesowności tych opiekunów ludu. Faktem jest, że połoniny nie należą już do huculów, że ziemia coraz szybciej wymyka się im z rąk; »opiekunowie« nie kształcą w ludzie cnót społecznych, na których dobrobyt materjalny się wspiera, lecz owszem zainteresowani są w tem, aby lud jaknajdłużej pozostawał pastwą wolnej gry popędów naturalnych.

Biedny człowiek natury, niezorganizowany wewnętrznie, nie przystosowany do złożonych warun-

ków życia społecznego, ginie w oczach, staje się pognojem spekulantów politycznych i kapitalistycznych. Jaki tylko ma w sobie instynkt naturalny, ten staje się jego nieszczęściem, przyczyną rozstroju. Nikt na nim nie buduje, ale wszyscy go ssą.

Wstrętny widok niedorozwoju i rozkładu życia nadorganicznego na łonie pięknej, wiele obiecującej natury!

— — — — — — — — — — — — — — —

Z przykładów tych widać, że natura w stanie surowym nie jest wartością bezwzględną dla świata, który człowiek wznosi na ziemi. Wartość bezwzględną ma tylko to dla człowieka, co zostało przerobione na jego wewnętrzną własność. Najbogatsze dary naturalne, źle użyte lub zostawione samopas, mogą się stać jego wrogiem, jeśli nad niemi nie zapanuje zorganizowaną myślą i wolą. Bez kompletnego zorganizowania władz ducha, (jakikolwiek byłby poziom naukowego oświecenia), nie możliwa jest równowaga jednostki w życiu społecznem. Taką równowagę ma już w wielu wypadkach ustaloną chłop polski, społecznie poczytalny, panujący nad swemi popędami pierwotnemi, troskający się już o sprawę publiczną, obywatel.

Jakże inaczej dzieje się z człowiekiem natury bezbronnym! Pokazałbym na okaz dorożkarza w Zabłotowie (parobka). Wiecie, jak wygląda? Niczem

nie różni się od fjakrów żydów; tak samo ubrany, mówi żargonem, tak jak oni gestykuluje, tak samo bije konie. Ale jest chrześcjaninem, bo to Rusin-hucuł, ucywilizowany po miejsku.

Weźcie hucuła z połoniny, a wraz z serdakiem straci swój cień indywidualności i osobistej, i społecznej, i narodowej, nawet rasowej. Oto jak niepewne są dary naturalne, bez podmurowania kultury.

Człowiek natury jest piękny w poszczególnych motywach, ale całości przydatnej w życiu społecznem nie przedstawia. Trzeba go zrobić indywidualnością samoistną i dopiero wtedy powrócić naturze. Żadne dobro duchowe nie nadaje się do użytku w stanie kopalnym; staje się użytecznością dopiero po przeróbce wewnętrznej w tyglu kultury. Instynkt pierwotny musi być intelektualizowany, a nawet zestetyzowany, organicznie z innemi władzami zharmonizowany, zanim się stanie wartością moralną i społeczną.

A więc przez kulturę do natury!

Jakże poszukiwaną jest prostota towarzyska, a jak do niej daleko od prostactwa! Ile kultury dać trzeba śpiewającemu pastuchowi, aby z niego zrobić śpiewaka! A przecież głos, dany od natury, pozostał ten sam.

Nie wystarcza obywatelowi cnota przyrodzona w instynktach i zwyczajach. Cnotą obywatelską nie będzie np. miłość ludzi w stanie su-

rowym, objawiająca się w pierwotnej gościnności albo filantropji; miłość tę rozszerzyć trzeba, przerobić w złożonym aparacie pojęć i uczuć społecznych i dopiero po tej przeróbce wola jednostki, stale funkcjonująca w myśl interesu powszechnego, staje się obywatelską.

Łudzą się ci, którzy mniemają, że społeczeństwo można stworzyć środkami mechanicznemi, siłą pięści z jednej strony, a z drugiej darowanemi ustawami państwowemi. Społeczeństwo szczepi się w duszach obywateli i hoduje się w długiej kulturze. Dopiero wtedy budowy społecznej nikt nie zakwestjonuje i nikt nie odbierze.

Na życie niezależne trzeba zasłużyć, to znaczy stworzyć je w sobie przedewszystkiem. Świat, w którym człowiek ze swoim duchem się obraca, jest dziedziną od natury wyemancypowaną. Powstaje on z opanowania darów przyrody i naturalnych popędów na pożytek nieskończonego w świecie ducha rozwoju.

Misterna budowa świata ludzkiego, gdzie już duch tworzy, nie może być powierzana wyłącznie surowym instynktom natury. Wsparłszy ten świat na fundamencie żądzy życia, konstruować go musimy w gotyckim stylu celowości. I tem jest on różny od świata przyrody, gdzie dla nas istnieje tylko przyczynowość.

Nie materjałem już jesteśmy przyrody, ale sami tworzymy nad nią nadbudowę, tworzymy nowe

słońce, słońce coraz płomienniejsze ducha twórczego. Potrzebna nam jasność, ciepło i lot twórczy słońca — duch prawdy, dobra i piękna, duch trójjedyny, organicznie zespolony, nie dający się pojąć i użyć w podzielności.

Jedno jest słońce w przyrodzie, jeden duch w świecie kultury — słońce przełamane w człowieku.

Veni Creator!

SPIS RZECZY.

Przedmowa . . . . V—VIII
1. O kulturze duchowej 1
2. Moje kolendy 11
3. Bezwład ducha 23
4. Nasza nędza 35
5. Gorzkie żale 45
6. Na cmentarzu 53
7. Poczucie estetyczne żywej tradycji 63
8. Poczucie estetyczne osobowości narodowej . . . 77
9. O zawodzie pisarskim 84
10. Sentyment w przemysle 110
11. Partykularyzm 118
12. O rąbaniu drew i czapkach frygijskich 131
13. Naród się zgubił 142
14. O kulturze sumienia 153
15. O »panu postępowym« 168
16. Nieco o zmyśle samozachowawczym 178
17. Poczucie rozstroju 188
18. Głos komendy 199
19. Biurokratyzm 209
20. Trzeba chcieć żyć 221
21. Do słońca! 230

WYCIĄG Z KATALOGU TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO WE LWOWIE.

	K. h	Rb. k.
Korzon T. Zamknięcie dziejów wewnętrznych Polski za Stanisława Augusta	—·80	—·35
Koskowski B. Gmina wiejska	—·80	—·50
Kubisz J. Z niwy śląskiej	3·—	1·20
Lemański. Colloquia albo rozmowy	1·80	—·90
Londzin J. Zaprowadzenie języka polskiego w szkołach ludowych w Księstwie Cieszyńskiem	1·—	—·55
— Stan szkół ludowych w Ks. Cieszyńskiem na początku XIX wieku	1·—	—·55
Łada J. Sweet Boy	3·—	1·50
Macoszek A. Przewodnik po Śląsku Cieszyńskim	2·—	1·—
Majerski St. Mapa fizyczna ziem polskich	1·80	—·90
Marchlewski. Chemia organiczna	16·—	8·—
Marcinowska Jadwiga (Pereswit). Bajka	2·—	—·80
Miłkowski Z. Sprawa ruska	1·20	—·50
— Skarb narodowy Polski	2·50	1·—
N. N. Potęga wojenna Rosyi	3·—	1·50
Niedźwiedzki Z. Oczy	3·20	1·50
Niesiołowski T. Sny i widzenia	1·70	—·70
Nowaczyński A. N. Studya i szkice	4·—	2·—
Nowiński J. Życie i marzenie	5·60	2·30
Orkan Wł. W roztokach	5·—	2·40
Panek K. Jarstwo	3·—	1·50
Paszkowski E. Jasne wody	3·—	1·30
Pietrzycki. Refleksy światła	1·—	—·30
Pini T. Nasza współczesna poezya	2·—	—·80
Plutyński. Walka na G. Śląsku	1·20	—·50
Podlasiak. Co nam przyniosły rady rolnicze Wittego 1902/3	1·—	—·40
Popławska F. Dwie mogiły	3·—	1·20
Popławski J. L. Życie T. T. Jeża	—·50	—·20
Potocki A. Martosia i my	2·60	1·15
— St. Wyspiański	3·—	1·20
— M. Konopnicka	1·50	—·60
— Szkice i wrażenia	4·—	2·—
— Wychowawcze zadania ogółu	3·50	1·40
Potocki J. K. Współzawodnictwo i współdziałanie	5·—	2·—
Przygodny. Warszawa współczesna	1·50	—.60
Przybyszewski S. Androgyne	4·—	2·25
Radzikowski St. El. Styl zakopiański	3·—	1·30
Rakowski K. Powstanie poznańskie w 1848 roku	6·—	2·40
Rawita-Gawroński Fr. Szkice historyczne	4·—	1·80
Rydel-Dębicki. Bajka o Kasi i królewiczu	4·—	1·80
Sewer. Na pobojowisku	4·40	1·80
Sikorski J. Uprawa łąk i pastwisk	8·—	3·50
Ślepowron A. Echa z nad Niemna	1·50	—·60
Srokowski K. Likwidacya caratu	3·—	—·—

DRUKARNIA
W·L·ANCZYCA
I SPÓŁKI
W KRAKOWIE